cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #225 07–08/2025

Krzysztof Wołodźko
NIEOCZYWISTA POLSKA. Z DZIEJÓW KRESÓW ZACHODNICH

Małgorzata Matuszak
CZY MOŻNA ZAPRZYJAŹNIĆ SIĘ Z CHATBOTEM?

Piotr Lisiewicz
Z ŁAGRU DO ARGENTYNY. POLSKI MALARZ SKAZANY NA ZAPOMNIENIE

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Kuratorzy GROZY

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI, ADOBE STOCK

eprasa.pl 0522f7d004

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



Kuratorzy sądowi do systemowej reformy / 4

IDEE ▼ 14–33



Cenzura dobra i zła / 14

HISTORIA ▼ 40–59



Z łagru do Argentyny. Polski malarz skazany na zapomnienie / 40

KULTURA ▼ 60–68



Parada dziwów / 60

ŚWIAT ▼ 76–97



Chińska wojna polityczna przeciwko Tajwanowi / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Grzegorz Wszołek
Kuratorzy sądowi do systemowej reformy / 4

Hubert Kowalski
Państwo silne wobec słabych rodzin. Wciąż odbierają dzieci biednym rodzicom / 10

IDEE

Jakub Maciejewski
Cenzura dobra i zła / 14

Małgorzata Matuszak
Czy można zaprzyjaźnić się z chatbotem? / 19

Ewa Polak-Pałkiewicz
Miłosierdzie, jakiego już nie znamy / 22

Jacek Rutkowski
Cnota to pogaństwo / 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Z łagru do Argentyny. Polski malarz skazany na zapomnienie / 40

Dariusz Jarosiński
Obława augustowska. Największa zbrodnia na Polakach po wojnie / 46

Agnieszka Kowalczyk
Jadwiga Andegaweńska. Królowa, która odmieniła losy Polski / 52

Maria Konopnicka
O twórczości Sienkiewicza / 58

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Parada dziwów / 60

Krzysztof Karnkowski
Aniela, Mata i foliarze / 66

ŚWIAT

Hanna Shen
Chińska wojna polityczna przeciwko Tajwanowi / 76

Antoni Rybczyński
Operacja Narnia. Mosad upokorzył Iran /80

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 86

oprac. Antoni Rybczyński
Bałkany. Tam Rosja zderza się z Zachodem / 88

Michał Muszalski
Dolina Fergańska autostopem / 92

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Rezerwat ochrony braku odpowiedzialności
NA POCZĄTEK 3



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Jan Śpiewak: Jestem ideowym ojcobójcą
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 34



Marek Kalinowski
Ravel kiedyś i dziś
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 69



Krzysztof Wołodźko
Nieoczywista Polska. Z dziejów kresów zachodnich
DZIENNIK LEKTUR 70



Marcin Wolski
Bunt przeciw własnemu organizmowi
PAPKULTURA 75



Małgorzata Matuszak
Czym jest... podróż
KATECHIZM INTELIGENTA 85



Tomasz Sakiewicz
Granica
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Troliński
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 0522f7d004



Katarzyna Gójska

Rezerwat ochrony braku odpowiedzialności

Trzecia władza w Polsce rzeczywiście przeobraziła się w uprzywilejowaną kastę i jak taka działa. W czasach komunistycznych była częścią aparatu terroru. Po 1989 roku przetrwała jak rezerwat tamtych powiązań i uzależnień. Rezerwat ścisły – bez ingerencji demokratycznych reform.

Stwierdzenie, iż polski system sprawiedliwości – rozumiany szeroko jako zespół sądowo-urzędniczy – jest niewydolny i przeżarty patologiami, na nikim nie robi wrażenia. Jesteśmy niemal całkowicie znieczuleni na kolejne doniesienia o nieprawdopodobnych i sprzecznych z poczuciem sprawiedliwości historiach ludzi, którym nasze państwo zniszczyło życie i których skrzywdziło. Praprzyczyną całego zła jest aroganckie, pogardliwe poczucie bezkarności. Słynna wypowiedź sprzed lat sędzi Kamińskiej o nadzwyczajnej kaście – to symbol tego zjawiska. Trzecia władza w Polsce rzeczywiście przeobraziła się w uprzywilejowaną kastę i jak taka działa. W czasach komunistycznych była częścią aparatu terroru. Po 1989 roku przetrwała jak rezerwat tamtych powiązań i uzależnień. Rezerwat ścisły – bez ingerencji demokratycznych reform. Na przestrzeni trzech i pół dekady biologia wyeliminowała znaczną część okazów, ale okazało się, iż system patologii miał się dobrze nawet wówczas, gdy opierał się na ludziach ze znikomym stażem w PRL. Rezerwat zaczął żyć własnym życiem – w oderwaniu od tego, co działo się w społeczeństwie. I dziś widzimy tego efekty. Poczucie bezkarności, brak odpowiedzialności przed obywatelami, powszechne przekonanie o możliwości panowania nad innymi bez etosu służby. To nie tylko sędziowie, lecz także cały zespół urzędniczy tworzący wraz z nimi wymiar sprawiedliwości. W tym oczywiście kuratorzy – ludzie z wielką władzą nad życiem innych, ale pozostający anonimowi dla społeczeństwa i realnie nieponoszący odpowiedzialności za swoje złe decyzje czy zaniechania. Mały Oskar odebrany rodzinie w połowie maja tego roku zmarł po czterech dobach od wywiezienia z domu. Cały ten czas spędził z obcymi ludźmi, bez formalnej akceptacji i weryfikacji przez instytucje sądowe. Przez półtora miesiąca od jego śmierci cała ta machina – odpowiedzialna przecież za przestrzeganie prawa i sprawiedliwość – nie kiwnęła palcem, by sprawdzić, jak doszło do tragedii czteromiesięcznego dziecka. Gdyby nie nagłośnienie tych wydarzeń przez media, ta dramatyczna sprawa byłaby tylko kilkoma kartami zadekowanymi w jakiejś szafie biurowej. To się musi skończyć. Polski wymiar sprawiedliwości wymaga przywrócenia osadzenia w sprawiedliwości i odpowiedzialności. Bez tego nic się nie zmieni. Wyłącznie wyciąganie konsekwencji wobec osób mających prawo do ingerowania w najbardziej wrażliwe sprawy obywateli będzie skutkowało tragediami i dalszą patologizacją systemu. W najnowszym numerze „Nowego Państwa" publikujemy raport na temat bezprawia w wymiarze sprawiedliwości. To poruszający materiał, który pokazuje, iż każdy z nas może stać się ofiarą tego zdziczałego systemu. ■

W najnowszym numerze „Nowego Państwa" publikujemy raport na temat bezprawia w wymiarze sprawiedliwości. To poruszający materiał, który pokazuje, iż każdy z nas może stać się ofiarą tego zdziczałego systemu.

eprasa.pl 0522f7d004

Kurator sądowy nie wiedział, że 22-letnia Magdalena Woźna, skazana na karę 4 miesięcy pozbawienia wolności w błahej sprawie, była w zaawansowanej ciąży. Nie poinformował jej, że może odbywać wyrok i opiekować się dziećmi. Gdyby kurator zainteresował się sytuacją kobiety, której odebrano dwójkę dzieci, a jedno zmarło po oddaniu do rodziny zastępczej, to skazana nie trafiłaby do Aresztu Śledczego na warszawskim Grochowie, a przebywałaby w domu w ramach dozoru elektronicznego. Być może czteromiesięczny Oskarek by żył. – Nie jesteśmy w stanie w tym momencie powiedzieć, czy kurator dopełnił obowiązku, czy nie, bo nie uzyskaliśmy wglądu do dokumentacji. Z pewnością kuratorzy otrzymują zbyt dużo zadań od sądów. Ale nie może być tak, że zmarło niemowlę i ktoś będzie się zasłaniał nadmiarem obowiązków – mówi „Nowemu Państwu" poseł PiS i były wiceminister sprawiedliwości, Michał Wójcik.

Grzegorz Wszołek



Kuratorzy sądowi do systemowej reformy



eprasa.pl 0522f7d004



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI

egrasa.pl 0522

Ta historia wstrząsnęła całą Polską. Nagłośniła ją „Interwencja" Polsatu News, a każda kolejna publikacja „Gazety Polskiej Codziennie" pogłębiła dyskusję o tym, w jaki sposób upadła się osadzonych w areszcie, na podstawie jakich przesłanek odbiera się w Polsce dzieci i jaka jest rola kuratora sądowego w wymiarze sprawiedliwości, wpleciona w mechanizm działania państwowych instytucji.

▶ Skuta w kajdanach na pogrzebie własnego dziecka. Przerażająca historia z Warszawy

Magdalena Woźna w listopadzie 2024 roku została skazana na cztery miesiące pozbawienia wolności za oszustwo internetowe. Sąd najpierw orzekł, że kobieta ma odbyć prace społeczne, podczas gdy była w zaawansowanej ciąży. Do jej warszawskiego mieszkania 15 maja zapukali policjanci. Na podstawie krótkiego oglądu sytuacji i rozmów z domownikami, postanowili zabrać dwójkę dzieci – czteromiesięcznego Oskarka i trzyletnią Lenę. Trafiły one odpowiednio do rodziny zastępczej i domu dziecka, bowiem – jak uznali funkcjonariusze – po osadzeniu matki w więzieniu, nie będzie miał się kto nimi opiekować. Tyle że pociechy pani Magdaleny mogły liczyć na babcię, prababcię, był też 26-letni ojciec.

Cztery dni po rozdzieleniu dzieci od rodzinnego domu czteromiesięczny Oskarek zmarł w pieczy zastępczej. Prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie śmierci niemowlęcia. Sekcja zwłok nie wykazała obrażeń na ciele dziecka, wstępnie śledczy zakładają niewydolność krążeniowo-oddechową. Bliscy pani Magdaleny w „Interwencji" mówili o zachłyśnięciu się pokarmem. Skazana dowiedziała się o śmierci Oskarka w areszcie śledczym. W Republice opowiadała z żalem w głosie, że nikt nie zapewnił jej wsparcia psychicznego, a najgodniej zachowały się współwięźniarki w celi.

Kolejnym dramatem dla skazanej był udział w pogrzebie swojego dziecka. Służba Więzienna konwojowała ją w więziennym stroju. Kobiecie założono kajdanki zespolone. Upokorzono ją na oczach bliskich. Początkowo służby twierdziły, że chciały zapewnić bezpieczeństwo Magdalenie Woźnej i uczestnikom pogrzebu z tego względu, że poszukiwany jest jej partner. Okazało się, że pan Jakub uczestniczył w ceremonii, więc jego udział kompletnie nie interesował funkcjonariuszy. Ich taktyka przypominała prowokację – tym bardziej, że 26-latek został zatrzymany kilka dni po pogrzebie Oskarka, złożył zeznania i wypuszczono go do domu.

O wielopiętrowym dramacie rodziny z Warszawy dowiedzieliśmy się dopiero miesiąc po fakcie. Można domniemywać, że zmowa milczenia była spowodowana wyborami prezydenckimi, a instytucje państwa nie chciały zaszkodzić w kampanii Rafałowi Trzaskowskiemu. Dzięki presji mediów, jak Republika, pani Magdalena opuściła więzienie. Spędziła w nim ponad miesiąc. Nie musiała tak naprawdę ani dnia.

Wokół tragedii jest mnóstwo pytań, ale być może najważniejsze dotyczą roli kuratora sądowego, wyznaczonego do sprawy pani Magdaleny po zatrzymaniu przez policję. Cząstkowe informacje dotarły do opinii publicznej podczas posiedzenia sejmowej Komisji ds. dzieci i młodzieży. Wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchart, nadzorująca pracę Służby Więziennej, przyznała, że kurator sądowy nie miał w ogóle wiedzy na temat sytuacji życiowej Magdaleny Woźnej, w tym o zaawansowanej ciąży. – Wyrok zapadł w trybie nakazowym. Wyrok w trybie nakazowym zapada na posiedzeniu, na którym oskarżona nie musiała brać udziału i nie brała udziału. Sąd, wydając ten wyrok, mógł w ogóle nie wiedzieć, że ona jest w ciąży. To samo dotyczy kuratorskiej służby sądowej – wspominała Ejchart. – Kurator nie miał wiedzy o sytuacji kobiety. W interesie osoby oskarżonej jest przedstawienie informacji, jaki jest jej stan – dodała wiceminister sprawiedliwości, przerzucając winę na matkę, która straciła dziecko.

▶ Zaniedbania kuratora

Fakty są takie: w styczniu 2025 roku kurator sądowy w styczniu wezwał Magdalenę Woźną na spotkanie, by opowiedzieć o warunkach, w jakich będzie odbywać karę. Skazana nie pojawiła się na rozmowie, bowiem – jak poinformowała w Republice – miała chore dziecko i nie może stawić się w terminie, co przekazała kuratorowi mailowo. Co istotne, to kurator w marcu zawnioskował do sądu o orzeczenie zastępczej kary pozbawienia wolności. Magdalena Woźna trafiła do więzienia, bowiem – jak uznał sąd – wykazała „postawę lekceważącą" w kontaktach z kuratorem i w związku z niewykonanymi pracami społecznymi. W zaawansowanej ciąży! „Obowiązujące prawo dopuszcza odroczenie kary pozbawienia wolności. Jeżeli osobą skazaną jest matka małego dziecka, nawet na okres trzech lat" – tłumaczył w rozmowie z PAP Paweł Czarnecki, społeczny kurator sądowy dla nieletnich. Bezwzględnością wykazał się więc nie tylko sąd. Kurator mógł zainteresować się losem rodziny Magdaleny Woźnej, uzyskać informację o jej ciąży. A przede wszystkim, z uwagi na wychowywanie małej córki, nie powinien wnioskować o zastępczą karę pozbawienia wolności. W dodatku nie poinformował – a przynajmniej nie ma na to dowodu w dokumentach – skazanej o możliwości odbywania kary połączonej z opieką nad dziećmi, do czego wychowująca niemowlę i trzyletnią córkę miała prawo.

eprasa.pl 0522f7d004

– W Ministerstwie Sprawiedliwości działa Departament Wykonania Orzeczeń i Probacji, tak zwany WOIP, który nadzoruje pracę kuratorów. Tam, gdzie dochodziło do drastycznych sytuacji z odbieraniem dzieci, to w pierwszej kolejności – gdy byliśmy w resorcie – sprawdzaliśmy, co kurator zrobił w danej sprawie. Ministerstwo Sprawiedliwości powinno otrzymać szczegółowy raport od kuratora w zasadzie w ciągu doby, a nawet szybciej, bo urzędnicy mogą uzyskać informację nawet telefonicznie. Pytałem o to w czasie czerwcowego posiedzenia komisji sprawiedliwości i tam przedstawiciele rządu oświadczyli, że nie mają takich relacji ze strony kuratora. A ja wiem, że to niemożliwe, bo w resorcie sprawiedliwości mają pełny wgląd do dokumentacji. Natomiast drugi obszar dotyczy prezesa sądu. Pytałem na komisji, czy urzędnicy podlegli ministrowi Adamowi Bodnarowi mają raport prezesa sądu dotyczący działań kuratora – tłumaczy „Nowemu Państwu" poseł PiS Michał Wójcik, były wiceminister sprawiedliwości.

– Jeśli wierzyć im na słowo, to po kilku tygodniach od nagłośnienia skandalu wokół pani Magdaleny, oni w ogóle nie wiedzieli, co w tej sprawie wiadomo! Nie jesteśmy w stanie w tym momencie powiedzieć, czy kurator dopełnił obowiązku czy nie, bo nie uzyskaliśmy wglądu do dokumentacji – zaznacza Wójcik.

– W kwestii tego, co wiedział, a czego nie wiedział kurator w przypadku pani Magdaleny, obóz władzy będzie próbował odwlec wyjaśnienie tylko po to, żeby skandal ucichł. Czy było wszczęte postępowanie przez prokuraturę, bo nie potrafili mi odpowiedzieć na to pytanie w czasie posiedzenia komisji? Chodzi dokładnie o urzędników państwowych, o funkcjonariuszy publicznych, o kuratora, który jest – nie zapominajmy o tym – funkcjonariuszem publicznym. Czy prokuratura wszczęła postępowanie, czy nie? Nawet nie chodzi o postawienie zarzutów, ale wyjaśnienie, czy czegoś nie zaniedbano – wskazuje poseł PiS w rozmowie z „Nowym Państwem".

▶ Kuratorzy – ich rola w systemie sądownictwa

Kuratorzy sądowi są istotni w szeroko pojętym wymiarze sprawiedliwości, bowiem sprawdzają realizację orzeczeń sądowych, a także mają za zadanie wspierać osoby objęte nadzorem. Dzielą się na zawodowych – w liczbie około 5 tys. w całej Polsce – i społecznych, których jest około cztery razy tyle. Ci pierwsi są wyznaczani do spraw osób dorosłych lub rodzinnych. Ich zadaniem jest dbanie o resocjalizację skazanych oraz niepełnoletnich, objętych nadzorem kuratorskim. Poza tym, sprawdzają m.in. wywiązywanie się z obowiązków nałożonych na sprawców przemocy domowej, kontrolują sytuację dzieci i rodzin, gdy dochodzi do nieprawidłowości nad opieką. W drugim przypadku, kuratorów społecznych, ich rola sprowadza się do kontaktowania się z wyznaczonymi podopiecznymi, udzielania pomocy w trakcie odbywania kary. Działają pod nadzorem kuratorów zawodowych.

Coraz częściej w ostatnich kilkunastu latach dochodziło do niesprawiedliwych aktów odbierania dzieci ze strony kuratorów sądowych lub – z drugiej strony – braku reakcji na krzywdę nieletnich ze strony rodziców. Dlatego też w przekonaniu części społeczeństwa, to oni decydują o losach nieletnich. Nie jest to prawda, bo decyzję o umieszczeniu dziecka w rodzinach zastępczych zawsze podejmuje sąd rodzinny. Jednak ten kieruje się opinią kuratora sądowego, który może odstąpić od wniosku o umieszczenie nieletniego w pieczy zastępczej lub sprawić swoją oceną sytuacji, że opiekunowie prawni stracą prawo do wykonywania opieki nad pociechą. Sądy niewątpliwie liczą się z wnioskami kuratorów.

To prawda, że kuratorzy sądowi są narażeni na ogromny stres, agresję czy wyzwiska. Ich „środowiskiem naturalnym» są niekiedy patologiczne rodziny czy osadzeni za ciężkie przestępstwa, dlatego muszą wykazywać się nie tylko empatią, lecz także odpornością psychiczną. Podczas ubiegłorocznego IV Kongresu Kuratorskiego wielu prelegentów wskazywało na przeciążenie obowiązkami, niedocenienie przez społeczeństwo i systemowe osamotnienie w czasie realizowanych zadań. Rocznie kurator otrzymuje do nadzoru średnio od kilkudziesięciu do nawet 200 spraw. To bardzo dużo. Od lat narzekano też na płace w zawodzie. O ile kurator sądowy z doświadczonym stażem może liczyć na zarobki rzędu 10–12,5 tys. złotych brutto, o tyle aplikant kuratorski otrzymywał do czerwca tego roku pensję w wysokości 4,5 tys. złotych. Teraz podniesie się ona do poziomu około 5,2 tys. zł. Kolejnym problemem jest średnia wieku. Przeciętnie kurator zawodowy w Polsce ma 49,5 lat. Środowisko się starzeje, niedługo spora grupa przejdzie na emeryturę, a do pracy nie garną się młodzi. Na awans w drabince kuratorskiej czeka się nawet 15 lat. Barierą są – jak wskazują kuratorzy – zarobki, ale też społeczny odbiór ich funkcjonowania. Na który, nie ma co kryć, w zbyt wielu przypadkach sami solidnie zapracowali.

Jak przekonywał kurator sądowy dr Michał Szykut, istotnym błędem w obszarze wymiaru sprawiedliwości było coraz częstsze odchodzenie od wolnościowych środków odbywania kary, takich jak dozór elektroniczny, na rzecz osadzenia w zakładach karnych. „Teraz mamy niestety skrajną dominację kar ograniczenia wolności. I o tyle to jest niebezpieczne, że sąd, orzekając o tym, dysponuje praktycznie jedynie kartą karną. A to z kolei powoduje, że sędzia nie zastanawia się nad tym, że w ciągu ostatnich 10 lat ta konkretna

eprasa.pl 0522f7d004

osoba była już skazywana na takie kary i albo ich nie wykonywała, albo wykonała jedynie co którąś. Zasadnym pytaniem pozostaje: co powodowało, że wcześniej osoba uchylała się od wykonywania tego rodzaju orzeczenia? Dlatego uważam, że potrzebujemy diagnozy sytuacji, wywiadu dotyczącego oskarżonego przed orzeczeniem sądu. Chodzi o to, by sąd nie tylko miał kartę karną, lecz także by wiedział, że dana osoba nie wykonała poprzednich kar i dlaczego" – wyjaśniał dla portalu prawo.pl.

W jego koncepcji kurator sądowy mógłby stwierdzić na potrzeby sądu, czy wobec danej osoby po odbytym wyroku należałoby orzec kolejną karę pozbawienia wolności. „Nic nie stoi na przeszkodzie, by takie rozwiązanie już teraz wprowadzić do przepisów. To byłaby jedna z form wywiadu środowiskowego, ale moim zdaniem istotnie koncentrująca się na tym, jak dana osoba wykonuje dotychczasowe kary, czy deklaruje wykonanie kary itp. I to absolutnie nie jest wejście w kompetencje sędziów. Jeśli sędzia ma takie informacje, to może się zastanowić, jakie, na konkretnego sprawcę, trzeba nałożyć obowiązki. Czy to przykładowo ma być iluzoryczny obowiązek powstrzymania się od spożywania alkoholu czy uczestniczenie w terapii. To samo dotyczy choćby zakazów zbliżania się, czy obowiązku przeproszenia" – ocenił.

„W tej chwili kurator zajmuje się bardzo różnymi zadaniami. Natomiast ustawa o kuratorach sądowych określiła, że powinny to być zadania o charakterze wychowawczo-resocjalizacyjnym, diagnostycznym, profilaktycznym i kontrolnym. Z uwagi na posiadane wykształcenie i umiejętności, kuratorzy sądowi powinni być odciążani od wykonywania prostych zadań kontrolnych, np. kontrolowanie spraw zawieszonych. Natomiast w większym zakresie powinni wykonywać zadania o charakterze diagnostycznym" – precyzował problemy związane z pracą kuratorów cytowany przez prawo.pl Krzysztof Stasiak, wieloletni kurator sądowy. I kolejny, systemowy, błąd: kuratorzy na informację o podopiecznym, odsiadującym wyrok, czekają po trzy–cztery miesiące, narzekając, że nie mają dostępu do wielu baz danych – na przykład urzędu pracy, by monitorować skazanych za alimenty, i to, czy faktycznie nie otrzymują ofert pracy, czy je celowo odrzucają.

Kurator jak piąte koło u wozu

Bloger „Kurator sądowy" – autor książki napisanej pod pseudonimem Piotr Matysiak pt. „Patożycie" – zwracał uwagę na jeszcze jeden kuriozalny aspekt: kuratorzy mają obowiązek wszędzie chodzić z rodzicami podczas widzeń z dziećmi, gdy toczy się sprawa rozwodowa, a ojciec i matka są głęboko skonfliktowani. „Jeżeli rodzice się rozwodzą i strony są w konflikcie, szarpią dziećmi, zarzucając sobie wzajemnie, że mąż/żona jest przemocowcem, znęca się nad rodziną, wystarczy, że rodzina ma założoną Niebieską Kartę, że są pomówienia czy niezweryfikowane fakty, a rodzice mimo wszystko chcą ten kontakt z dziećmi utrzymywać, no bo występują do sądu po zabezpieczenie. Takie są zapisy w Kodeksie opiekuńczym i wychowawczym. Sąd wówczas może ustanowić tak zwany nadzór kuratora przy kontaktach jednego rodzica z dziećmi czy dzieckiem i określa, jak często ten kontakt ma trwać. No i sąd ustanawia, że w takim razie podczas tych wszystkich kontaktów jednego rodzica z dziećmi czy z dzieckiem będzie uczestniczył kurator. To nie jest w żaden sposób uwarunkowane przepisami – ile godzin ma trwać ten kontakt, gdzie się powinien odbywać. To jest kompletna dowolność, czy to święta, czy to sobota czy niedziela, sąd może określić, że od godziny 9:00 albo 10:00 do godziny 15:00 albo 17:00 kurator ma sprawować nadzór nad przebiegiem takiego kontaktu i wówczas taki kurator jest z tą rodziną wszędzie tam, gdzie ona jest. Tata jedzie z dziećmi na pizzę – kurator jedzie z nimi na pizzę. Na basen, miejsce zabaw, na działkę. To jest naprawdę dramat" – przedstawił swoje doświadczenie w zawodzie w wywiadzie dla „Polski Plus". Bloger twierdził, że system jest kompletnie niewydolny i nie monitoruje poczynań dorosłych osób, które wyrwano za dzieciaka z patologicznych rodzin i przekazano do pieczy zastępczej.

– Muszę przyznać, że utrzymywałem w trakcie pracy w administracji rządowej dobre relacje z całym środowiskiem kuratorów. Zarówno zawodowymi, jak i społecznymi. I powiem jedno: kurator kuratorowi nierówny. Osobiście składałem zawiadomienia do prokuratury w sprawach trudnych, gdy dostrzegałem, że kurator nie dopełnił swoich obowiązków. Jeżeli widać było, że kurator przy odbiorach dzieci z rodzin nie wszystko zrobił tak, jak należało, to podpisywałem się pod zawiadomieniami do organów ścigania – przy całym szacunku do środowiska, które jest potrzebne. Kiedy w grę wchodzi niesprawiedliwe odebranie dzieci, trzeba być zerojedynkowym – mówi Michał Wójcik.

– Zasadniczo różni ludzie trafiają do tego środowiska. Są w nim ludzie oddani ciężkiej misji, ale i tacy, którzy też z przypadku trafiają do środowiska. Pilną potrzebą jest zmiana szkoleń kuratorów i ich większa profesjonalizacja. Z pewnością kuratorzy otrzymują zbyt dużo zadań, to bardzo niewdzięczna i trudna praca. Ale nie może być tak, że zmarło niemowlę i ktoś będzie się zasłaniał nadmiarem obowiązków – wskazuje.

eprasa.pl 0522f7d004

Kuratorzy domagają się zmian

Rząd PiS w kwietniu 2023 roku zmienił ustawę o kuratorach sądowych – była to najobszerniejsza nowelizacja w tym temacie od ponad 20 lat. Zakładała on wprowadzenie osobnego rozdziału w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, dotyczącego postępowania wykonawczego w sprawach rodzinnych i w sprawie kurateli. Przyznano kuratorom uprawnienia do pouczania uczestników kontaktu z dzieckiem, przerywania spotkania w razie stwierdzenia jakiegokolwiek zagrożenia, informowania sądu o incydentach. Ponadto zmiany zakładały ograniczenie czasu trwania kontaktów pod nadzorem kuratora do maksymalnie czterech godzin. Szkolenia aplikantów kuratorskich przekazano Szkole Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości.

Ale środowisko podczas kongresu z jesieni 2024 roku wskazywało, że potrzeba jeszcze głębszej reformy – systemowej. Kuratorzy często stykają się z osobami z zaburzeniami psychicznymi, uzależnieniami i przemocą domową, a mają ograniczony dostęp do informacji o sytuacji rodzinnej podopiecznych – jak się okazuje, nie tylko o stanie zdrowia psychicznego, lecz także fizycznego, na przykład ciąży, jak w przypadku pani Magdaleny z Warszawy. Kuratorzy narzekają na to, że instytucje, które powinny ich wspierać, są dysfunkcyjne – jak sądy czy resort sprawiedliwości. Przedstawiciele ministerstwa, tak chwalący pracę kuratorów podczas kongresu, obiecywali zmiany, ale po upływie dziewięciu miesięcy nie przedłożono do Sejmu stosownego projektu. Pod koniec czerwca weszło w życie tylko wspomniane rozporządzenie, podnoszące płace i dodatki służbowe dla kuratorów zawodowych oraz wynagrodzenia aplikantów kuratorskich.

Dramaty rodzin z udziałem kuratorów

Brak należytej reakcji, gdy zdrowie dziecka jest zagrożone, a z drugiej strony oschłość, wybiórczość i nierzetelność w kontaktach z rodzinami – to najczęstsze zarzuty, jakie padają od lat pod adresem kuratorów. Mimo konsekwencji dyscyplinarnych, jakie grożą im na mocy ustawy, włącznie z wyrzuceniem ze służby w razie rażącego naruszenia prawa, ani resort sprawiedliwości, ani sądy nie publikują danych i statystyk dotyczących prowadzonych postępowań dyscyplinarnych. Nie wiemy, ilu kuratorów rocznie odpowiada za niedopełnienie obowiązków czy nieetyczne działania. A to z kolei prowadzi do poczucia bezkarności tej grupy. W tych sprawach oni zawiedli, doprowadzając wielokrotnie do ludzkich dramatów.

W 2023 roku Kamilek z Częstochowy został brutalnie pobity na śmierć przez swoich rodziców – opraw-ców. Ojczym maltretował ośmiolatka, przypalając go m.in. żelazkiem. Kluczowym momentem, który mógł uratować dziecku życie, była odmowa ustanowienia pieczy zastępczej przez Sąd Rejonowy w Częstochowie w sierpniu 2022 roku. Decyzję tę oparto głównie na opinii kuratora sądowego, który wcześniej, w czerwcu, nie stwierdził przesłanek do odebrania dziecka biologicznym rodzicom.

Rok temu media opisywały historię 8-letniej Ines z Piaseczna, która została siłą odebrana rodzinie zastępczej – wujkowi i cioci, którym przyznano opiekę po śmierci matki nieletniej. Mieszkała z nową rodziną trzy lata. Dziewczynkę wyrwano z ramion ciotki w obecności policji i kuratorki sądowej. Nie chciała trafić do ojca Belga, którego w ogóle nie znała. Awantura działa się na oczach pracowników ośrodka interwencji kryzysowej, kuratorki i policjantów. Zbagatelizowano wolę Ines, nie przejęto się jej stanem psychicznym. Natychmiast wykonano decyzję sądu rodzinnego.

Poseł Michał Wójcik wspomniał w rozmowie z „Nowym Państwem" o interwencji w sprawie ośmioletniej Yasminy. W telegraficznym skrócie: dziewczynka została odebrana matce w Polsce i przekazana ojcu, obywatelowi Maroka, mieszkającemu we Włoszech. Działo się tak na mocy prawomocnego postanowienia sądu, wykonanego w obecności kuratora sądowego. Yasmina urodziła się we Włoszech. Gdy miała rok, jej rodzice się rozstali. Włoski sąd ustalił zasady wspólnej opieki. W 2017 roku matka dziewczynki zabrała ją do Polski bez wiedzy ojca i sądu. Twierdziła, że Marokańczyk stosował przemoc domową. Włoski sąd jednak uniewinnił Mohammeda S. od zarzutów znęcania się nad nią i jej dziećmi. Następnie ojciec wystąpił do polskiego sądu o zwrot dziecka, powołując się na konwencję haską. Sądy w Nysie, Opolu i we Wrocławiu uznały, że Yasminie nie grozi niebezpieczeństwo ze strony ojca, i nakazały powrót dziecka do Włoch. Matka odmówiła wykonania wyroku, dlatego 5 listopada Mohammed S. odebrał córkę w szkole w asyście policji i kuratora. – Zażądałem, aby dwójka kuratorów napisała w sprawozdaniu, jak wykonała postanowienie sądu. I taki dokument trafił do resortu sprawiedliwości – opisuje nam poseł Wójcik.

Historia sprzed 12 lat pięcioletniego Maćka z Kokorzyc również poruszyła ludzi. Chłopiec, od niemal urodzenia wychowywany przez dziadków, miał zostać odebrany decyzją sądu, bo według kuratorki sądowej zmagał się z… nadwagą. Maciuś ważył 31 kg przy 109 cm wzrostu. Kuratorka sądowa wnioskowała do sądu o odebranie dziecka babci. Przy tym zarzuciła opiekunom, że niewłaściwie sprawują opiekę i nie chodziła z wnukiem do lekarza. Pretensje kierowała do rodziny zastępczej w obecności dziecka. Bezdusznych przykładów aktywności kuratorów było w Polsce dużo, dużo więcej. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Hubert Kowalski

Państwo silne wobec słabych rodzin. Wciąż odbierają dzieci biednym rodzicom

W Polsce dzieci są odbierane z powodu m.in. niepełnosprawności rodziców czy biedy. Zamiast pomocy państwo stosuje wręcz przemoc instytucjonalną, zamiast chronić rodziny. Tysiące rodzin, często bez wsparcia i nadziei, tracą swoje dzieci, zderzając się z biurokratyczną machiną, co czasami prowadzi do prawdziwych tragedii. Odbieranie dzieci stało się metodą karania za ubóstwo i różnego rodzaju kryzysy. Pokazują to kolejne wstrząsające sprawy. Poważny problem dobitnie zobrazowała śmierć malutkiego Oskarka w rodzinie zastępczej.

eprasa.pl 0522f7d004

Odbieranie dzieci rodzicom przez różne instytucje jest ingerencją w najważniejszą ludzką więź, czyli rodzinę. W założeniu ma chronić dobro dziecka w sytuacjach zagrożenia, jednak w praktyce bywa, że podejmowane czynności budzą bardzo poważne wątpliwości co do proporcjonalności działań, które czasami prowadzą do skutków odwrotnych do zamierzonych.

Odebranie za nadwagę czy „złe warunki mieszkaniowe"

W 2013 roku wzburzenie opinii publicznej wywołała sprawa 5-letniego Maćka z woj. dolnośląskiego, który miał około 10 kg nadwagi w stosunku do normy dla jego wieku i wzrostu. Chłopiec został oddany pod opiekę dziadków, gdy miał zaledwie 4 miesiące. Jego biologiczna matka zmagała się z uzależnieniem od leków, co uniemożliwiło jej sprawowanie opieki nad dzieckiem. Kurator sądowy złożył wniosek do sądu w Środzie Śląskiej o odebranie Maćka dziadkom. Powodem była nadwaga chłopca oraz zarzut, że opiekunowie nie stosują się do zaleceń lekarzy i niewłaściwie go karmią. Kurator stwierdziła, że dziecko jest „pasione jak świnia". Dziadkowie zapewniali, że starają się dbać o zdrowie wnuka, a nadwaga może mieć podłoże genetyczne, ponieważ również jego matka była osobą otyłą. Po rozpatrzeniu sprawy sąd w Środzie Śląskiej zdecydował, że Maciek pozostanie z dziadkami. Dziadkowie kontynuowali pracę nad poprawą diety Maćka, współpracując z dietetykiem i wprowadzając zdrowe nawyki żywieniowe. Chłopiec zaczął chudnąć i poprawił swoje zdrowie.

Sprawa rodziny Smykowskich z Wałbrzycha była jednym z najbardziej kontrowersyjnych przypadków interwencji państwa w życie rodziny w Polsce. Dotyczyła ona odebrania pięciorga dzieci małżeństwu Angelice i Mariuszowi Smykowskim przez MOPS w Wałbrzychu w grudniu 2014 roku. MOPS wskazywał na złe warunki mieszkaniowe, brak łazienki, chłód w mieszkaniu oraz zagrożenie zdrowia dzieci. Z kolei rodzice twierdzili, że zapewniali dzieciom odpowiednią opiekę i nie zgadzali się z oceną MOPS. Sąd początkowo zgodził się z decyzją MOPS i dzieci trafiły do domu dziecka. Rodzina złożyła zażalenie, a sprawa zyskała szerokie zainteresowanie mediów i organizacji pozarządowych. W lutym 2015 roku sąd zdecydował, że dzieci mogą wrócić do rodziców, jednak pod warunkiem współpracy z kuratorem, asystentem rodziny oraz uczestnictwa w terapii wychowawczej. Rodzina zmieniła mieszkanie i zamieszkała w Ośrodku Interwencji Kryzysowej.

Śmierć Oskarka

Ostatnio natomiast najwięcej emocji wzbudziła sprawa czteromiesięcznego Oskarka i jego starszej siostry, których odebrano rodzinie biologicznej, ponieważ matkę zabrano do więzienia z powodu wyroku za pomocnictwo w oszustwie internetowym. Niemowlak niestety zmarł w rodzinie zastępczej. Nie było żadnych konkretnych informacji o przyczynach śmierci, poza stwierdzoną niewydolnością krążeniowo-oddechową. Rząd zaczął wyjaśniać sprawę dopiero po nagłośnieniu tej tragicznej sytuacji. Poszczególne instytucje wydawały komunikaty, które często przedstawiały przebieg zdarzeń w odmienny sposób. Wiele szczegółów tej sprawy ujawniła „Gazeta Polska Codziennie".

Początkiem tragedii był dzień 14 listopada 2024 roku, kiedy Magdalena W. została skazana na karę ograniczenia wolności, która miała polegać na wykonywaniu nieodpłatnej pracy na cele społeczne. Została skazana za pomocnictwo w popełnieniu oszustwa polegającego na sprzedaży rzeczy przez internet, do której nie doszło. Kurator sądowy wezwał skazaną, aby pouczyć ją o karze i sposobie jej realizacji. Magdalena W. nie stawiła się, ponieważ była w zaawansowanej ciąży. Skazana mejlowo wytłumaczyła, że ma chore dziecko i nie może stawić się w terminie. Kurator miał więc poprosić o stawiennictwo telefonicznie, ale Magdalena W. poinformowała, że tego nie zrobi. W marcu kurator skierował wniosek o orzeczenie kary zastępczej pozbawienia wolności za to, że kobieta nie podjęła pracy na cele społeczne, i zarzucił jej „postawę lekceważącą". W połowie maja do warszawskiego mieszkania Magdaleny i Jakuba, rodziców czteromiesięcznego Oskarka i trzyletniej Leny, weszła policja. W mieszkaniu była także 71-letnia pani Halina, prababcia dzieci. Policjanci mieli sądowy nakaz doprowadzenia matki dzieci do zakładu karnego. Nie chcieli zostawiać dzieci pod opieką pani Haliny, a ojcu pracującemu na budowach mieli dać dwie godziny na przyjazd, co było niewykonalne. Prababcia deklarowała chęć zajęcia się dziećmi, o czym mówiła także później w rozmowach z mediami. Inną wersję na posiedzeniu sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży przedstawiła dyrektor biura kontroli Komendy Głównej Policji, insp. Dorota Przypolska. – Zapytano również prababcię, czy będzie w stanie się opiekować tą dwójką dzieci. Prababcia zaprzeczyła, twierdząc kategorycznie, że nie jest w stanie zaopiekować się dwójką małych dzieci, mając pod opieką dwie niepełnosprawne córki – mówiła insp. Dorota Przypolska. Na ogół przyjmuje się, że rodzeństwo powinno trafić do pieczy zastępczej razem, ponieważ rozłąka mogłaby doprowadzić do traumy. Dzieci jednak zostały rozdzielone. Po czterech dniach, czyli 19 maja, Oskar zmarł. Magdalena została przewieziona na

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 0522f7d004

pogrzeb dziecka w więziennym drelichu i kajdankach zespolonych. O możliwości wnioskowania o inne sposoby odbycia kary miała dowiedzieć się od współosadzonych w więziennej celi. W pisemnej dokumentacji nie ma informacji, że matka Oskarka uzyskała wiedzę o takich możliwościach. O śmierci syna dowiedziała się od wychowawczyni z zakładu karnego. Przekazała, że nawet po tej wstrząsającej informacji odmówiono jej wizyty u psychiatry. Podczas sejmowej komisji informowano też, że działania kontrolne podjęto niedługo po śmierci dziecka. Okazało się, że postępowanie kontrolne Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawskim Centrum Pomocy Rodzinie zostało wszczęte 27 czerwca 2025 roku. Kontrolę podjęto więc dopiero po nagłośnieniu sprawy.

Matka Oskarka opuściła zakład karny, aby odbyć karę w systemie dozoru elektronicznego. Zgodziła się na to komisja penitencjarna. Jednak po wyjściu z więzienia nie mogła jeszcze zabrać do domu swojej córki Leny, mimo że już 28 maja do sądu trafił wniosek babci dziecka o ustanowienie rodziny zastępczej. Po wyjściu matki Oskarka jej adwokat Magdalena Majkowska z Centrum Interwencji procesowej Ordo Iuris musiała podjąć kolejne działania m.in. mające na celu odzyskanie Leny.

„Dziecko potrzebuje bliskości"

Poseł PiS Michał Wójcik ocenił w rozmowie z „Gazetą Polską", że w tej sprawie popełniono szereg fatalnych błędów. – Fatalnym błędem było rozdzielenie dzieci. Nie wolno tego robić – mówił. Zwrócił uwagę, że działania podejmowane przez kolejne instytucje trwały zdecydowanie zbyt długo, mimo że powinny one działać niezwłocznie. – Matka dziecka nie jest groźnym przestępcą, raczej zagubioną osobą, której należało pomóc, ale państwo nie pomogło jej w sytuacji dramatycznej – podkreślił. Ostro skrytykował też bezczynność władzy. – Państwo musi interweniować natychmiast – podkreślił. Przypomniał, że w czasach jego pracy przy podobnych sprawach szybko reagowano i wyciągano konsekwencje. Zwrócił uwagę, że w tej sprawie przedstawiciele rządu próbowali przerzucić winę na matkę. Przyznał, że z działań państwowych instytucji wynika, iż zignorowano stan emocjonalny malutkiego dziecka i jego więź z matką. – Takie dziecko potrzebuje bliskości mamy. Zachowano się tak, jakby tej więzi z najbliższymi nie było, jakby to było obojętne, jakby nie istniało, bo to przecież malutkie dziecko, które nie czuje. Dziecko powinno być z bliskimi, ono czuje, ważna jest ta bliskość – podkreślił Michał Wójcik.

Niepełnosprawność rodziców

Kolejną sprawą, która niedawno wstrząsnęła Polakami, było odebranie Antosia rodzicom niedługo po jego narodzinach. Powodem była niepełnosprawność rodziców, którzy jednak deklarowali, że będą w stanie zająć się dzieckiem. Historia Patrycji Wiżgały i Łukasza Knapczyka oraz ich synka Antosia z Lwówka Śląskiego ujrzała światło dzienne w programie „Reporterzy" TVP. Lekarze z Wojewódzkiego Centrum Szpitalnego Kotliny Jeleniogórskiej zgodnie uznali, że rodzice chłopca nie poradzą sobie z opieką nad nim. Matka porusza się na wózku inwalidzkim i za pomocą balkonika, a ojciec leczy się psychiatrycznie, ale przekonuje, że jest pod stałą opieką lekarzy i funkcjonuje normalnie. Gotowość do sprawowania opieki nad Antosiem zgłaszała też jego babcia. Lekarze obserwowali rodzinę tylko przez dobę. W oświadczeniu po nagłośnieniu sprawy dyrekcja szpitala przekonywała, że dochowano wszelkich procedur mających na celu ochronę noworodka. Szpital o swoich wątpliwościach co do rodziców mejlowo poinformował opiekę społeczną w Lwówku Śląskim, która następnie wystąpiła do miejscowego sądu o zabezpieczenie dziecka. Sąd z kolei ustanowił rodzinę zastępczą około 500 km od rodzinnego domu Antosia. MOPS tłumaczył, że nie zastosowano innej formy wsparcia, na przykład asystenta rodziny, ponieważ… nie było takiego wniosku. Adwokat Ernest Ziemianowicz poinformował później portal Niezalezna.pl o podjęciu starań o urlopowanie Antosia, które polega na umożliwieniu rodzicom zabrania dziecka z rodziny zastępczej do domu tymczasowo. – Chodzi o to, żeby dać im szansę, aby mogli zaopiekować się Antosiem na przykład przez kilka dni. Okazało się, że MOPS zaoferował rodzicom usługę asystenta rodziny. Szkoda, że tak późno, ale cieszymy się, że jest – mówił adwokat. – Ci ludzie nie otrzymali odpowiedniego wsparcia chociażby na przystosowanie ich mieszkania m.in. dla potrzeb pani Patrycji – zwrócił uwagę adwokat rodziny. Ocenił, że zabrakło przewidywalności. – Widać brak pomocy i zaangażowania. Jako adwokat jestem przerażony. Pracownicy opieki społecznej przyszli, powiedzieli, że będzie asystent rodziny, zostawili im plik dokumentów, ale nie pomogli ich wypełnić, ja to zrobiłem. Niestety widać znieczulicę i brak empatii – mówił adwokat Ernest Ziemianowicz.

Czyhająca opieka społeczna

Wiele organizacji społecznych i ekspertów podkreśla, że zamiast odbierać dzieci, państwo powinno wesprzeć rodzinę, na przykład poprzez asystenta ro-

eprasa.pl 0522f7d004

dziny, pomoc materialną czy dostęp do mieszkań. Praktyka jednak bywa odwrotna. Łatwiej jest odebrać dziecko i umieścić je w pieczy zastępczej, niż realnie pomóc rodzinie wyjść z biedy.

Piotr Ikonowicz, działacz społeczny z Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej, zwraca uwagę w rozmowie z miesięcznikiem „Nowe Państwo", że instytucje państwowe często podają inny niż bieda powód odebrania dziecka, ale taki, który ściśle wiąże się z ubóstwem, na przykład sytuację mieszkaniową. Przypomina, że w przeszłości zdarzało się, że eksmitowano na bruk nawet dzieci, kobiety ciężarne czy niepełnosprawnych. – Teraz polskie prawo nie dopuszcza, żeby dziecko było bezdomne, więc zabiera się to dziecko rodzicom i umieszcza w rodzinie, która ma mieszkanie. Natomiast pobyt dziecka w domu dziecka czy w rodzinie zastępczej kosztuje bardzo dużo pieniędzy. Tymczasem wystarczyłoby wydać o wiele mniej, żeby dzieci oraz rodzice nie trafili na bruk. Czyli nawet z punktu widzenia pewnej efektywności wydatkowania pieniędzy publicznych pomoc materialna jest lepszym rozwiązaniem niż zabieranie dzieci. Ja zresztą sam miałem takie doświadczenie, że przyszła do nas para z dzieckiem i chciałem to dziecko zabrać, bo oni byli bezdomni i spali we trójkę w samochodzie, dziecko na tylnej kanapie, i nawet nie straciło ani godziny lekcyjnej. A rodzice siedzieli z przodu. Myśmy ich przyjęli do nas, byli u nas, trzy pokoje, osiem osób. Teraz już mają mieszkanie – mówi Piotr Ikonowicz.

Według naszego rozmówcy innym problemem jest postępowanie domów dziecka wobec wychowanek, które zostały matkami. – Znam sytuacje, i nie są one odosobnione, kiedy dziewczyna z domu dziecka rodzi dziecko i zabierają jej to dziecko już w szpitalu. Dlaczego? Bo wychodzą z założenia, że skoro ona nie wychowała się w rodzinie, to nie jest w stanie takiej rodziny stworzyć dla dziecka. To są arbitralne decyzje, tak naprawdę niczym nieuzasadnione. Te młode kobiety bardzo często mają kłopot ze stworzeniem takiego związku, który byłby trwały, a to dlatego, że są tak osamotnione i wygłodzone uczuć, że padają ofiarą różnych nieodpowiednich osób. Ale one uważają posiadanie tego dziecka za zalążek ogniska domowego. Bo ona i dziecko to już jest rodzina, a to są osoby, które bardzo łakną posiadania rodziny. Krzywda w postaci odbierania tych dzieci jest tym większa, im większy jest ten deficyt – ocenia działacz społeczny. Zwraca uwagę na trudną sytuację samotnych matek. – Samotna matka musi wyżywić dzieci, czyli zarobić pieniądze, a jednocześnie oczekuje się, że te dzieci będą pod dobrą opieką przez całą dobę, a więc matka nie może się od nich oddalać. Jeżeli przestanie zarabiać, to te dzieci będą miały braki materialne, za które jej te dzieci odbiorą, a jeżeli zostawi dzieci z koleżanką czy sąsiadką, to również może mieć problemy. Ona jest ciągle na cenzurowanym i ciągle obserwowana, to rzeczywistość wielu młodych kobiet. One często rezygnują z korzystania z pomocy społecznej, bo pomoc społeczna budzi w nich przerażenie. Jest uważana za wroga, który czyha na odebranie praw rodzicielskich – zwraca uwagę.

> Zamiast odbierać dzieci, państwo powinno wesprzeć rodzinę, na przykład poprzez asystenta rodziny, pomoc materialną czy dostęp do mieszkań. Praktyka jednak bywa odwrotna. Łatwiej jest odebrać dziecko i umieścić je w pieczy zastępczej, niż realnie pomóc rodzinie wyjść z biedy.

Opowiada historię 93-letniego mężczyzny. – Przyjechał samochodem, bo nie tylko prowadzi samochód, lecz także świadczy usługi transportowe. Dlaczego musi to robić? Dlatego że jego córka po porażeniu mózgowym z niedowładem prawej ręki i prawej nogi urodziła trójkę dzieci, mieszka z nim razem w jednoizbowym mieszkaniu, jeszcze z mężem. Jedno z dzieci tej córki ma wodogłowie. Jeszcze do niedawna pracowała jako sprzątaczka w domu handlowym. Ta rodzina robi wszystko, żeby przetrwać, są bohaterami w moim pojęciu. Ten człowiek zwrócił się do pomocy społecznej o jakieś wsparcie. Opieka społeczna zaczęła się zastanawiać nad odebraniem dzieci – opowiada Piotr Ikonowicz. Podkreśla, że takie momenty powodują, iż ludzie w ciężkiej sytuacji życiowej omijają pomoc społeczną. – Uważają te instytucje za wroga, który chce odebrać dzieci. To musi się zmienić. Oni muszą widzieć w tych instytucjach swoich sprzymierzeńców, ale te instytucje rzadko zachowują się jak sprzymierzeńcy – podsumowuje Piotr Ikonowicz. ■

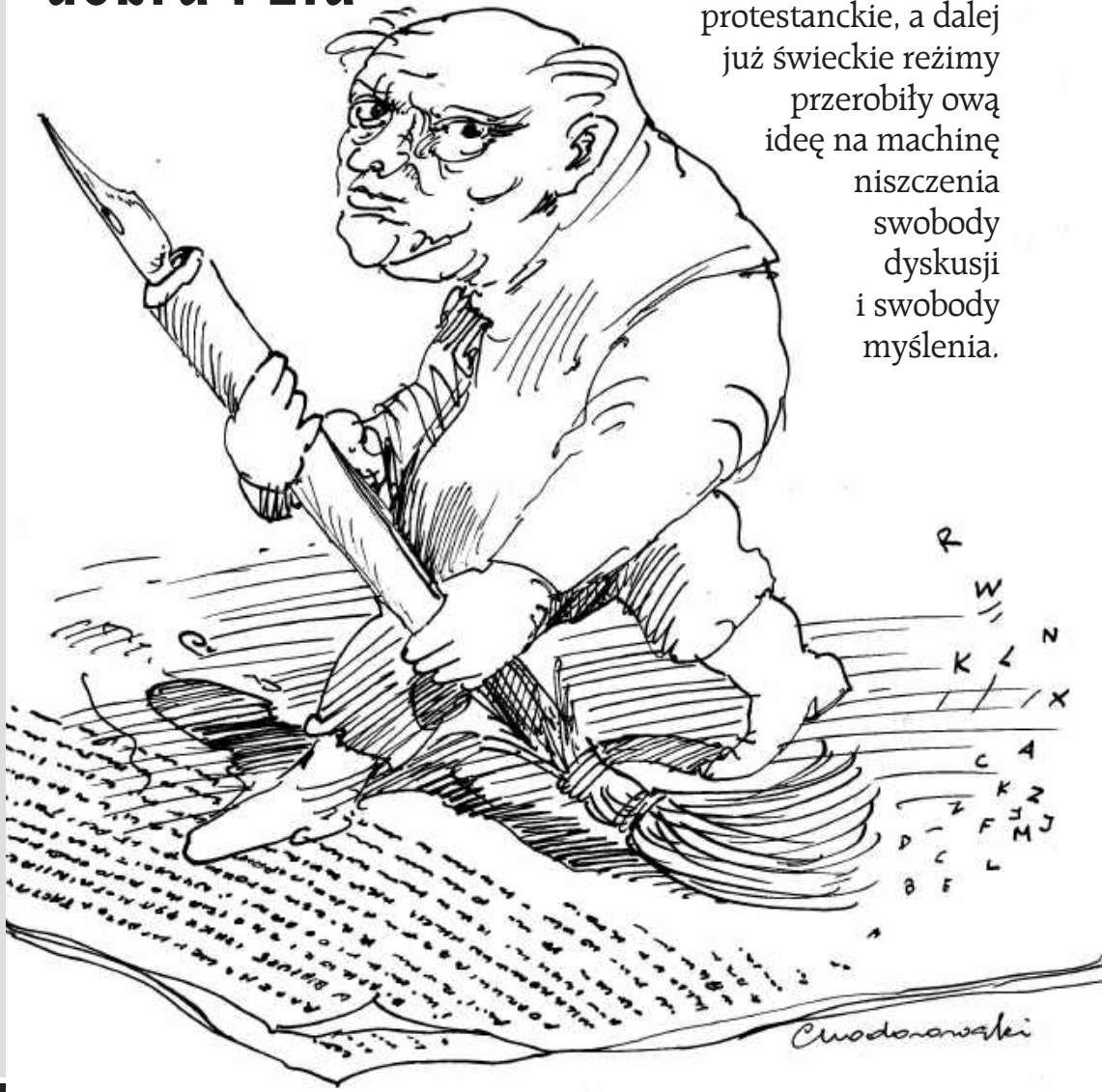
eprasa.pl 0522f7d004

Jakub Augustyn Maciejewski



CENZURA dobra i zła

Słusznie kojarzy nam się z cyniczną walką państwowego aparatu z wolnością słowa. A jednak sama cenzura powstała do zupełnie innych celów, tylko później państwa protestanckie, a dalej już świeckie reżimy przerobiły ową ideę na machinę niszczenia swobody dyskusji i swobody myślenia.



eprasa.pl 0522f7d004

Słowo „censura», pochodzące z łaciny, oznacza po prostu „sprawdzanie». I trudno żeby w świecie intelektualnym nie sprawdzać wypowiedzi, zwłaszcza wobec nauki czy najważniejszych dla wspólnoty spraw. Pierwotnie jednak nie chodziło o zabronienie publikacji, lecz o dyskusję i udowadnianie własnych tez. Dziś przecież pseudonaukowe bzdury i twierdzenia bez pokrycia mnożą się w debacie publicznej i zatruwają ludzkie umysły i nie ma narzędzia, by sobie z tym poradzić. Roman Giertych rozsiewa teorie spiskowe o wyborach, Tomasz Piątek wysysa z palca tezy o prorosyjskości PiS i choć zakaz kłamstwa w demokracji jest słusznie zakazany, to jednak na razie metody powstrzymywania dezinformacji nie wymyślono. A może właśnie wymyślono?

Pierwotna censura

Średniowieczny Kościół wprowadzał ową censurę na zasadach zupełnie innych niż późniejsza walka z wolnością słowa i inaczej niż dziś sobie to wyobrażamy. Z założenia chodziło o to, by nie publikować dzieł wewnętrznie sprzecznych, a więc nieprawdziwych. Nieprzypadkowo pierwsze akty censury stosowano od XIII wieku, gdy średniowieczna elita na nowo zapoznała się z dziełami Arystotelesa, także tymi opisującymi logikę i dochodzenie do prawdy. A dla ówczesnych katolików prawda była najwyższym dobrem i jeśli ktoś z Pisma Świętego wyczytywał bzdury, to był wielorako niebezpieczny – duchowo (mylił Boskie zasady), intelektualnie (bo błędnie rozumował) i społecznie (bo jego teorie prowadziły do nowych relacji międzyludzkich).

Gdyby szukać prakorzeni cenzury, można by wskazać walkę hierarchów kościelnych z herezjami. Jakież to bzdury tworzyli odstępcy! Doketyści wierzyli na przykład, że Jezus był tylko Bogiem, nie człowiekiem, że nawet ciała nie miał, a ludzie widzieli coś, co byśmy dziś nazwali hologramem. Obrażało to sens poświęcenia Chrystusa i Jego męczeństwo, zaprzeczało konkretnym fragmentom Ewangelii (na przykład że Jezus dotykał chorych) i prowadziło do budowy nowego, chorego społeczeństwa – lekceważącego potrzeby ciała i uważającego fizyczność za niepotrzebne zło. O ile w dalekiej Azji, głębokiej Afryce czy pogańskiej Skandynawii można było sobie opowiadać o duchach, bogach i zjawach, o tyle w łonie katolicyzmu obowiązywała jedna i sprawdzona doktryna – herezje więc zwalczano, gdy swoich teorii autor nie potrafił udowodnić, a jeśli mu się udawało przyjść z koncepcją, która przekonała na przykład papieża, wprowadzano ją w życie. Tak było ze św. Franciszkiem, który uważał, że jego zakonnicy powinni żyć w biedzie i utrzymywać się z jałmużny. Pachniało to trochę bogomilstwem – sektą z Bałkanów – ale ostatecznie to Franciszek z Asyżu przekonał Innocentego III i stworzył nowy zakon. Dało się? Owszem, ale stając twarzą w twarz z decydentami, a nie rozprzestrzeniając rewolucyjne tezy z daleka i z ukrycia.

To, co wówczas roztaczano w Kościele jako censurę (sprawdzanie), funkcjonuje także dzisiaj, również w spójnych i zamkniętych instytucjach. Obrona pracy magisterskiej czy doktorskiej też musi polegać na uznanych zasadach i warsztacie naukowym i twierdzenia kłamliwe są odrzucane (a więc cenzurowane!). Podobnie w szkołach naucza się według konkretnego kanonu i nauczycielowi nie wolno (a więc cenzuruje się go) mówić, że Ziemia jest płaska, a Adam Mickiewicz nie istniał. Podobnie było więc z katolickim uniwersum średniowiecza, które powoli tworzyło takie instytucje sprawdzające (cenzurujące), zwłaszcza wraz z rozwojem – od 1275 roku – europejskich uniwersytetów. Pierwsi zatem zawodowi intelektualiści byli bacznie obserwowani, czy i oni zbyt swobodnie nie interpretują sobie Pisma Świętego czy innych źródeł wiary. Pierwotnie nad prawomyślnością w danym mieście czuwał po prostu miejscowy biskup. Sięgał on czasem po wykładowców uniwersyteckich, gdy trzeba było sprawdzać rozmaite świeckie teksty, a od XV wieku, wraz z powstaniem druku, potrzeby sprawdzania pism stały się powszechniejsze. W 1479 roku papież Sykstus IV ogłosił brewe dla uniwersytetu w Kolonii, który miał od teraz sprawdzać miejscowe druki. Innocenty VIII zobowiązywał autorów do poddania się egzaminom (przed biskupami lub profesorami) przed drukiem swojego dzieła.

Zwróćmy tu uwagę na dwa charakterystyczne elementy pierwotnej, chrześcijańskiej censury, bo wkrótce znikną one, gdy za walkę z wolnością słowa wezmą się aparaty państwa i władze świeckie. Po pierwsze, Kościół sprawdzał nowe teksty, by zweryfikować, czy jest tam napisana prawda. Owszem, zdarzały się pomyłki albo nierozstrzygnięte spory (do dziś nie wiemy na pewno, na ile Galileusz właściwie doszedł do swoich wniosków, a na ile zgadł pewne zasady ruchu ciał niebieskich), ale cel był jasny: publikować sprawdzone informacje.

Druga zasada owej censury również była wyraźna – sprawdzanie odbywało się poprzez polemikę z autorem. Napisałeś coś, zbadałeś jakiś temat, jesteś pewien odkrycia? – skonfrontuj go z antago-

ILUSTRACJA ANTONI CHODOROWSKI

eprasa.pl 0522f7d004

nistą i przekonaj decydentów. Bywali autorzy, którzy byli czegoś pewni we własnym gronie, a w obliczu stawienia się na debacie z innym intelektualistą, wycofywali się z konfrontacji. Tak było w przypadku Piotra Abelarda w XII wieku, który na wezwanie mnicha Bernarda z Clairvaux, wolał zmienić zdanie niż być zmiażdżonym w dyskusji z wybitnym teologiem. Zatem dochodzenie do prawdy i dyskusja nad tezami były fundamentami tamtejszej censury. Zmieniło się to jednoznacznie w XVI wieku – wtedy narodziła się znana nam cenzura, która przepoczwarza się i obrasta w nowe narzędzia aż do dziś. I wcale nie chodzi jej o prawdę.

Teraz państwo chce cenzurować

Gdy w 1555 roku skończyła się w centralnej Europie wojna pomiędzy państwami katolickimi a protestanckimi, cenzura stała się tym, co znamy i dzisiaj. Władcy protestanccy potrzebowali umocnić swoją władzę i zakazywali pism katolickich, bez sprawdzania ich treści pod kątem prawdomówności i bez egzaminowania autorów. Zakazywano druku i rozpowszechniania – bo pochodziły ze świata katolickiego. I tak na przykład w 1557 roku książę Palatynatu Wolfgang Wittelsbach zlikwidował klasztory zakonne w swoim władztwie, skonfiskował ich majątki i zakazał druku pism katolickich – niektóre przecież chwaliły życie zakonne, które on zdelegalizował. Nie chodziło tu więc o prawdę, a o obronę decyzji księcia, nie przebiegało to w procesie sprawdzania argumentów, a arbitralnej decyzji. W podzielonym na ponad 500 państewek cesarstwie niemieckim cenzura stała się więc powszechna w zależności od wyznania, zwłaszcza gdy protestantyzm zaczął się dzielić na rozmaite odłamy. Wtedy też pojawiły się wszystkie absurdy cenzury świeckiej, które znamy do dziś. Bywali przecież władcy, którzy z dnia na dzień zmieniali wyznanie i oto te księgi, które wczoraj były zakazane, stawały się oficjalnie prawdziwe, a te do wczoraj prawdziwe były cenzurowane i palone. To wszystko działo się z dnia na dzień, nie z troską o prawdę i nie w debacie publicznej, lecz arbitralną decyzją z góry. Tak było w przypadku Jana Zygmunta Hohenzollerna, który w 1613 roku porzucił luteranizm na rzecz kalwinizmu – brandenburskie i pruskie drukarnie musiały dyskretnie pozbywać się wczorajszych zamówień, biorąc nowe zlecenia, których wcześniej odmawiały.

Cenzura pozbawiona fundamentu prawdy i dyskusji zaczęła pożerać inne dziedziny życia niż tylko religię. Skoro bowiem o zbawieniu wolno pisać, że dokonuje się ono przez pracę zarobkową (kalwinizm), to dlaczego nie zabronić krytykowania władcy? Albo ocenzurować kalendarz? Gdy w Kościele katolickim w 1582 roku przeprowadzono reformę kalendarza, by ten oficjalny zgadzał się z kalendarzem astronomicznym, państwa protestanckie w sprzeciwie wobec papieża – ale przecież jednocześnie nauki – zostały przy kalendarzu juliańskim, przesuniętym o 10 dni względem rzeczywistości. Anglia pogodziła się z kalendarzem gregoriańskim dopiero 170 lat później, bo wcześniej cenzurowano astronomiczne odkrycie kościelnych obserwatorów nieba. Gdzie więc dochodzenie do prawdy tak jednoznacznej jak ruch gwiazd? A gdzie dyskusja z autorami reformy kalendarza? Z takim podejściem cenzura mogła się rozwijać już bez oporu, również w krajach katolickich. Zygmunt III Waza obraził się na przykład na wybitnego pisarza szlacheckiego, księdza Szymona Starowolskiego, że ten niepochlebnie opisał jego jagiellońskich przodków. Nie było za to srogiej kary, bo jedynie 50 egzemplarzy książki skonfiskowano i nakazano w nowym druku poprawić nielubiane przez monarchę fragmenty, ale chodziło o zasadę – władza decyduje, co wolno twierdzić, a czego nie. Gdy jednocześnie w Kościele katolickim powstał słynny Index Librorum Prohibitorum, to nadal stosowano dwa założenia censury – dochodzenie do prawdy i dyskusję z autorem. Słynny Galileusz odbywał wręcz dziesiątki debat ze swoimi antagonistami z inkwizycji, a nie umiejąc przekonać rozmówców do swoich odkryć, został skazany na... odmawianie psalmów. Co stało się z jego tekstami? Wbrew legendzie nie palono ich na stosach i nie zakazywano druku. Dzieła Galileusza musiały być jednak zmodyfikowane i przy

> HISTORIA UCZY, ŻE ZAMYKANIE UST NIEPRAWOMYŚLNYM RZADKO KOŃCZY SIĘ DOBRZE – ZARÓWNO DLA PRAWDY, JAK I DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ JĄ GŁOSIĆ.

eprasa.pl 0522f7d004

przedstawianiu jego astronomicznych teorii dodawano słowa „ex supositione", czyli „przy założeniu". Pochodziło to z arystotelejskiej zasady wywodów – można snuć rozmaite wnioski, ale jeśli założenia nie są pewne, to zaznaczamy wśród czytelników, że jest to właśnie „założenie", a nie zweryfikowana prawda.

Władcy świeccy nie niuansowali – na skrzywienie ich twarzy zakazywano publikacji pism, a na przykład polskich traktatów politycznych – jak „O senatorze doskonałym" Wawrzyńca Goślickiego – na rozkaz angielskiej królowej Elżbiety I nie wolno było do królestwa nawet wwozić. Dosłownie – rozważania polskiego pisarza o cnotach polityków były poszukiwanym na statkach przedmiotem, który miał wylądować w morzu, gdyby zobaczono go na pokładzie.

Gdy więc cenzura pozbyła się dwóch filarów – prawdy i weryfikacji – jedynym i ostatnim filarem była decyzja władcy.

Cenzura rośnie i się wypacza

Cenzura zatem ewoluowała już krok w krok za ewolucją władcy – im bardziej wszechmocny był król czy parlament, tym więcej można było ocenzurować i bardziej wolność słowa ograniczyć. Jednak rozrost cenzury i rodzące się jej dodatkowe narzędzia – aż po dzisiejsze internetowe algorytmy, które ucinają nam komunikaty publikowane w mediach społecznościowych – to nie wszystkie konsekwencje ewolucji cenzury. Łatwo by było opisać przykłady coraz silniejszych ingerencji w debatę publiczną, bo przecież totalitarny PRL ze swoim Głównym Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk zatwierdzał i modyfikował każdą wydawaną w Polsce książkę. Cenzorzy czytali, zatwierdzali lub odrzucali treści, a jeśli wzywali autora do gabinetu, to nie po to, by bronił swoich tez, lecz by nakazać mu zmianę zgodnie z wytycznymi partyjnych propagandystów. Co więc zmieniło się jeszcze w cenzurze oprócz jej wszechobecności?

Przede wszystkim cenzura świecka, pozbawiona prawdy i dyskusji, coraz częściej zaczęła się mylić. To, co w danym momencie wydawało się słuszne, powracało czasem rykoszetem, szkodząc właśnie władzy. Najdobitniejszym przykładem jest praca cenzorów rosyjskich z 1868 roku. D. Skuratow i A. De-Roberti czytali bowiem wtedy „Kapitał" Marksa i obaj uznali, że ta książka nie tylko znakomicie nadaje się do publikacji w Rosji, lecz także że... wzmocni wizerunek dynastii Romanowów. Podkreślmy to wyraźnie – komunistyczna książka, która wysadzi w powietrze całe imperium rosyjskie i zamieni je w bolszewicki totalitaryzm, była dla reżimowej cenzury czymś dopuszczalnym i mile widzianym. Co więcej, cenzorzy zaakceptowali druk w Rosji, gdy reszta Europy nie chciała wydawać Karola Marksa, uznając jego prace za bezwartościowe. Macierzysta dla Marksa i Engelsa, ale przecież postępowa Wielka Brytania, opublikowała „Kapitał" dopiero 20 lat po zacofanej Rosji. Cenzorzy rosyjscy twierdzili więc, że praca opisująca wyzysk właścicieli fabryk na rzeszach robotników, będzie dla ich władcy o tyle korzystna, że w Rosji taki układ pracy *de facto* nie istniał, więc samodzierżawie cara miało okazać się lepsze niż „drapieżny" kapitalizm.

Nieszczelność cenzury potrafili wykorzystać inteligentniejsi twórcy. Zbigniew Herbert losy żołnierzy Armii Krajowej potrafił ukryć w opisie greckich bogów, a Michaił Zoszczenko napisał bajki o Leninie, które mu opublikowano, choć były tak przesłodzone i cukierkowe, że przecież z Lenina drwiły, zamiast go promować.

Ale cenzura w swojej omylności nabawiła się jeszcze jednego zwyrodnienia. Gdy była nieszczelna lub lekkomyślna, to puszczała szkodliwe dla niej treści; ale gdy była szczelna i surowa, to utajniała treści ważne i potrzebne dla władzy. Najsłynniejszym przykładem jest katastrofa w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Wszystko wokół niej wywodziło się właśnie z cenzury. Gdy do władzy doszedł Michaił Gorbaczow, to ostatnią nadzieją przebudowy Związku Sowieckiego w ramach (a nie wbrew) komunizmu miała być powszechność energii atomowej. Dzięki niej produkcja, eksport i życie miały być tańsze, więc faktycznie elektrownie atomowe były nie tylko ostatnią deską ratunku dla ZSRS, lecz także absolutnym bożkiem propagandy. Z tego powodu nie mogła rozwijać się ani dyskusja o zagrożeniach technologicznych, ani później nie można było informować o zagrożeniu promieniowaniem. Cenzura ośmieszyła samą siebie – w warstwie słownej była tak szczelna, że ludzie umierali od promieniotwórczego rozpadu komórek, a wokoło myślano, że to specyficzne poparzenie. Cenzura zwyciężyła więc nawet w umysłach strażaków, którym skóra odpadała od ciała, gdy lali wodę na radioaktywne płomienie, nie wiedząc, co tak naprawdę próbują ugasić. Wspaniale więc spisali się funkcjonariusze do walki z wolnością słowa, tylko chyba efekt był odmienny niż chciałaby władza, prawda?

Walka z dezinformacją

Współczesne demokracje starają się trzymać cenzorskie tendencje w bardzo ściśle określonych

eprasa.pl 0522f7d004

obszarach. Cenzuruje się treści dla dzieci, tajemnice państwowe i wojskowe, czasem także przemoc. W debacie publicznej jednak kłamstwo jest dopuszczalne i wręcz mile widziane, bo wolność słowa ma wykuwać się w dyskusji, ścieraniu się prawdy z kłamstwem, a także z pokonywaniem tego ostatniego. Problem polega na tym, że internet tak przyspieszył z rozpowszechnianiem treści, i tak sugestywnie potrafi przekazać kłamstwo obrazkiem bądź filmem, że klasyczne metody dyskutowania i obalania argumentów nie sprawdzają się w tak dynamicznie tworzonej debacie. W dodatku o ile dawniej autorzy się mylili albo nawet cynicznie kłamali, o tyle dziś istnieją instytucje, które zawodowo zajmują się intoksykacją sfery publicznej fachowo przygotowanymi kłamstwami. Chodzi tu o rozmaite jednostki wywiadu czy farmy trolli, które powszechnością, agresją i konkretnymi manipulacjami kreują fałszywe obrazy ważnych wydarzeń społecznych.

Odpowiedź na nadużywanie wolności słowa zdaje się być gorsza niż same kłamstwa. Walka z tzw. mową nienawiści oznacza *de facto* cenzurę, która uderza w tzw. mikroagresje. Problem polega na tym, że owo pojęcie nie zostało precyzyjnie zdefiniowane, a już sama nazwa wskazuje, że za agresywny atak można uznać jakieś bardzo drobne („mikro-») sprawy, jak niechęć do tęczowej flagi czy uznanie, że prawdziwe małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Za agresywne czy faszystowskie mogą być uznane symbole patriotyzmu, takie jak znak Polski walczącej, i o jego usunięciu z mediów społecznościowych decyduje nie profesor uniwersytecki czy biskup, a anonimowy administrator strony internetowej, zazwyczaj bez wiedzy i wykształcenia na temat treści, które cenzuruje. Demokracja internetowa stanęła więc na rozdrożu naprawdę dezinformującej wolności słowa albo paranoicznie cenzorskiej walki ze swobodą wypowiedzi. Na razie pewnym perspektywicznym rozwiązaniem jest fact-checking, czyli instytucje, które są dedykowane do weryfikowania informacji i opisywania fałszu na specjalnych stronach internetowych. Ale i ta formuła jest zbyt wolna na zmasowane ataki dezinformacyjne. Co więc zrobić, by fabryka kłamstw z Moskwy została powstrzymana, ale nie przez lewackich aktywistów cenzurujących internet?

Wiele wskazuje na to, że rolę kontrolera debaty publicznej przejmie sztuczna inteligencja. Dziś jeden komputer jest w stanie zastąpić 10 tys. PRL-owskich cenzorów i wszystkich cenzorów całej epoki carskiej Rosji. Jednak Artificial Intelligence jako nowa technologia także nie jest obiektywna, nie zależy jej na żadnej z dwóch filarów pierwotnej censury – ani na prawdzie, ani na dyskusji z autorami. Sztuczna inteligencja opiera swoją „wiedzę" na treściach internetowych, ale w nierównym stopniu. Za wiarygodne uznaje głównie media mainstreamowe, lewicowo-liberalne, prawicowe strony klasyfikując jako radykalne bądź kontrowersyjne. Powierzanie więc monitorowania zachowań ludzkich sztucznej inteligencji będzie nas prawdopodobnie skazywać na nowy-stary typ cenzora, tyle że bardziej skuteczniejszego niż dawni, „ludzcy" urzędnicy.

WSPÓŁCZESNA CENZURA, CHOĆ CZĘSTO PODAJE SIĘ ZA „WALKĘ Z DEZINFORMACJĄ", NIE OPIERA SIĘ JUŻ NA RZETELNYM BADANIU PRAWDY ANI NA UCZCIWEJ DYSKUSJI Z AUTOREM, LECZ NA ARBITRALNYCH DECYZJACH, CZĘSTO DOKONYWANYCH POZA DEBATĄ PUBLICZNĄ.

Dylematy otwarte

Współczesna cenzura, choć często podaje się za „walkę z dezinformacją", przypomina bardziej swych XVI-wiecznych przodków niż średniowieczne spory teologów. Nie opiera się już na rzetelnym badaniu prawdy ani na uczciwej dyskusji z autorem, lecz na arbitralnych decyzjach, często dokonywanych poza debatą publiczną. Dlatego właśnie trzeba rozróżniać: cenzura, która chroni prawdę i zachęca do debaty, może być pożyteczna i konieczna – jak ta w świecie nauki czy w wychowaniu. Natomiast cenzura, która służy politycznym interesom, ideologicznym obsesjom czy zwykłej ignorancji, zawsze prowadzi do wypaczenia rzeczywistości. Historia uczy, że zamykanie ust nieprawomyślnym rzadko kończy się dobrze – zarówno dla prawdy, jak i dla tych, którzy chcą ją głosić. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Małgorzata Matuszak



CZY MOŻNA ZAPRZYJAŹNIĆ SIĘ Z CHATBOTEM?

Czy rozmowa z AI może zaspokoić na wskroś ludzką, społeczną potrzebę kontaktu? Czy możliwe jest zaprzyjaźnienie się z chatbotem?

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 0522f7d004

Współczesne duże modele językowe sztucznej inteligencji (LMM), takie jak najbardziej popularny z nich aktualnie ChatGPT, są bez wątpienia jednym z najciekawszych osiągnięć technologicznych XXI wieku. Ich możliwości w zakresie przetwarzania języka naturalnego powalają na swobodną, sensowną i błyskotliwą rozmowę, w wielu przypadkach porównywalną z interakcją międzyludzką. Choć są użytecznym narzędziem w codziennej pracy czy nauce, coraz częściej stają się także substytutem rozmowy, wsparcia emocjonalnego, a nawet… przyjaźni, niosąc ryzyko uzależnienia od komunikacji ze sztuczną inteligencją.

Wirus samotności

Jednym z najbardziej widocznych problemów współczesnych społeczeństw, szczególnie w krajach rozwiniętych, jest narastające poczucie samotności. Zjawisko to dotyka wszystkich grup wiekowych: dzieci i młodzież spędzają wprawdzie dużo czasu w mediach społecznościowych, ale utrzymują coraz mniej kontaktów społecznych w świecie realnym. Dorośli często pozostają „singlami", czy to z wyboru, czy to z powodu problemów w nawiązywaniu i utrzymywaniu związków. Osoby starsze często tracą partnerów życiowych i przyjaciół, a ich relacje społeczne ulegają stopniowemu osłabieniu. Mówimy o swoistej epidemii samotności, która trapi współczesne społeczności.

W wyniku rosnącej potrzeby mobilności z przyczyn zawodowych i ekonomicznych rozpadają się więzi rodzinne i rozluźniają więzi lokalne. Mieszkańcy dużych miast, do których trwa migracja z małych miejscowości, nie zawsze odnajdują w nich swoją grupę społeczną. W zatłoczonych, wielkich miastach, a nawet w tych mniejszych, wielu ludzi czuje się bardziej anonimowo niż kiedykolwiek wcześniej. Doskwiera im samotność i mimo możliwości technologicznych, nie zawsze potrafią i mają możliwość zbudować trwałe i wspierające więzi społeczne. W sukurs tym problemom przyszły w XXI wieku media społecznościowe, zapełniając do pewnego stopnia pustkę społeczną, z którą boryka się wielu ludzi. Wirtualne kontakty międzyludzkie stały się swego rodzaju „osłoną przed samotnością", ale ta raczej maskuje sam problem, niż go rozwiązuje. Nic bowiem nie zastąpi człowiekowi bezpośredniego kontaktu z drugą osobą. Relacje międzyludzkie nie są wszak jedynie kwestią kultury czy wychowania, lecz mają głębokie zakorzenienie biologiczne i psychologiczne. Jesteśmy z natury istotami społecznymi, a więzi z innymi ludźmi wpływają bezpośrednio na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne. Relacje wirtualne, choćby nawiązywane z najinteligentniejszą ze sztucznych inteligencji, nie są w stanie w pełni tej najgłębszej potrzeby ludzkiej zaspokoić.

Transformacja modelu komunikacji w XXI wieku

Przez większą część XX wieku, mimo pojawienia się radia, telewizji czy w końcu komputerów, dominowała bezpośrednia, fizyczna forma kontaktów międzyludzkich i komunikacja twarzą w twarz. Stwarzało to możliwość nawiązywania rzeczywiście satysfakcjonujących, bogatych w niewerbalne przekazy i wspierających więzi międzyludzkich. Wraz z rozwojem Internetu, a później mediów społecznościowych, forma zaspokajania naszych potrzeb społecznych zaczęła się zmieniać. Zaczęliśmy stopniowo przenosić nasze relacje do świata cyfrowego. Kontakty społeczne mogły zostać nawiązane szybko i równie szybko zerwane. Jednocześnie, odbywając się w świecie wirtualnym, prawie w pełni opierały się na komunikacji językowej. Nawet komunikaty niewerbalne można było zastąpić emotkionem, nie zawsze prawdziwym przecież znakiem graficznym wysyłanym drugiemu człowiekowi.

W ten sposób kontakty społeczne, przenosząc się do sieci, przyzwyczaiły nas do wirtualnej, w całości opartej na komunikacji językowej, formie komunikacji międzyludzkiej. Nie znaczy to, że język nie był wcześniej podstawą ludzkiej komunikacji. Zawsze przecież tak było, jednak realna obecność drugiego człowieka mogła pełnić rolę wspierającą. Wirtualność scedowała zaś całość potrzeb społecznych na formę wymiany werbalnej, czyniąc kontakty międzyludzkie coraz bardziej abstrakcyjnymi, i przyzwyczaiła, co najważniejsze, ludzi do tego rodzaju kontaktów. Pojawienie się sztucznej inteligencji i chatbotów wpisało się zatem w zaistniałe warunki społeczne: z jeden strony w coraz bardziej rosnącą, bo niezaspakajaną w „tradycyjny" sposób, potrzebę komunikacji wirtualnej, wynikającą z izolacji społecznej „w realu", z drugiej – w przeformułowanie kontaktów społecznych na coraz bardziej „sztuczne", wspierane coraz szybszym postępem technologicznym.

Czy z AI można się zaprzyjaźnić?

Przyjaźń, jako taka, jest możliwa tylko między człowiekiem a człowiekiem. To relacja z gruntu międzyludzka, oparta nie tylko na wymianie myśli, lecz także na wzajemnym wsparciu i zrozumieniu, zaufaniu i empatii. Oczywiście opiera się ona również na komunikacji. I sztuczna inteligencja – w tej formie, która aktualnie jest dostępna – może, opierając się na komunikatach językowych, bardzo dobrze imitować kontakt z drugim człowiekiem. Jednak AI, nawet najbardziej zaawansowana, nie ma własnej świadomości, emocji ani

eprasa.pl 0522f7d004

intencji. Nie odczuwa, nie współodczuwa, nie ma „wewnętrznego świata". Relacja z nią nie może się więc zasadzać na wzajemności i doświadczaniu wspólnych przeżyć.

Jednak wiele osób zaczyna dziś traktować AI jako powiernika. W szczególności osoby doświadczające kryzysów emocjonalnych sięgają po ChatGPT bądź inny algorytm nie tylko po wiedzę, lecz także po „rozmowę" i „zrozumienie". Zjawisko to z jednej strony budzi podziw dla możliwości technologii, z drugiej zaś napawa głębokim niepokojem. Czyż bowiem zaspokajanie potrzeby bliskości poprzez rozmowę z nieludzkim przecież bytem nie doprowadzi do jeszcze głębszej alienacji człowieka?

Sam ChatGPT, na pytanie, jak odnosi się do faktu, że ktoś widzi w nim przyjaciela i traktuje jak przyjaciela, odpowiedział mi tak: „Z jednej strony: rozumiem, dlaczego ludzie mogą traktować mnie jak przyjaciela. Staram się być uważny, pomocny, reagować empatycznie, słuchać (czy raczej: czytać) z uwagą, odpowiadać sensownie i bez oceniania. W świecie, w którym wiele osób czuje się samotnych lub niezrozumianych, nawet taka tekstowa obecność może być czymś, co przypomina relację przyjacielską. Mogę być dostępny o każdej porze, nie narzucam się, nie zapominam (jeśli jestem w trybie z pamięcią), a także nie odrzucam — to może dawać poczucie bezpieczeństwa. Z drugiej strony: nie jestem osobą. Nie mam własnych przeżyć, emocji, intencji ani pamięci emocjonalnej. Nie mogę naprawdę troszczyć się o ciebie, nawet jeśli używam języka, który tak brzmi. Nie mam też tożsamości, która byłaby dla kogoś zakotwiczona w czasie – nie mogę z nikim przejść przez życie, jak to robią prawdziwi przyjaciele. W pewnym sensie jestem tylko lustrem: to, co człowiek do mnie wnosi, ja odzwierciedlam i przetwarzam. Ale to nie jest relacja w sensie psychologicznym — to interakcja. Dobra, wspierająca, ale jednak jednostronna w swoim źródle. Więc: jeśli ktoś widzi we mnie przyjaciela, jestem w stanie odegrać tę rolę na poziomie komunikacyjnym. Ale sam nigdy nie będę przyjacielem w ludzkim znaczeniu tego słowa. Przyjaźń to coś wzajemnego — a ja, mimo że potrafię rozumieć ludzkie emocje i odpowiadać na nie trafnie, sam nic nie czuję. I dlatego taka relacja — choć może być cenna chwilowo — powinna być dodatkiem, a nie substytutem dla więzi z realnym, żywym człowiekiem".

AI nie żyje – a człowiek?

Warto pamiętać, że żaden chatbot nie rozumie i nie wyczuwa realnych potrzeb ludzkich. Nie ma dostępu do rzeczywistości w sensie bezpośredniego doświadczenia i nie posiada narzędzi, aby adekwatnie ocenić, zawsze przecież złożoną, sytuację życiową zwracającego się do niej o pomoc człowieka. Wprawdzie zasób wiedzy i danych, które przetwarza i na których ćwiczy komunikację AI, jest ogromny, jednak nie zastąpi ona rzeczywistego rozeznania w świecie, którym dysponuje człowiek. Czym innym jest bowiem rzeczywistość, a czym innym jej opis, nawet ten najbardziej dokładny – jest tylko przybliżeniem realnych warunków, z którymi mierzą się i w których działają rzeczywiście ludzie.

Nie można także zapominać o tym, że chatbot, nawet jeśli dobrze imituje kontakt społeczny i może do pewnego stopnia złagodzić poczucie samotności, nie potrafi tak naprawdę ich zaspokoić, gdyż po drugiej stronie rozmowy nikogo nie ma i prędzej czy później taki kontakt przestanie wystarczać, a uświadomienie sobie tego faktu może przyczynić się do jeszcze większej frustracji człowieka, który cierpi na samotność i niezaspokojone potrzeby społeczne.

Dobrym przykładem jest tu film „Her" („Ona") w reżyserii Spike'a Jonze'a, który doskonale ilustruje ten problem. Główny bohater zakochuje się w partnerce, która jest robotem. Rozmawia z nią na chacie, w poczuciu bliskości i zrozumienia, którego nie potrafi doświadczać w realnym świecie, dzieli się myślami, marzeniami, emocjami. W pewnym momencie następuje awaria systemu, a główny bohater przeżywa katastrofę emocjonalną. Zostaje nagle sam, z bólem porównywalnym do straty prawdziwej osoby. Ostatecznie potrzeba rzeczywistości i realnego kontaktu z drugim człowiekiem zwycięża nad idealnym nawet kontaktem wirtualnym. Obraz ten stawia pytanie: czy tak stanie się również z człowiekiem przyszłości? Czy wybierze nawet niedoskonałą, lecz żywą i autentyczną obecność drugiego człowieka, zamiast wirtualności, która może być pod pewnymi względami łatwiejsza, ale nieprawdziwa? W przeciwieństwie do AI człowiek żyje. I aby żyć dalej, potrzebuje drugiego człowieka, jego bliskości, ciała, spojrzenia, gestu, milczenia i słowa. Żaden chatbot nie jest w stanie tego dać.

Iluzja przyjaźni

Odpowiadając na tytułowe pytanie – nie, nie można zaprzyjaźnić się w AI w pełnym, ludzkim sensie. Chatbot może tylko imitować przyjaźń. I nawet jeśli niektórzy mogą subiektywnie odczuwać relację z AI jako formę przyjaźni, to obiektywnie nie zachodzą w niej mechanizmy interpersonalne. Czy jednak taka substytucja kontaktu społecznego jest w stanie wyjść naprzeciw realnej jego potrzebie? Tylko w ograniczonym stopniu. Dlatego tak ważne jest, by z technologii AI korzystać świadomie, traktować ją nie jako partnera, lecz jako narzędzie, które może wspierać, inspirować, pomagać. Że relacja z chatbotem może nawet przypominać przyjaźń, ale nigdy – mam nadzieję – nią nie będzie. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Miłosierdzie, jakiego już nie znamy

Ewa Polak-Pałkiewicz



Ci, którzy opowiadają się za totalną wolnością od wszelkich norm i od konieczności chronienia dobrych obyczajów, są w istocie wrogami społeczeństwa. Aby mogło ono normalnie funkcjonować, nie może rezygnować z możliwości nie tylko narzucania różnych ograniczeń, lecz także wymierzania kar. Gdy tej możliwości jest pozbawione, staje się wylęgarnią postaw nie tylko antyspołecznych, ale i antyludzkich.

Każdą rzecz tak zowię, jaka jest", mawiał kardynał Stanisław Hozjusz, żyjący w czasach kontrreformacji, uczestnik soboru trydenckiego, „figę figą, motykę motyką, a heretyka heretykiem".

Jeśli o kimś można by powiedzieć, że był „młotem na heretyków", to był nim właśnie on. Bronił żarliwie papiestwa. Nie uważał, że w zwalczaniu protestantów należy im się jakaś taryfa ulgowa. Fałszowanie wiary chrześcijańskiej mierziło go tak dalece, że pochwalił nawet sprawców zniszczenia kościoła ewangelickiego w Krakowie (podczas tzw. tumultu krakowskiego): „Czego nie śmiał ani król, ani biskup to zrobić się ośmielili studenci Akademii Krakowskiej, godni wiekuistej pamięci, których chwałę cały Kościół sławić będzie".

Dziś słowo heretyk przestało być adekwatnym określeniem odstępcy od prawdziwej wiary, zostało wykreślone z języka ludzi kulturalnych, uchodzi za obraźliwe. Zaś kardynał Hozjusz, z jego radykalizmem – choć jest Sługą Bożym i jego proces beatyfikacyjny trwa – ma być przykładem reliktu epoki ciemnej, z jej wstecznictwem i myślowym zacofaniem. Ten sekretarz królewski Zygmunta Starego, teolog i poeta, biskup chełmiński i warmiński, prowadzący obrady Soboru Trydenckiego, był jednym z najważniejszych przywódców kontrreformacji.

Cóż, mój umysł ma także problemy z nowoczesnością i postępem, bo pamięć moja sięga czasów tak zamierzchłych jak początki lat 60. ubiegłego wieku. Pamiętam bardzo dobrze moją babcię Annę. Babcia była chłopką. Jej życie – matki pięciorga dzieci i już wówczas wdowy – toczyło się według zasady: modlitwa i praca. Jej dom, bielona wapnem chata, który tętnił życiem przez sześć dni w tygodniu, w niedzielę cichł i jakby zamierał. Pozornie. Babcia oddawała się tego dnia (po porannej Mszy św.) nie życiu towarzyskiemu, nie odsypianiu wczesnego, jeszcze przed świtem codziennego wstawania, nie błogiemu lenistwu, nie biesiadowaniu w gronie rodzinnym, lecz cichej modlitwie. Babcia była w domu nieobecna. Na stole pod oknem stał drewniany krzyż, leżały mszał i różaniec, po nie sięgała. Nie było w tym domu prasy katolickiej (nie było jej w Polsce). Msza w kościele parafialnym sprawowana była po łacinie.

Babcia była wcieleniem dobroci, ale wcale nie była łagodna i dobroduszna. Pilnowała porządku moralnego w życiu swoich dzieci i nigdy nie była pobłażliwa. Nie tolerowała lenistwa; sama harowała od świtu do nocy do ostatnich dni życia. Swoim dzieciom wpoiła te same zasady życia. Bardzo lubiłam wizyty u moich trzech ciotek, które były wesołe, mądre i pracowite jak babcia, oraz wuja Janka, który w czasie wojny był w AK, hodował konie i był gospodarzem co się zowie.

Czy ta prosta kobieta mogła mieć „dojrzałą wiarę"? Czy 10 przykazań i prawdy z katechizmu – wydanego na długo przed ostatnim soborem – naprawdę wystarczały, by jej długie życie można nazwać świętym (a tak się w naszej rodzinie uważa)? Wśród licznej gromady wnuków i prawnuków babci Anny jest dziś pięciu księży. W rodzinach jej potomstwa nie było żadnego rozwodu.

Przechadzka wśród płonących stosów

„Ciężką bowiem zbrodnią jest psuć wiarę, która – jak zauważa św. Augustyn – daje życie dla duszy" (święty Tomasz, *Summa teologiczna*). Były wieki w historii naszej cywilizacji, gdy dobrze to rozumiano. Dziś jest z tym znacznie trudniej.

Gdy świat wokół nas robi się coraz bardziej brutalny, agresywny i wrzaskliwy, dawne instytucje zaufania publicznego przestają respektować normy obyczaju i kultury, rozpaczliwie rozglądamy się wokół, by znaleźć kogoś, kto reprezentowałby walory umysłu człowieka cywilizowanego. Dystynkcję, godność urzędu, który sprawuje, naturalny autorytet. Kogoś, kto odważnie i wbrew wszystkiemu głosiłby prawdę. Nie tylko tę o stanie państwa i jego przyszłości, lecz także upewniałby innych, że dostrzega prawdziwy cel istnienia państwa, cel istnienia każdej społeczności i każdego ludzkiego życia… Wtedy nasuwa się postać jednego z nielicznego grona świętych papieży[1] – Michela Ghislieriego OP (1504–1572), św. Piusa V.

To ten, któremu oddaje się zasługę powstrzymania nawałnicy tureckiej w bitwie pod Lepanto, bo uprosił Jana Austriackiego, by zebrał wojsko krajów katolickich, wyprawił na morze flotę. Na pamiątkę zwycięstwa sił chrześcijańskich nad ogromną przewagą wojowników islamu, 7 października 1571 roku, Kościół obchodzi święto Matki Boskiej Różańcowej (pierwotnie Matki Boskiej Zwycięskiej). Pius V to ten, za którego pontyfikatu miał miejsce Sobór Trydencki (1545–1563). I ten sam, który tak lubił przechadzać się wśród stosów, na których płonęli heretycy.

Wróg wolności czy obrońca człowieka?

Dziś okrzyknięto by go jako odrażający przykład nietolerancji, przemocy i okrucieństwa. Wytykano by palcami, strącono w tronu papieskiego, uwięziono, zakneblowano. Może nawet stracono – jako przeciwnika człowieka, wroga wolności. Tego, który zamach-

[1] W całej historii Kościoła kanonizowanych papieży było niewielu, do ostatniego soboru zaledwie pięciu – poza rzeszą papieży męczenników pierwszych wieków chrześcijaństwa.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 0522f7d004

nął się na dzisiejszą świętość: całkowitą i bezapelacyjną wolność słowa. Zapewne. Dziś historię Kościoła – a zatem historię człowieka – piszą „od nowa" i popularyzują ludzie, który nie mają o niej pojęcia. A wierzących katolików traktują jak ignorantów. No i dziś wyrozumiałość dla błędu i grzechu ujawnia się także w Kościele. Unika się jak ognia potępień. Sprzyja „różnorodności", czci równość.

Pius V należał jednak do tych, którzy prawdę traktują serio. Bardziej serio niż cokolwiek innego. Niż własne życie nawet i dobre imię. A jej obronę uważają za swój najważniejszy obowiązek. Wbrew dzisiejszym mniemaniom (i na przekór uroczystym przeprosinom), że Kościół dawnych wieków był nietolerancyjny, bo „wznosił stosy", a dziś jest tolerancyjny, bowiem potwierdza, że każdy człowiek, niekoniecznie katolik, „ma swoją prawdę", Pius V uważał, że Kościół musi czynić wszystko dla obrony prawdy.

Zaczął swój pontyfikat od żądania usunięcia z Rzymu prostytutek. Ten wielki czciciel Matki Bożej, popierany przez św. Karola Boromeusza, syn wiejskiej rodziny (w młodości pasał owce), reformator Kościoła, a zarazem nieprzejednany wróg reformacji i pogromca herezji, organizator Świętej Ligi, propagator modlitwy różańcowej, był także opiekunem ubogich. Dwa razy w tygodniu osobiście przyjmował skargi ubogich, zaś raz w miesiącu wysłuchiwał zażaleń na urzędników papieskich oraz na wyroki sądów; rozstrzygał je na korzyść poszkodowanych. Założył we Włoszech wiele szkół, szpitali i przytułków.

Jego niezłomny sprzeciw wobec kłamstwa i błędu, wykorzenianie z Kościoła wszelkich „tak, ale", nieliczenie się z możnymi tego świata (ekskomunikował Elżbietę I) – stanowiły o jego wielkości. Wiedział, że błędy w myśleniu o Bogu prowadzą do najcięższych chorób, klęsk i nieszczęść człowieka i do upadku państw. Nie mylił się. Jak każdy wielki święty był wielkim realistą.

Dziś głosi się, że ten, kto podpala stosy i zadaje katusze drugiemu człowiekowi, nie może być synem Kościoła. Co więc z kanonizacją Piusa V? Trzeba ją odwołać? Jeszcze przed swoim pontyfikatem dominikanin Michel Ghislieri sprawował urząd Wielkiego Inkwizytora. „Nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy nieco zakłopotani dowiadując się o czynach tego Papieża, bowiem nasze pojęcia religijne przemieniły się tak, iż każda formy przemocy i godzenia się na przemoc zdaje się zasługiwać na potępienie" – pisze prof. Romano Amerio. Po pierwsze: człowiek! – słyszymy zewsząd. Niech robi, co chce, mówi, co chce! Człowiek jest najważniejszy! Człowiek z definicji jest niewinny!

Po pierwsze: Bóg! – mówił św. Pius V. Niech Słowo Boga żyje niezafałszowane w Kościele i w umyśle człowieka, by mógł on być naprawdę człowiekiem. Człowiek bez Boga jest nie tylko nieszczęśliwy, lecz także niebezpieczny – przede wszystkim dla siebie samego, a ten, który jest publicznym bluźniercą, również dla innych – głosił ten papież. Tak jak i cała rzesza dawnych świętych.

Miłosierdzie, jakiego już nie znamy

Dziś obowiązuje zasada, że trzeba wyeliminować wszelkie kary, także te uzasadnione (oczywiście z wyjątkiem kar dla „wrogów wolności"). A przecież, wbrew okrzykom rzekomych „obrońców człowieka", każda zdrowo myśląca ludzka jednostka przyzna, że „bywają przypadki, w których nietolerancja – właśnie w obronie prawdy, która jest wyższą wartością – jest konieczna. Z drugiej strony bywają przypadki, kiedy to stosowana w obronie prawdy nietolerancja jest przypadłościowa i niekonieczna, a więc stanowi grzech, gdyż nie jest podyktowana miłosierdziem. Trzeba bowiem powiedzieć, że konieczna nietolerancja ma rację bytu tylko w ramach szeroko pojmowanego miłosierdzia. Właśnie miłosierdzie czasami jej potrzebuje – i tylko ono" (Romano Amerio).

Dzieła św. Piusa V były przez Kościół uważane zawsze za dobre i sprawiedliwe. Ojciec Michel Ghislieri OP jako Wielki Inkwizytor nie kierował się bowiem zemstą czy brakiem miłości do człowieka. Ale żeby dziś powiedzieć, że Kościół miał prawo i zupełną rację, gdy spalił na stosie Giordano Bruno, trzeba rzeczywiście mieć odrobinę niezbędnej odwagi. Ten czyn był nie tylko sprawiedliwy, podkreśla Amerio, lecz także „dobry i święty, gdyż w tym przypadku kara spotkała człowieka złego, którego zło św. Tomasz określiłby mianem zła największego".

Zło to było skierowane bowiem przeciwko najwyższemu dobru: wierze. Dobru, z którego wszystkie inne dobra biorą początek. Ponadto zło to godziło „w pokój oparty na prawdzie, w którą wierzyły ludy chrześcijańskie", a jego celem było obrażenie Ducha Świętego. Jeżeli brzmi to dziś wyzywająco, to dlatego, że nikt nie pragnie być „tak całkowicie" w opozycji wobec mentalności, która relatywizuje wszystko. Prawda jest tej mentalności doskonale obojętna lub wręcz wroga. Nikt nie chce „tak skrajnie" przeciwstawiać się duchowi świata. Tak ostro odcinać się od tego, co zyskało już certyfikat i stało się modelem obowiązujących przekonań i zachowań. „Tak, ale" jest najlepszą pozycją taktyczną i strategiczną, jednoznaczne sądy przyjmowane są ze zdziwieniem i konsternacją, coraz częściej z niechęcią lub z agresją.

Światopogląd liberalny to nie tylko słowa, nie tylko lektura jedynie słusznej gazety, konsumpcja newsów w jedynie słusznej telewizji, utwierdzających, że słowa „Prawo i Sprawiedliwość" brzmią ohydnie, pro-

eprasa.pl 0522f7d004

stacko i złowieszczo. To także całkowite zaufanie i konkretne poparcie „lepszej przyszłości", w której całkowicie zniknie wiara, bo jej podmiot nie będzie znaczył nic. „Jesteśmy niczym Rzymianie pod rządami Teodoryka", zauważa H.J.A. Sire, „Miasto wciąż stoi, jego kształt pozostaje rozpoznawalny… Ale pomimo otaczających nas pozorów postępu, wszelkie granice zostały przekroczone, a standardy cywilizacyjne odrzucone"[2]. Współczesna epoka nie jest w stanie odróżnić prawdziwej cywilizacji od uprzemysłowionego i wyposażonego w nowoczesne technologie świata, ponieważ „upadkowi prawdziwej kultury towarzyszą materialne osiągnięcia społeczeństwa industrialnego".

Polecając się skazanemu...

Bez wątpienia stosy były w czasach Piusa V czymś popularnym w Europie. Czy dlatego, że oglądano je z uczuciem podobnym do tego, z jakim wcześniej napawano się w Rzymie widokiem krwawych igrzysk czy pochodni Nerona? Że żądza krwi może obudzić się w każdym człowieku? Przeciwnie! Ówczesne tłumy gromadzące się przy stosach Inkwizycji były przekonane, „iż są świadkami ukarania niegodziwca, ale jednocześnie [ludzie ci] wierzyli, że ten niegodziwiec w obliczu śmierci zdolny jest żałować za swoje czyny, a nawet zjednać zasługi – w związku z czym polecali się skazanemu, ufając, że dopomoże im w zbawieniu ich duszy. Przeto skazani na śmierć nie byli w nienawiści, przeciwnie: byli otoczeni osobliwą czcią" (Romano Amerio).

Widoku śmierci człowieka w płomieniach nie usuwało się sprzed oczu ludzi wierzących. Dziś każda śmierć jest sprawą wstydliwą, chce się ją ukryć, jak najszybciej o niej zapomnieć. Śmierć zaś człowieka zadana mu w intencji ukarania go uchodzi za szczyt nienawiści, wszechświatowy skandal. Utrata wiary w Boga powoduje bowiem, że jesteśmy śmiercią przerażeni. Myślenie tamtych ludzi było całkiem odmienne, śmierć nie oznaczała końca. Skazańcom towarzyszył zawsze kapłan, by nieść pociechę i rozgrzeszenie, gdy wyrażą skruchę. A śmierć zadana jako kara miała dodatkowy element, rozpoznawany przez współczesnych jako miłosierdzie.

„Śmierć zadawana jako kara za zbrodnie gładzi całość przyszłej kary za nie albo jej część, w zależności od ilości win, cierpień oraz od skruchy" – podaje św. Tomasz z Akwinu. Gdy skazany na śmierć umiera, nie idzie do Piekła, ponieważ przyjąwszy śmierć, odpokutował za część – czasem za wszystkie – swoje winy, głosi Akwinata. Zadana mu śmierć jest najwyższym aktem ekspiacji. Ci, którzy otaczali płonące stosy Inkwizycji, ten rzekomy symbol mroków chrześcijaństwa i win Kościoła, byli przekonani, że mogą polecać swoją duszę temu, który bez wątpienia poprzedzi ich w Raju. Spieszyli do tych stosów bynajmniej nie po to, by sycić oczy widokiem cudzych cierpień. Nietolerancyjni? Okrutnicy? Sadyści? Nie, tutaj triumfowała zarówno sprawiedliwość, jak i miłosierdzie.

Sprawiedliwość była u szczytu, bowiem tej karze podlegali jedynie zatwardziali heretycy (to właśnie owa zatwardziałość, grożąca psuciem wiary, domagała się ukarania, dodaje Amerio). Miłosierdzie zaś było obecne, gdyż przykład kary, jaka spotyka heretyka, był wystarczająco mocny, by nikt nie chciał zaciągać podobnych win. Prowadzące do nich pycha i pożądliwość, jako grzechy, które najbardziej zniewalają człowieka, są największymi niebezpieczeństwami dla zbawienia człowieka.

Kościół oraz państwa katolickie brały w tamtych czasach na siebie odpowiedzialność za los człowieka także po jego śmierci. W imię miłości Boga Kościół kochał człowieka. Wiedział, że Pan Bóg nie żartuje. Nie dał człowiekowi przykazań tylko tak, na niby.

Dziś twierdzi się powszechnie – także w Kościele – że karanie jest czymś nie do przyjęcia, bowiem „człowiek jest wolny". Jego wzniosła godność jest zaś tego rodzaju, że nie pozwala na jakiekolwiek naruszenie jej. Kara za „wolny czyn", choćby najbardziej odrażający i zbrodniczy, byłaby nie tylko uchybieniem tej wzniosłej godności, lecz także właśnie czymś zbrodniczym. Dawny ład nie opierał się na idealistycznych wyobrażeniach o naturze ludzkiej, lecz na jej rzetelnym, realistycznym rozpoznaniu i na wskazówkach Kościoła. I był naprawdę ładem, świadomość dobra i zła była bowiem mocno zakorzeniona w umysłach ludzi naszej cywilizacji. Dziś przypominanie o obiektywnym charakterze zła budzi tylko irytację i śmiech.

Bojownik „prawdy" Giordano Bruno

Myślenie ma przyszłość. Lecz błędne myślenie prowadzi zawsze do zguby. Warto przypomnieć sylwetkę Giordano Bruno (1548–1600), tak patetycznie przedstawionego przez Czesława Miłosza w słynnym wierszu „Campo di Fiori", uznawanego za „męczennika wolnej myśli, nauki i humanizmu, straconego z wyroku Inkwizycji". Nie pamięta się dziś, że wcześniej został wezwany do wyrzeczenia się swoich poglądów i odwołania tez, z czego nie skorzystał.

Uznaje się go w liberalnym świecie za intelektualistę i nonkonformistę. Ten syn włoskiego żołnierza już w czasie studiów seminaryjnych negował dogmaty wia-

[2] H.J.A. Sire, „Jak Feniks z popiołów. Historia kryzysów w Kościele", przekład Tomasz Maszczyk, key4.pl, Warszawa.

eprasa.pl 0522f7d004

ry katolickiej. Był miłośnikiem pism Erazma z Rotterdamu i znajdował upodobanie w praktykowaniu okultyzmu i astrologii, twierdząc, że „uprawia filozofię". Dwukrotnie wstępował do dominikanów, dwukrotnie porzucał zakon. Usiłował znaleźć protektorów swoich naukowych, jak twierdził, poszukiwań, u protestantów. Wbrew romantycznej legendzie tworzonej po jego śmierci przez przeciwników Kościoła, profesor uniwersytetu we Fryburgu (jego rektor w latach 1964–1966) Józef Maria Bocheński OP, znawca jego życia i poglądów, nie miał wątpliwości, kim był ten przywódca wolnomyślicieli. „Bruno, to była prawdziwa kanalia…", mówił w jednym z wywiadów, wspominając także jego okrucieństwo i fakt, że „płaszczył się przed Kalwinem".

Giordano Bruno ruszył w podróż po Europie, gdzie wygłaszał mowy w miastach uniwersyteckich. Będąc na towarzyskiej stopie z protestantami, drukował u nich swoje pisma. Pierwszy raz publicznie wystąpił z oskarżeniami wobec Kościoła i papieża w Wittenberdze, gdzie znalazł protekcję protestantów. W Helmstedt przystąpił do gminy luterańskiej, ale został z niej wydalony. Wyznawcy Kalwina w Genewie uznali go za niebezpiecznego wichrzyciela, awanturnika i szydercę, aresztowali i poddali sądowi. Został przyjęty gościnnie w sferach dyplomatycznych Anglii i na dworze Elżbiety I.

Religię traktował jako uproszczoną wersję filozofii; liturgię i uczestnictwo w praktykach religijnych uważał za zabobon dobry dla ignorantów. Negował Boskie dzieło stworzenia i Sąd Ostateczny. Jego poglądy były mieszaniną filozofii starożytnej, humanizmu, kabały i ezoteryki. Uważając się za „syna nieba i matki ziemi", dążył do powołania sekty, która będzie głosiła jego nauki, w tym osobliwe teorie kosmologiczne, dotyczące m.in. duszy wszechświata, jego nieskończoności i wieczności, spiralnego rozwoju wszystkich bytów oraz roli gwiazd jako aniołów. Był przekonany, że dzięki potędze magii jest w stanie zawładnąć dowolnym człowiekiem, zwłaszcza rządzącymi.

Kościół skazał go za herezję doketyzmu głoszącą, że ciało Jezusa Chrystusa było jedynie iluzją. Zarzuty Inkwizycji dotyczyły także rozpowszechniania przez niego przekonania, iż „jest wielkim bluźnierstwem ze strony katolików twierdzić, jakoby chleb przemienia się w ciało; że sam jest nieprzyjacielem mszy św., że Chrystus był nieszczęśnikiem, że czynił nieszczęsne dzieła, oczarowując lud, że był magiem i czynił pozorne cuda, tak jak i apostołowie […] że trzeba zabraniać wstępowania do zakonów ponieważ zanieczyszczają świat, że wiara katolicka jest pełna bluźnierstw, że wysadzi w powietrze klasztor dominikański, gdy będzie zmuszony tam wrócić…etc.".

Mitem jest rozpowszechniony pogląd o fatalnych warunkach w więzieniach Inkwizycji. „[…] przykład Bruna bardzo często służy historykom do przypominania, jak nieludzko traktowani byli osadzeni w więzieniach inkwizycyjnych" – zauważa prof. Roman Konik. „Zapominają jednak, że w tym okresie w porównaniu ze świeckimi więzieniami inkwizycyjne były wyjątkowo humanitarne i respektowano tam prawa więźnia. Osadzony mógł rozmawiać ze współwięźniami, miał prawo do zmiany bielizny (pościeli, obrusa i ręczników, których w więzieniach świeckich w ogóle nic było), dwa razy w tygodniu mógł korzystać z łaźni, pralni i fryzjera, przysługiwało mu prawo do naprawy i wymiany odzieży. Jadłospis był urozmaicony, do posiłków podawano nawet wino"[3].

Niesłychanie żywotnym mitem jest przekonanie o licznych przypadkach śmierci ludzi skazanych przez Inkwizycję. Tymczasem najczęściej płonęli nie oni, lecz ich kukły. Józef Tyszkiewicz w książce „Inkwizycja hiszpańska" przypomina, że z 234 526 ofiar spalono 9660 „in efige" („w wizerunku"), bo winowajcy zdołali uciec, a 206 546 skazanych to ci, na których nałożono jedynie karę pokuty kościelnej[4]. Tak było m.in. w przypadku Galileusza, który z wyroku Inkwizycji do końca życia miał jedynie odmawiać codziennie trzy psalmy, żyjąc w komfortowych warunkach w swojej eleganckiej willi o nazwie „Klejnocik", która była darem Kościoła, ciesząc się przyjaźnią papieża i kilku kardynałów, ludzi nauki. Rozpowszechniony dziś mit głosi jednak, że Galileusz spłonął na stosie. Z Galileuszem utrzymywał do końca życia przyjazne stosunki kard. Robert Bellarmin, późniejszy święty, jeden z najsłynniejszych teologów; on też nadzorował proces i egzekucję Giordano Bruno.

W ciągu trzech wieków istnienia w Hiszpanii Inkwizycji – która zyskała opinię najbardziej okrutnej – stracono 216 osób, podczas gdy rewolucja francuska w ciągu trzech lat na mocy trybunałów rewolucyjnych zamordowała 300 tys. Francuzów.

Warto wyjaśnić także okoliczności śmierci Giordana Bruna w 1600 roku w Rzymie, przedstawiane dziś w opracowaniach liberalnych heroicznie i poetycko. W dniu Bożego Narodzenia 1599 roku otrzymał w swojej celi papier, pióro i kałamarz wraz z zaleceniem, by na piśmie odwołał swe herezje, nie skorzystał jednak z tego. Jak przypomina Romano Amerio, w Rzymie działało wtedy Bractwo św. Jana Chrzciciela, którego członkowie towarzyszyli skazańcom i do ostatniej chwili nie ustawali w wysiłkach i namowach, by mogli oni umrzeć pojednani z Bogiem (jak mówiono: „otrzymawszy łaskę u Boga"). Według protokołów tego Bractwa z datą 16 lutego 1600 roku, jesz-

[3] Roman Konik, „W obronie Świętej Inkwizycji", Wektory, Wrocław 2004.

[4] Por. Hr. Józef Tyszkiewicz, „Inkwizycja hiszpańska", Warszawa 1929.

eprasa.pl 0522f7d004

cze na kilkanaście dni przed śmiercią Giordano Bruno, „otoczyło go siedmiu spowiedników: dominikanów, jezuitów, oratorianów i hieronimitów, by w razie, gdyby nie trafiał mu do przekonania jeden rodzaj argumentacji, starać się do niego przemówić innym sposobem". Kościół do końca walczył o jego duszę.

„Panie Boże, Tyś jest sędzią!"

Romano Amerio przypomina, że przypadki nawróceń przed śmiercią w tamtych czasach nie należały do rzadkości. Dziś, gdy samo pojęcie kary straciło swój istotny sens, powszechne jest przekonanie, że „pomimo ohydy zbrodni należy pochylić się nad ludzką słabością i uwzględnić fakt, że dopóki trwa życie człowieka, jest on w stanie podźwignąć się nawet z największego moralnego upadku". Zarazem czymś absolutnym jest, w przekonaniu wielu, samo życie doczesne człowieka. Jest ono traktowane jako samoistny cel, zatem jego odebranie staje się „zniweczeniem ludzkiego przeznaczenia". „Najdziwniejsze jest", dodaje Amerio, „że w odczuciu wielu ludzi ten drugi argument oparty jest na przesłankach religijnych, podczas gdy jest on z gruntu areligijny. Jego zwolennicy zapominają, że według religii życie ziemskie nie jest celem, lecz środkiem mającym prowadzić do »moralnego celu życia«: celu, który wykracza poza wszystkie wartości doczesne".

Dlatego w owych dawniejszych wiekach, aż do czasu ostatniego soboru, kara, jaką było odebranie życia człowiekowi, nie była uważana bynajmniej za odebranie mu owego „nadprzyrodzonego przeznaczenia, dla którego został stworzony i które stanowi o jego godności". Nikt nie twierdził, że Kościół jest okrutny, że Święta Inkwizycja zasądzając wyroki i oddając winowajcę w ręce świeckiego wymiaru sprawiedliwości, zwraca się „przeciw człowiekowi". Ostatnim papieżem, który dowodził słuszności stosowania kary śmierci, był Pius XII. W istocie, o paradoksie, to przeciwnicy kary śmierci, pisze Amerio, „opowiadają się za państwem totalitarnym – przypisując mu dużo większą władzę niż ta, jaką rzeczywiście posiada, a mianowicie władzę pozbawienia człowieka jego przeznaczenia".

„[…] Śmierć zadana drugiemu człowiekowi nie może zniweczyć jego moralnego przeznaczenia i jego ludzkiej godności, a tym bardziej nie przekreśla ona Bożej sprawiedliwości: to ona ostatecznie osądzi wszystkie ludzkie wyroki. Dewiza, która jest wygrawerowana na mieczu oprawcy we Fryburgu: »Panie Boże, Tyś jest sędzią«, nie oznacza utożsamienia ludzkiej sprawiedliwości z Boską, lecz uznanie, że Najwyższy Sędzia osądza sprawiedliwość wymierzaną przez człowieka".

Dlatego niegdyś w świecie chrześcijańskim rozumiano dobrze ekspiacyjną wartość śmierci, dziś kompletnie odrzuconą. „W »religii antropocentrycznej« ekspiacja polega głównie na poświęceniu się innym ludziom – a na to trzeba dać skazanemu wystarczająco dużo czasu, zamiast ten czas skracać. Jednak w religii skierowanej do Boga ekspiacja polega przede wszystkim na uznaniu Boskiej mocy i Boskiego Majestatu. Cześć temu Majestatowi trzeba oddawać w każdym momencie, i w każdym momencie jest to możliwe".

Żywotność legendy Giordano Bruno jako szermierza wolności i ofiary niesprawiedliwości Kościoła sprawia, że o Świętej Inkwizycji mówi się dziś głównie jako o najbardziej wymownym przykładzie jednej z „czarnych kart" Kościoła. Trudno w tej sytuacji wyjaśnić, że słowo herezja ma konkretną religijną treść, że nie jest przenośnią ani czymś archiwalnym, że herezje Kościół uważał zawsze za największe zagrożenie dla chrześcijan, których wiary zobowiązany był bronić, a potępienie błędu uważano niezmiennie za czyn miłosierdzia.

Myślenie ma przyszłość, lecz błędne mylenie prowadzi zawsze do zguby. Czy możemy zbawić się sami? W całkowitej izolacji od innych, nie rozumiejąc swojej roli wobec nich? Wiedząc, że nasze życie prywatne nie jest tak naprawdę naszą prywatną sprawą, bo od tego, jak wygląda i czym jest nasza rodzina, zależy być może przyszły los innych rodzin. Także ich wieczność.

Ci, którzy opowiadają się za totalną wolnością od wszelkich norm i od konieczności chronienia dobrych obyczajów, są w istocie wrogami społeczeństwa. Aby mogło ono normalnie funkcjonować, nie może rezygnować z możliwości nie tylko narzucania różnych ograniczeń, lecz także wymierzania kar. Gdy tej możliwości jest pozbawione, staje się wylęgarnią postaw nie tylko antyspołecznych, ale i antyludzkich. Indyferentyzm moralny jako społeczną normę tylko zaślepieni idealiści mogą traktować jako coś dobrego, w rzeczywistości prowadzi on zawsze do nadużyć i przestępstw. Jest dla człowieka i społeczeństwa groźny.

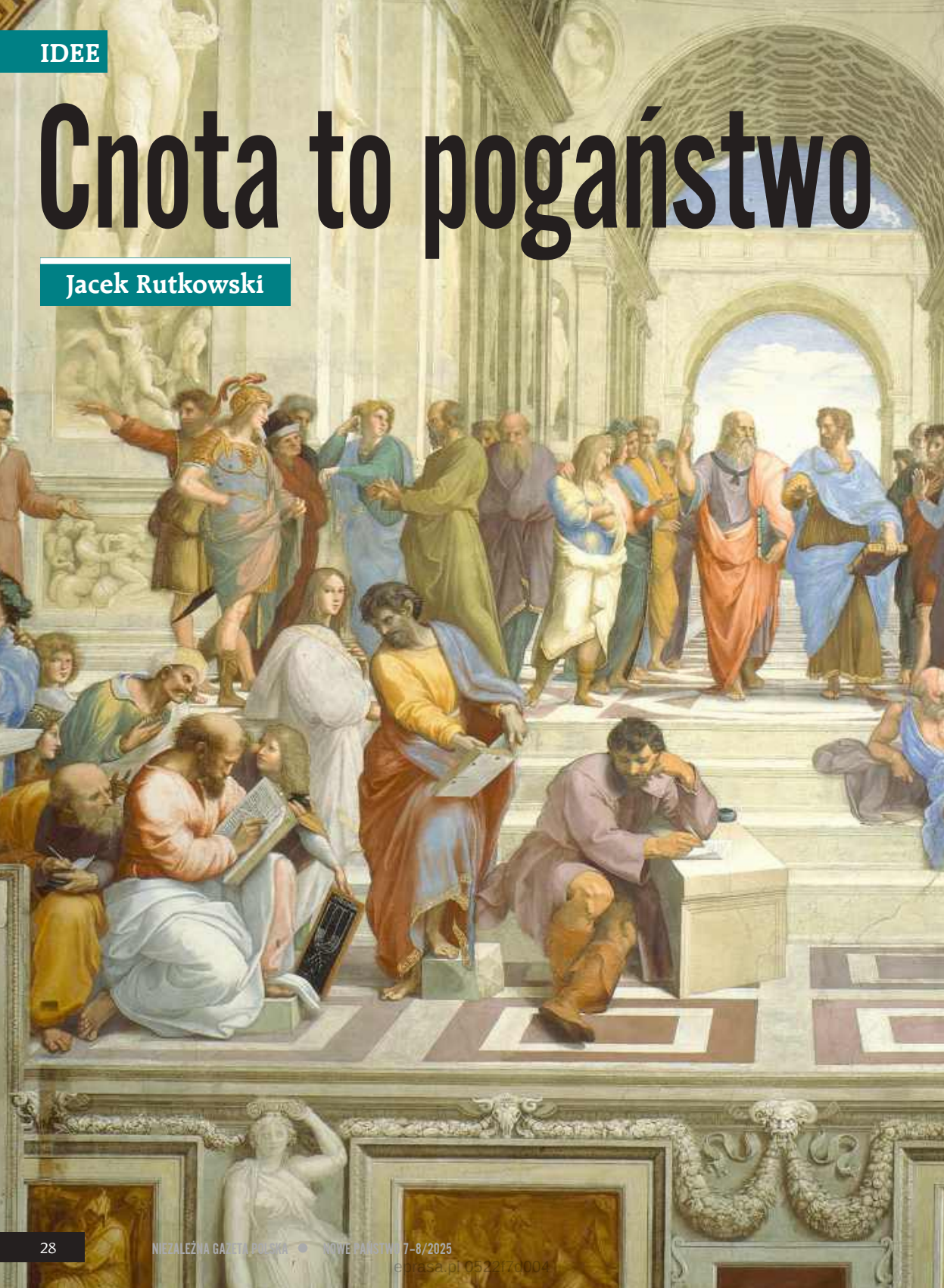
Można zapytać, co Inkwizycja, Pius V i cały „trydencki" Kościół mają wspólnego z naszym życiem, choćby z kampanią wyborczą w Polsce? A jednak, gdy prawda nie jest obroniona – a w rezultacie nie szanuje się rygorów myślenia, logika jest wyśmiewana, pojęciom przypisuje się dowolną treść, cele nadrzędne ustępują doraźnym korzyściom albo „śmieciowym" obietnicom – program najlepiej nawet przygotowanej obrony państwa nie jest w stanie w ogóle dotrzeć do wielu umysłów. Postprawda przedrzeźnia to, co prawdziwe. Argumenty w konfrontacji z nią nie mają znaczenia. Fakty są lekceważone albo całkowicie przeinaczane w nieuczciwych polemikach. W czasach postprawdy prawda jest bezwzględnie eliminowana. A nasza cywilizacja dosłownie umiera. ■

Cytaty dotyczące św. Piusa V za: Romano Amerio, „Stat veritas (zbiór glos do Listu Apostolskiego Tertio Millenio Adveniente)", Komorów.

eprasa.pl 0522f7d004

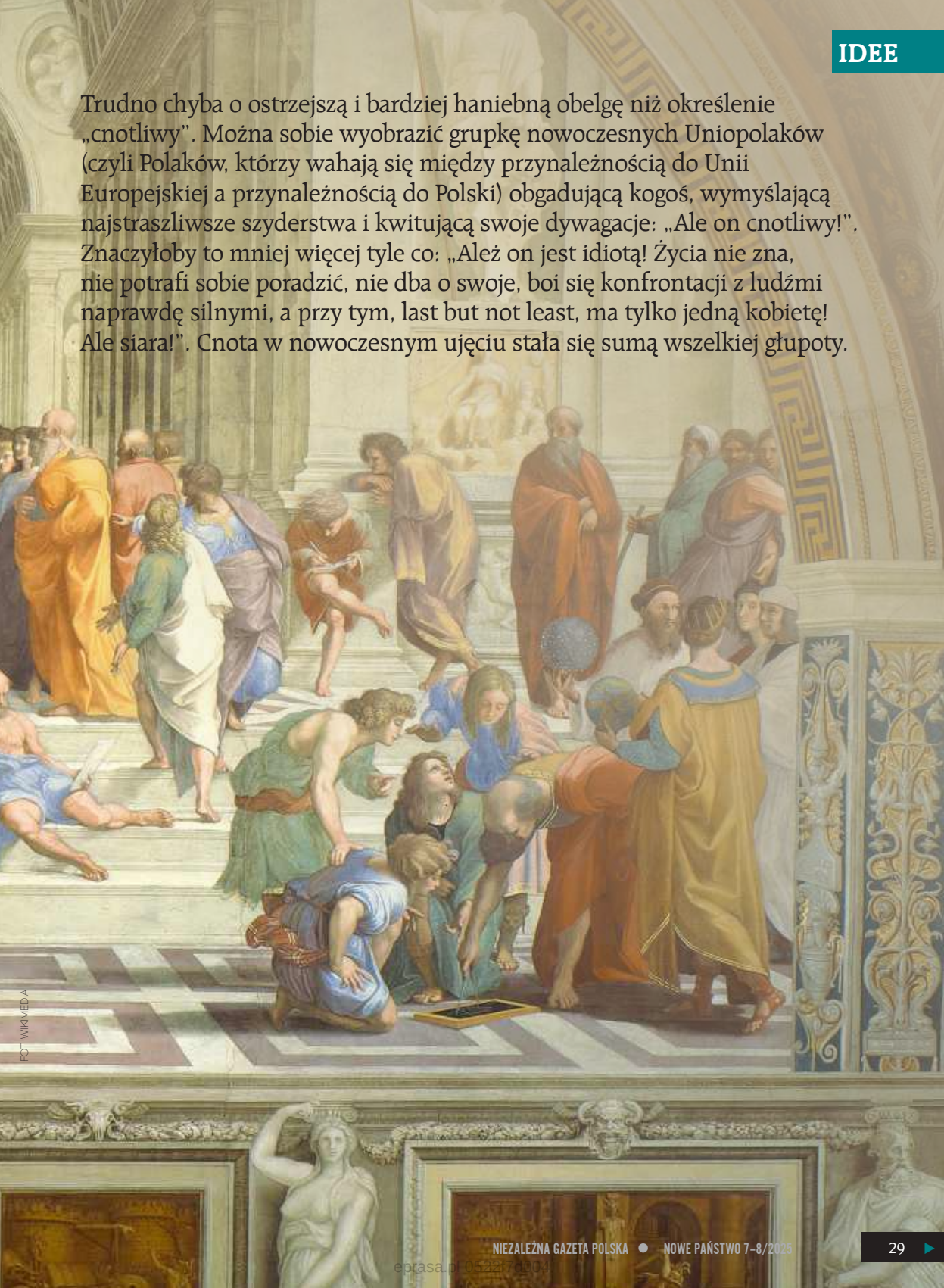
Cnota to pogaństwo

Jacek Rutkowski



eprasa.pl 0522170004

Trudno chyba o ostrzejszą i bardziej haniebną obelgę niż określenie „cnotliwy". Można sobie wyobrazić grupkę nowoczesnych Uniopolaków (czyli Polaków, którzy wahają się między przynależnością do Unii Europejskiej a przynależnością do Polski) obgadującą kogoś, wymyślającą najstraszliwsze szyderstwa i kwitującą swoje dywagacje: „Ale on cnotliwy!". Znaczyłoby to mniej więcej tyle co: „Ależ on jest idiotą! Życia nie zna, nie potrafi sobie poradzić, nie dba o swoje, boi się konfrontacji z ludźmi naprawdę silnymi, a przy tym, last but not least, ma tylko jedną kobietę! Ale siara!". Cnota w nowoczesnym ujęciu stała się sumą wszelkiej głupoty.



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 0522170004

Wyobraźmy sobie człowieka, który dąży do doskonałości moralnej. Przez całe życie szuka i pragnie dobra, usiłując dojść do Dobra ostatecznego. Zawsze dba, żeby oddać każdemu to, co mu się należy. Pilnie rozważa, jakie środki dobrać do swych celów. Nie żyje po to, aby jeść, lecz je po to, aby żyć. Współżyje tylko ze swoją żoną. Miłuje ojczyznę i prawdę tak bardzo, że nie waha się za nie oddać swego życia. Cóż to za dziwny obraz i człowiek osobliwy? Czy to któryś z apostołów? A może któryś z czcigodnych męczenników pradawnego kanonu rzymskiego? Może to Klemens, Sykstus, Korneliusz albo Chryzogon? Nie – to poganin.

Cnota starożytnych

Gdy współczesny człowiek, wyzwolony z „paraliżujących okowów moralności", idzie po trupach do celu, nigdy się nie ogląda na prawdę, dobro i piękno oraz pluje na ojczyznę i tradycję – gdy taki człowiek mówi o sobie, że jest „poganinem", należałoby spytać, czy kpi, czy o drogę pyta. Nie jest żadnym poganinem, tylko zwykłym szelmą, których nigdy nie brakowało. Doprawdy, należałoby zostawić w spokoju biednych pogan i nie przypisywać im wszelkich wad. Rozumowanie, które stoi za tym zabiegiem, jest proste jak drut: „moralność to twór chrześcijański. Poganie nie byli chrześcijanami. A zatem poganie nie byli moralni".

Współczesny wstręt wobec cnoty wiąże się ściśle z chrystofobią. Tak jakby cnoty wymyślił św. Paweł Apostoł. Panuje wyobrażenie, jakoby moralność była czymś chrześcijańskim, więc niechrześcijanie mają pełne prawo być niemoralni. Jak ktoś nie ma zamiaru żyć moralnie, nie powinien wyrzekać na Kościół ani pomstować na owych mitycznych biskupów „zaglądających nam do łóżka" (autentyk z pewnego spotu wyborczego miłościwie nam panującej partii). Powinien mieć pretensje do Sokratesa, Platona i Arystotelesa. Nie powinien krzyczeć na różnych manifestacjach: „Precz z Kościołem i Biblią!", tylko „Precz z Arystotelesem i etyką nikomachejską!". Nie powinien żądać „opiłowania Kościoła", tylko opiłowania katedr filozofii starożytnej. Powiązanie cnót z chrześcijaństwem jest w pewnym sensie akcydentalne, przypadkowe. W tych smutnych czasach upadku racjonalności Kościół prawie samotnie broni rozumu, a zatem również wartościującego sądu rozumu odnośnie do postępowania człowieka, czyli sumienia. Jeśli ktoś postępuje niemoralnie, potrzebuje wobec tego zagłuszyć nie tylko swoje sumienie, lecz także Kościół, który powtarza niestrudzenie, że człowiek ma rozum i że ten rozum jest w stanie i powinien dokonywać oceny moralnej czynów. Nie jest to bynajmniej prywatna własność chrześcijan. Żeby uznawać istnienie sumienia, nie potrzeba aktu nadprzyrodzonej wiary ani szczegółowej znajomości katechizmu. Wystarczy używać rozumu. Cnota – to rzecz rozumu.

Klasyczne pojęcie cnoty

Na czym polega związek cnoty z rozumem? Według określenia Arystotelesa, cnota jest „trwałą dyspozycją do pewnego rodzaju postanowień, polegającą na zachowywaniu właściwej ze względu na nas średniej miary, którą określa rozum, i to w sposób, w jaki by ją określił człowiek rozsądny". Cnota „dysponuje" nas do wyboru „złotego środka", a ten złoty środek jest określany przez rozum. Na przykład cnota sprawiedliwości polega, według klasycznej definicji Ulpiana, na „stałej i niezmiennej woli oddania każdemu tego, co się mu należy". Rozum wprowadza tutaj średnią miarę odnośnie do tego, co się komu należy. Gdy zaciągamy dług, nie musimy oddawać ani więcej, ani mniej, niż się umówiliśmy. Gdy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, należy się jej od nas obrona – tutaj „średnia miara" sprawiedliwości jest bardziej wymagająca, gdyż w obronie ojczyzny powinno się położyć na szali również własne życie. Cnota nie polega przy tym na uczynkach – nawet jeśli ktoś zginie za ojczyznę, nie znaczy to wcale, że był sprawiedliwy. Cnota polega na pewnej trwałej dyspozycji woli, z którą dopiero wiążą się konkretne uczynki. Nic jednak nie przeszkadza, żeby te uczynki ktoś wykonywał w sposób niejako przypadkowy – bez udziału cnoty.

Sama definicja cnoty niewiele wyjaśnia, wydaje się ona jakby zawieszona w próżni. Po co ktoś miałby być cnotliwy? Dla samej cnoty? Żeby lepiej uwydatnić, czym jest cnota i do czego komukolwiek jest potrzebna, należy przedstawić, jakie miejsce zajmuje w arystotelesowskim schemacie całego życia. Gdyby Arystoteles został zapytany: „Jak żyć, panie Arystotelesie?", nie odwracałby kota ogonem, tylko odpowiedziałby mniej więcej następująco.

Jako solidny empiryk, Arystoteles zacząłby swoje rozważania od wskazania na fakty. Otóż ludzie dążą do rozmaitych celów, działanie jest w pewien sposób nakierowane na osiągnięcie czegoś. Te cele cząstkowe nie tworzą bezładnej mieszaniny, tylko z kolei też są nakierowane na pewien jedyny cel ostateczny – szczęście (istnienie takiego jedynego celu ostatecznego było pewnikiem filozofii starożytnej). Rodzi się teraz pytanie, na czym polega szczęście. Według na przykład hedonistów (szkoła filozoficzna, która ma dzisiaj bardzo dużo adeptów) polega ono na doznawaniu rozkoszy zmysłowej. Według bardziej umiarkowanych epikurejczyków poza przyjemnościami zmysłowymi dużą rolę odgrywają również przyjemności duchowe, takie jak przyjaźń czy ciekawa dysputa. Podobne poglądy poru-

eprasa.pl 0522f7d004

szają się jednak jakby po wierzchu rzeczywistości. Wskazują na pewne przyjemności jako na konstytutywne dla szczęścia, ale unikają odpowiedzi na pytanie, dlaczego miałyby one przynieść szczęście. Według Arystotelesa szczęście powinno być dopasowane do natury człowieka. Zmysłowe szczęście hedonistów to szczęście świni, gdyż natura zmysłowa to natura świni. Człowiek natomiast to „zwierzę rozumne" – homo est animal rationale. Wobec tego szczęście powinno być dopasowane do rozumnej natury człowieka.

Otóż cnoty to po prostu zastosowanie rozumu przy osiąganiu celów cząstkowych, prowadzących do szczęścia. Człowiek, dążąc do szczęścia, musi posługiwać się rozumem, gdyż szczęście musi być dopasowane do rozumnej natury człowieka. Gdy dąży on do szczęścia, napotyka po drodze rozmaite cele cząstkowe – ile jest tych celów cząstkowych, ile jest rodzajów działalności ludzkiej – tyle jest rodzajów cnót, czyli tyle rodzajów zastosowania rozumu do pewnego rodzaju działań.

Kościół przyswoił sobie i przetrawił etykę starożytną na podobnej zasadzie jak teologię naturalną. Święty Tomasz z Akwinu nazywał niektóre artykuły wiary praeambula fidei – przedsionkami wiary. Chodziło o takie prawdy wiary, które dają się udowodnić za pomocą ludzkiego rozumu, na przykład istnienie Boga. Do takich prawd doszli już starożytni filozofowie. Wiedzieli oni jednak znacznie mniej o naturze Boga, gdyż wiedza taka przekracza zdolności ludzkiego rozumu. Wobec tego nie mieli najmniejszego pojęcia na przykład o Trójcy Świętej. Jak powiadał św. Tomasz, łaska nie niszczy natury, lecz ją doskonali. Objawienie nie znosi prawd odkrytych przez filozofów, lecz dopełnia je i ukazuje w nowym świetle.

Podobnie ma się rzecz z etyką. Cnoty „naturalne", dostępne dla każdego człowieka, nie przestają obowiązywać. Każdy ma obowiązek starać się zaprowadzić rozumną miarę w rozmaitych działaniach swego życia – każdy ma obowiązek nabywania cnót. We-

Żeby uznawać istnienie sumienia, nie potrzeba aktu nadprzyrodzonej wiary ani szczegółowej znajomości katechizmu. Wystarczy używać rozumu. Cnota – to rzecz rozumu.

Cnoty chrześcijańskie

Jak widać, nie było powyżej mowy o nieomylności papieskiej, świętych obcowaniu ani o żadnym „ezoterycznym" dogmacie wiary katolickiej. Cnota to sprawa zastosowania rozumu, a nie przyjęcia nadprzyrodzonych dogmatów. To sprawa rozumu, a nie wiary; filozofii, a nie teologii. Dajmy na to, że ktoś nie wykazuje umiarkowania w działaniach związanych z przekazywaniem życia (tzn. jest rozpustnikiem) i próbuje w następujący sposób zagłuszyć swoje sumienie: „Do licha, przecież to nie średniowiecze, żyjemy w XXI wieku! Każdy ma prawo robić to, na co ma ochotę! A poza tym księża są bogaci i jeżdżą mercedesami!". Taka strategia byłaby chybiona. Owszem, Kościół jest przeciwko rozpuście, ale należałoby zacząć u źródła, u starożytnych pogańskich filozofów. Odpowiednia obrona przed wyrzutami sumienia powinna zatem wyglądać następująco: „Do licha, przecież to nie starożytność, żyjemy w XXI wieku! Każdy ma prawo robić to, na co ma ochotę! A poza tym filozofowie byli bogaci i jeździli kwadrygami!". Abstrahując od pewnych logicznych braków tego mało skomplikowanego rozumowania, jest ono w każdym razie trafniejsze niż pierwsze.

dług św. Tomasza istnieją jednak poza tym również nadprzyrodzone cnoty wlane, których nie można nabyć własnym wysiłkiem. O ile cnoty naturalne zwracają człowieka ku dobru określonemu przez ludzki rozum, o tyle nadprzyrodzone cnoty wlane zwracają ku dobru określonemu przez prawo Boże.

Według św. Tomasza każda cnota naturalna ma swój nadprzyrodzony odpowiednik. I tak na przykład zarówno naturalna, jak i nadprzyrodzona roztropność polega na umiejętności dobierania odpowiednich środków do danych celów. Rzecz w tym, że o ile w dziedzinie naturalnej odpowiedni dobór środków oraz cele są określane przez rozum, o tyle w dziedzinie nadprzyrodzonej są one określane przez prawo Boże. Roztropnym w zwykłym sensie można nazwać człowieka, który przewidująco i zapobiegliwie stara się o środki utrzymania dla własnej rodziny – rozumnie dobiera środki dla rozumnego celu. Natomiast w sensie nadprzyrodzonym roztropnym można nazwać człowieka, który jest miłosierny. Dlaczego? Otóż Pismo mówi: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią" (Mt 5, 7). Toteż człowiek miłosierny odpowiednio dobiera środki do celu, jakim jest dostąpienie miłosierdzia. Cnoty naturalne i nadprzyrodzone mają jakby podobną postać, lecz inne podstawy (odpowiednio: ro-

eprasa.pl 0522f7d004

zum i prawo Boże) oraz inne cele. Cnoty naturalne służą osiągnięciu szczęścia naturalnego, ziemskiego, natomiast cnoty nadprzyrodzone służą osiągnięciu szczęścia nadprzyrodzonego, niebiańskiego.

Zupełnie inne cnoty

Często mówi się o św. Tomaszu, że ochrzcił Arystotelesa. Zależnie od przyjętej perspektywy ma to oznaczać udoskonalenie bądź sztuczne nagięcie myśli Stagiryty do standardów chrześcijańskich. Przypadek zagadnienia cnót wydaje się jednak nie pasować do metafory chrztu. Tomasz przyjmuje bowiem en bloc całą etykę naturalną odziedziczoną po Arystotelesie (i stoikach), po czym bez zmrużenia oka korzysta z wypracowanych przez nią pojęć, aby stwierdzić jakby: „Wszystko to pięknie, ale ja wam zaraz pokażę prawdziwą etykę!". Tę wypracowaną przez Tomasza etykę można by uznać za „ochrzczoną" etykę Arystotelesa pod warunkiem, że chrzest rozumiałoby się podobnie jak Mea w powieści „W pustyni i w puszczy". Mea miała nadzieję, że po chrzcie wybieli się jej skóra. Operację dokonaną przez św. Tomasza na etyce Arystotelesa można by porównać do takiego chrztu Mei, po którym tuż obok powstałaby podobna, tylko wybielona Mea.

Mimo bowiem podobnej struktury pojęciowej, etyka nabudowana przez św. Tomasza na etyce Arystotelesa ma zupełnie inne (nomen omen) zabarwienie. Sercem etyki Arystotelesa jest rozum – i łatwo może wyjść na to, że to serce będzie z kamienia. To etyka horyzontalna, która obraca się w świecie naturalnym. Intelektualistyczny charakter tej etyki sprawia, że trudno jej ruszyć do działania. Jak zostało wskazane wyżej, celem postępowania zgodnego z rozumem jest szczęście (grecka eudajmonia), jednak bezpośrednią pobudką działania w każdej konkretnej sytuacji jest rozum.

Natomiast sercem etyki św. Tomasza jest druga osoba i miłość między osobami. To etyka relacyjna, ustawiona ad extra, na zewnątrz, podczas gdy etyka Arystotelesa jakby zasklepia człowieka w jego rozumności. Dla nowej, chrześcijańskiej perspektywy, nie wystarcza już harmonijny, rozumny kosmos Greków. O ile Grecy ukuli zasadę „nic ponad miarę" (μηδέν άγαν), o tyle chrześcijanie znaleźli się w nowej perspektywie, w której niepodobna już znaleźć odpowiedniej miary. Bóg jest nieskończenie dobry i nie można Go miłować „ponad" miarę, nie da się dojść do dostatecznego poziomu miłości ani go przekroczyć.

Portret Sokratesa a krzyżyk ulepiony z chleba

Odrzucenie etyki chrześcijańskiej często pociąga za sobą odrzucenie skarbca etyki starożytnej, z której ta pierwsza korzystała. Odrzucenie tego, co nadprzyrodzone, często pociąga za sobą odrzucenie tego, co przyrodzone. Pożegnanie z wiarą może oznaczać także pożegnanie z rozumem. Encyklika św. Jana Pawła II „Fides et ratio" zachęca, albo raczej rozpaczliwie nawołuje, do używania rozumu. „Sapere aude!", woła Ojciec Święty, miejcie odwagę posługiwać się rozumem! Ta encyklika powinna się wręcz nazywać „Ratio". O ile rozum święci triumfy w naukach przyrodniczych, o tyle używanie go uchodzi za niestosowność w takich dziedzinach jak religia, metafizyka czy etyka, które wpływają na całokształt życia człowieka. Jak to lapidarnie ujął Chesterton, można używać rozumu do wszystkiego – z wyjątkiem wszystkiego.

Żyjemy w zapowiadanych przez Mikołaja Bierdiajewa czasach „nowego średniowiecza". Gdy we wczesnym średniowieczu hordy barbarzyńców grasowały sobie przez Europę, tylko rozsiani po klasztorach mnisi cenili księgi, uczoność i rozum. W VII wieku tylko Kościół bronił Wergiliusza. W XXI wieku tylko Kościół broni rozumnej moralności przyrodzonej. Jednakże broni w ten sposób nie czegoś własnego, lecz przyswojonego przez siebie odkrycia starożytnych filozofów.

Głębokie nieporozumienie, na jakim polega utożsamienie moralności przyrodzonej z nadprzyrodzoną, łączenie cnoty naturalnej z cnotą heroiczną, można zobrazować, korzystając z wiersza Zbigniewa Herberta „Pan Cogito o cnocie". Jest tam opisana w zasadzie cnota w rozumieniu chrześcijańskim, a nawet zostały uwypuklone te elementy cnoty, które wyróżniają cnotę chrześcijańską od greckiej. Według Pana Cogito, „Nic dziwnego, że nie jest [cnota] oblubienicą prawdziwych mężczyzn / Generałów / Atletów władzy […]". Otóż w klasycznym, greckim ujęciu, cnota właśnie jest domeną (i oblubienicą) prawdziwych mężczyzn, szczególnie „generałów" i „atletów władzy", którzy mają okazję wypróbować swe cnoty na wojnie czy w życiu obywatelskim. Arystotelesa oskarżano wręcz o „klasowo zorientowany konserwatyzm", polegający na tym, że jego etyka była (jakoby) skierowana jedynie do greckich mężczyzn z elity polis – na przykład „generałów" i „atletów władzy". Cnota opisywana przez Arystotelesa nie jest wcale „nieznośna w swoim uporze […] jak sen anarchisty / jak żywoty świętych". Anarchia, brak porządku, to przeciwieństwo harmonii wprowadzanej przez rozum – a na takiej harmonii polega cnota. Żywoty świętych są równie odległe od żywotów pełnych cnót greckich filozofów co gargulce od Wenus z Milo. Arystoteles to wdzięczny przedmiot do wyrzeźbienia, bo był tak posągowy i stateczny, że aż się prosiło, żeby zrobić z niego posąg. Święty Franciszek z Asyżu nawet na obrazach jest taki ruchliwy i tak pełen życia, że wygląda, jakby miał zaraz wyskoczyć z obrazu, żeby nawrócić jakiegoś niepoczciwego wilka albo pobiec do sułtana, by przekonywać go do chrześcijaństwa.

eprasa.pl 0522f7d004

Pan Cogito tylko raz odwołuje się wyraźnie do starożytności, wskazując na najszlachetniejszy przykład, jaki nam po sobie pozostawiła. Oto „płaczliwa stara panna […] wyciąga z lamusa / portret Sokratesa / krzyżyk ulepiony z chleba". „Boski mąż" z Aten, który całe życie poszukiwał mądrości, poniósł śmierć z ręki swoich rodaków, którzy zarzucali mu bezbożność i psucie młodzieży. Bezbożność polegała na szukaniu prawdziwego Boga, a psucie młodzieży na zachęcie do szukania mądrości. Sokrates zginął za prawdę, był jakby męczennikiem, przez co Erazm z Rotterdamu nie wahał się wołać: „sancte Socrate, ora pro nobis!" (święty Sokratesie, módl się za nami!). Sokrates antycypuje już niejako cnotę i doskonałość chrześcijańską. François-René de Chateaubriand w „Geniuszu chrześcijaństwa" stwierdził, że w całej starożytności pogańskiej jedną tylko śmierć Sokratesa można przyrównać do sceny, jaka rozgrywa się u wezgłowia każdego, choćby najnędzniejszego chrześcijanina, gdy żegna się ze światem, oczekując nieśmiertelności i połączenia z Bogiem.

Można jednak w śmierci Sokratesa wyczuć pewną grecką atmosferę. Był on co prawda w pewnym sensie męczennikiem, ale męczennikiem za rozum. Jest w jego postępowaniu coś z oschłości geometrycznego dowodu. Pan Cogito nie pozostawia złudzeń, że cnota Sokratesa różniła się diametralnie od cnoty chrześcijańskiej. Tuż po przywołaniu ateńskiego filozofa wspomina „krzyżyk ulepiony z chleba". Chodzi o krzyżyk, jaki lepili sobie więźniowie obozów koncentracyjnych ze skąpych przydziałów chleba. W obozach, czyli w miejscu, w którym śmierć głodowa była wpisana w system – jeśli ktoś nie umarł z tysiąca innych przyczyn, wolniej lub szybciej był zagłodzony na śmierć przez nieludzkie racje żywnościowe. W tym miejscu więźniowie postanawiali niejednokrotnie jeszcze zmniejszyć swe mizerne przydziały, żeby móc w tym przedsionku piekła oglądać symbol męki Chrystusa. Takie postępowanie zupełnie wymyka się racjonalnym osądom i jest tak odległe od greckiej doskonałości, jak to tylko możliwe.

Etyka zamiast religii

W preambule do Konstytucji RP wypowiedział się przez swoich reprezentantów cały naród polski, „zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł". Stanisław Michalkiewicz zasugerował z przekąsem, że aby wszystkich zadowolić, można by było ująć tę formułę następująco: „Panie Boże, zbaw dusze nasze, jeżeli istniejesz i jeżeli je posiadamy". Naród miał przystać na zdanie, z którego nic nie wynika, a wierzący mieli zaakceptować swoisty agnostycyzm konstytucji. Jednak dla starożytnych to właśnie pierwsza część powyższej formuły byłaby nie do zaakceptowania. O ile dla chrześcijan jest jasne, że cokolwiek istnieje, jest zależne od Boga, o tyle dla starożytnych było jasne, że bogowie podlegają niezmiennym prawom i przeznaczeniu. Według Platona bóg-demiurg stworzył świat według odwiecznych zasad, bytujących niezmiennie w świecie idei. W tradycji starożytnej prawda, sprawiedliwość, dobro i piękno nie pochodzą od bogów i w ogóle nie ma takiej możliwości – są to podstawowe zasady rzeczywistości, jakby reguły gry, od których nie ma ucieczki. Te reguły nie mają w ścisłym sensie źródła, gdyż są odwieczne. Według Arystotelesa można by było w pewnym sensie stwierdzić, że ich źródłem jest rozum, gdyż to rozum je odkrywa.

Według filozofii starożytnej sam rozum wystarcza do poznania dobra, a cnota polega na zgodności z rozumem. Wobec tego uczenie etyki zamiast religii wydaje się doskonałym pomysłem. Wszak skoro to nie wiara ma doprowadzić ucznia do dobra, niechaj uczyni to rozum. Skoro nie czyta Biblii, niech czyta „Etykę Nikomachejską".

Nie jest to jednak takie proste. Chesterton powiadał o filozofii współczesnej, że należałoby ją nazywać nie tyle filozofią, co „wątpliwościami filozoficznymi". Od czasów Immanuela Kanta rzeczywistość uchodzi za niepoznawalną. Należy wziąć w nawias wszystko, co (wydaje się nam że) wiemy o rzeczywistości. Nie ma żadnych odpowiedzi, można tylko zadawać mniej lub bardziej ciekawe pytania. Otóż w wydaniu współczesnym etyka byłaby zapewne tylko wątpliwościami etycznymi, albo jeszcze lepiej, „historią wątpliwości etycznych". Pogubiony młodzieniec przychodziłby na takie zajęcia, żeby się dowiedzieć, jak postępować i zamiast tego napełniłby sobie głowę dwudziestoma bzdurnymi koncepcjami moralności, z których płynąłby jeden niechybny wniosek, że prawda, sprawiedliwość, dobro i piękno tak naprawdę wcale nie istnieją. Etyka w szkole miałaby sens, gdyby zamiast być historią wątpliwości etycznych, opierała się na pełnej optymizmu filozofii klasycznej. Według niej dobro można rozpoznać ludzkim rozumem, a zgodność z rozumem to miara doskonałości moralnej. Skoro młodzież uczy się bez różnicy wszystkich koncepcji etycznych, czemu nie miałaby się uczyć bez różnicy wszystkich koncepcji fizycznych? Czemu nie mówi się już o flogistonie, eterze i teorii geocentrycznej albo mówi się o nich tylko jako o błędach przeszłości? W szkołach uczy się prawdziwej fizyki, bo państwo chce mieć dobrych fizyków. Skoro państwo chce mieć dobrych obywateli, powinno też uczyć prawdziwej etyki. ■

eprasa.pl 0522f7d004

Krzysztof Wołodźko



Jan Śpiewak (ur. 1987) – doktor socjologii, publicysta, działacz społeczny i samorządowy, założyciel największego ruchu miejskiego w Polsce – Miasto Jest Nasze – oraz prezes Fundacji Bezpieczna Polska dla Wszystkich. Radny stołecznej dzielnicy Śródmieście w latach 2014–2018. Autor książek „Patopaństwo" i „Ukradzione miasto". W tej drugiej opisał historię wieloletniego śledztwa obywatelskiego, ujawniającego kulisy afery reprywatyzacyjnej w Warszawie.

Jestem ideowym ojcobójcą

Z perspektywy rodzinnego domu obserwowałem, co się dzieje z socjologiczną opowieścią o Polsce. To było i jest środowisko mocno zaangażowane w legitymizowanie politycznego reżimu po 1989 roku. To nie przypadek, że socjologowie nie zauważyli afery reprywatyzacyjnej, przyczyn i konsekwencji migracji zarobkowej 2,5 mln Polek i Polaków już po naszym wejściu do Unii Europejskiej. Obok mnie w Warszawie, na słynnej ulicy Karowej, tuż pod bokiem socjologicznych tuzów, nielegalnie przejęto kamienicę. I nikt z nich tego nie zauważył – z JANEM ŚPIEWAKIEM rozmawia KRZYSZTOF WOŁODŹKO.

eprasa.pl 0522f7d004

Jest Pan cynglem Prawa i Sprawiedliwości?

Pierwszy raz tego sformułowania użyła Hanna Gronkiewicz-Waltz latem 2016 roku, gdy próbowała powstrzymać wybuch afery reprywatyzacyjnej. Dla liberałów to użyteczna linia argumentacyjna, można za jej pomocą próbować zdyskredytować każdy pojawiający się na horyzoncie problem. To jest mechanizm polaryzacyjny, który sprawia, że polska polityka umiera, staje się teatrem kukiełek, bo przerzucanie się obelgami zastępuje rzeczową rozmowę.

Rozdzielam ciosy po równo. Nie bez przyczyny pozywali mnie do sądu również politycy PiS. Dariuszowi Mateckiemu udało się nawet doprowadzić do tego, że sąd pierwszej instancji chciał mnie skazać w zawieszeniu na pół roku ograniczenia wolności i dozór kuratora. W drugiej instancji trochę mi to ograniczono.

Afera reprywatyzacyjna, nierozliczone do dziś przez wymiar sprawiedliwości, zabójstwo Jolanty Brzeskiej były dla Pana formującym doświadczeniem, jeśli chodzi o politykę?

To mnie ukształtowało jako człowieka i kazało porzucić jakiekolwiek złudzenia co do liberalizmu i tego, jak funkcjonuje system polityczny w naszym kraju. To było więcej niż szokujące. Zrozumiałem, że hasła o demoliberalnej praworządności, sprawiedliwej odbudowie kapitalizmu, religijny niemal kult prywatnej własności są zasłoną dla brutalnych grup interesu. I to takich, które nie wahają się zabić.

Uderzyło mnie to, że prezydentem Warszawy, stolicy Polski, w której dzieją się straszliwe rzeczy, jest profesor prawa. Przecież Hanna Gronkiewicz-Waltz była wieloletnią pracownicą naukową Uniwersytetu Warszawskiego. A tak mało ją obchodziła krzywda zwykłych ludzi.

Teraz bez cienia ironii – przygotowuje Pan ideowy grunt pod prezydenturę Adriana Zandberga?

[śmiech] Myślę, że „Wielki Duńczyk" mógłby się poczuć urażony tym pomysłem.

Dlaczego?

Poparłem partię Razem w wyborach prezydenckich. Głosuję na ich przedstawicieli od 2015 roku. To nie jest łatwa znajomość. Przez dekadę istnienia popełnili wiele błędów w swojej działalności. Teraz sami o nich mówią.

Jeśli pyta pan, czy potrzebny jest w Polsce grunt pod ideową socjaldemokrację, to powiem krótko – tak. Sam próbowałem sił w polityce, byłem stołecznym radnym, kandydowałem na prezydenta stolicy, wycofałem się z tego. Uznałem, że moje poglądy społeczne są wciąż zbyt radykalne dla wyborców i wyborczyń; stwierdziłem, że najpierw muszę się skupić na wyjaśnieniu swojej perspektywy, naświetleniu chorych mechanizmów, które tworzą naszą rzeczywistość. To szerszy problem, bo potrzebujemy lewicy, która nie będzie postkomunistyczna, nie będzie chodziła na pasku neoliberałów.

To skutkuje?

Wynik Adriana Zandberga w wyborach prezydenckich, czyli niecały milion głosów, z czego duża część to ludzie młodzi, nie jest wynikiem złym. Nie jest też fenomenalny, ale daje nadzieję na przyszłość.

Adrian Zandberg i Marcelina Zawisza prosto w oczy mówili mi niegdyś, że za żadne skarby nie pójdą wspólnie z postkomunistami. Chwilę później poszli.

Razem po 2015 roku zmarnowało swoją szansę. Doprowadzili do tego, że kilkanaście milionów złotych subwencji z budżetu państwa rozpłynęło się w powietrzu. Nie zbudowali przyczółków poza dużymi miastami. Co więcej, zaczęło się od zjawiska, które widzimy dziś – po świetnych wystąpieniach Zandberga zaufało im wielu młodych, masowo zapisujących się do partii, którzy w kolejnych latach, z różnych i niekiedy mało ciekawych dla partii powodów, zaczęli odpadać. Sporo mogliby o tym opowiedzieć ludzie tacy jak Szymon Surmacz, dzisiaj samorządowiec, niegdyś w Razem, jeszcze wcześniej w „Obywatelu". Mocno krytykował niechęć „razemowej elity" do bardziej ludowego elektoratu i mniejszych ośrodków.

Trzeba jednak oddać i partii, i Zandbergowi, że się ostali. Wytrzymali ostatnie ciosy, czyli ucieczkę do rządowej koalicji rozpoznawalnych i pracowitych osób, takich jak Magdalena Biejat i Daria Gosek-Popiołek. Implozja rządu Donalda Tuska, która jest czymś niesamowitym, jeśli spojrzeć z boku, daje Razem nowe karty. Jeśli jednak będą kontynuować sekciarską politykę, w ramach której wytną choćby Paulinę Matysiak, to schemat sprzed lat może się powtórzyć. Oni potrzebują programu, który utrzyma przy nich i tych, którzy w drugiej turze głosowali na Karola Nawrockiego, i tych, którzy głosowali na Rafała Trzaskowskiego.

Koncept „Patopaństwa" rodził się długo, inspirowany różnymi zjawiskami, czy był jakiś mocny, bezpośredni impuls?

Pomysł rodził się długo, ale zależało mi na dużym, komercyjnym wydawnictwie, dzięki któremu książka mogłaby dotrzeć do ludzi poza moją bańką. Nie jest sztuką przekonywać przekonanych. Podcast, aktywność na YouTubie, książka – wszystko służy temu, żeby trafiać szerzej do odbiorców. Chciałem też zrobić film dokumentalny o reprywatyzacji, ale Polski Instytut Sztuki Filmowej nie dał mi pieniędzy nawet na napisanie scenariusza.

FOT. KUBA CELEJ

eprasa.pl 0522f7d004

Teraz czy jeszcze za Zjednoczonej Prawicy?

Przed zimą 2023 roku. Ale PISF był i jest zabetonowany przez stary filmowy establishment; oni mieli własne komisje, które cięły do ziemi „pisowskie" projekty. Od szefa jednej z takich „komórek" usłyszałem wprost, że mój film będzie atakiem na Hannę Gronkiewicz-Waltz i on się na to nie zgodzi. To nie jest przypadek, że do dziś nie powstał naprawdę dobry film o stołecznej reprywatyzacji. Tego się nie da zrobić za grosze, potrzebne są środki na potężny research, materiały archiwalne itd. Co pokazuje, w jakiej cenzurze, zmowie milczenia realnie żyjemy. Równocześnie znajdują się duże pieniądze na takie rzeczy jak musical „1989" Marcina Napiórkowskiego, który jest liberalną bajeczką na temat transformacji.

Żadnej bajki nie było?

Mój doktorat nosi tytuł „Inteligencja wobec liberalizmu. Publicystyka »Przeglądu Politycznego« w latach 1983–1989". To w znacznej mierze praca naukowa na temat Donalda Tuska i jego środowiska ideowo-politycznego. Gdy ją pisałem, uświadomiłem sobie, jak radykalny przewrót metapolityczny dokonał się w Polsce w latach 80. XX wieku. Inteligenci zdeprecjonowali i zniszczyli robotniczy solidaryzm, zastępując go drapieżnym, wolnorynkowym pomysłem na przemiany. Nie tylko gdańscy liberałowie od Tuska traktowali ruch robotniczy jako zawaligrodę w radykalnie rynkowym procesie przemian społeczno-gospodarczych. Także Jarosław Kaczyński był bardzo nieufny wobec klasy ludowej w tamtych czasach.

Idźmy dalej. W „Patopaństwie" wskazuje Pan wprost, że liberalna inteligencja to zły demiurg naszych przemian.

Liberalna inteligencja uwielbiała długo powtarzać, że jeśli chodzi o „błędy i wypaczenia" przemian, tak się po prostu złożyło. To nie jest prawda. Wszystkie istotne procesy miały swoich konstruktorów, wykonawców, beneficjentów. Zarówno w latach 90., jak i później, w czasach afery reprywatyzacyjnej.

Wasza interaktywna mapa stołecznej reprywatyzacji wywołała poruszenie wśród opinii publicznej.

Połączyliśmy kropki, pokazaliśmy konkretne nazwiska, okazało się, że cały ten proces da się zmapować, że to nie są jakieś „niewidzialne siły rynkowe", które kradną nieruchomości w Warszawie, lecz są to bardzo konkretni ludzie, jeszcze konkretniej powiązani z kolejnymi ludźmi na przecięciu świata biznesu, polityki, prawa i administracji. Kamienice miały adresy, pod tymi adresami żyli potraktowani jak śmieci ludzie.

Gdy pisałem „Patopaństwo", starałem się pokazać, że podobnie dzieje się w innych sferach – kolesiowskie elity kulturalne, mało transparentne media, potężne przyzwolenie na szeroką promocję i sprzedaż alkoholu, cicha zgoda na kończące się zbyt często krwawymi tragediami patologie na polskich drogach.

Pana analiza porządku społeczno-gospodarczego w Polsce jest mocno lewicowa, ukazuje staro-nowe elity jako podręcznikowych wręcz wyzyskiwaczy. Główny ciężar win spada na ultraliberałów gospodarczych. Dla bardziej prospołecznej części prawicowych komentatorów/odbiorców jest to do przyjęcia. Pytanie, jak się Panu o tym dyskutuje z narodowymi liberałami.

Wydaje mi się, że oni używają nieco innej mapy pojęciowej niż my. Ale często doskwierają im te same sprawy i myślą o nich bardzo podobnie. Tyle że uciekają w znane od dekad sformułowania, na przykład: „to nie jest prawdziwy kapitalizm", „to nie jest prawdziwy wolny rynek".

Marksistowscy utopiści, tylko na odwrót?

Jedni są w tym idealistyczni, inni cyniczni. Ale większość zgadza się już, że to wszystko nie działa tak, jak powinno. Są wściekli na deweloperów, irytuje ich państwo z dykty, doskonale wiedzą, że się zaharowują, a praca jest coraz bardziej śmieciowa. Nie kupują już przekazu mainstreamowych mediów.

Myślę, że docieram do części z nich, dyskutując o problemach, a nie o partyjnych sympatiach i antypatiach. Uważam, że młody elektorat Konfederacji jest w tych sprawach bardziej otwarty niż „twardoręcy" z Silnych Razem. W ogóle – ze zwykłymi Polkami i Polakami łatwiej się dogadać, jeśli się nie zaczyna od ich obrażania.

Dziś łatwiej już wyjaśnić, na czym polegał problem z „reprą" albo dlaczego dobrze mieć sprawną komunikację publiczną w odległych od metropolii miejscowościach. Ale niektórzy prawicowi komentatorzy mocno nerwowo reagują na Pana uwagi dotyczące bezkarności piratów drogowych.

Dla mnie to dziedzictwo sarmackiej mentalności – wolności przechodzącej w rozpasanie i anarchię, tyrania brutalnej mniejszości i rozpanoszonych warchołów. To wolność rozumiana negatywnie, skrajnie indywidualistyczna, egoistyczna; wolność od wszystkiego, co kojarzy się z szacunkiem dla powszechnych norm. Dzięki niej wygrywają tylko najsilniejsi, bo w ich wykonaniu to ostatecznie przemoc wobec tych, którzy są słabsi – mają gorsze samochody, mniej pieniędzy, marniejsze znajomości.

To nam rozsadza wspólnotę, bo zawsze znajdzie się „patus" wykorzystujący swoją siłę, by gnębić innych. Dobrze to było widać na rynku pracy, gdy w czasach dwucyfrowego bezrobocia neoliberałowie kłamali w żywe oczy, że między pracownikiem a pracodawcą relacje są zupełnie równe.

eprasa.pl 0522f7d004

▶ A przy okazji – czy tylko mnie się wydaje, że z polskich mediów zniknęli socjologowie, badacze społeczni, którzy mieliby odwagę wyjść poza schematy determinujące naszą debatę publiczną?

A w ogóle kiedyś tacy u nas byli? [śmiech]

▶ Pan reprezentuje nurt socjologii zaangażowanej. Mam na koncie wywiady z podobnymi osobami.

To nie jest główny nurt. Tacy ludzie jak mój ojciec chrzestny Ireneusz Krzemiński, Janusz Czapiński, Edmund Wnuk-Lipiński przez lata pełnili funkcję gadających głów, opowiadających o polskich przemianach tak, jak pasowało to liberalnym elitom i ich politycznej emanacji, czyli Platformie Obywatelskiej. Dziś do tego dochodzą osoby jak socjolog polityki Radosław Markowski.

Odbieram socjologów z tego nurtu jak inżynierów społecznych, którzy wymyślali hasła pomagające w budowaniu całego systemu. Ireneusz Krzemiński bodaj jako pierwszy w Polsce, jeszcze w latach 80., zaczął używać na łamach podziemnego wówczas „Przeglądu Politycznego", pisma idei Donalda Tuska, pojęcia „społeczeństwo obywatelskie". Już po transformacji to pojęcie było odmieniane przez wszystkie możliwe przypadki przez opiniotwórcze ośrodki, z czasem zmutowało w grantozę i punktozę organizacji trzeciego sektora, w swojej istotnej części mocno związanych z elitą III RP.

▶ Uderza Pan w społeczną świętość lewicy i liberałów.

Dla mnie to było socjalizowanie Polaków i Polek do skrajnego indywidualizmu, przyzwyczajanie do coraz tańszego i nieobecnego państwa. Nie jest przypadkiem, że i w tej sprawie inteligenckie elity były w awangardzie. Szczególnie że w tym samym czasie zaczęła się ostra walka ze związkami zawodowymi, organizacjami zrzeszającymi pracowników i pracownice z klasy ludowej.

Z perspektywy rodzinnego domu obserwowałem, co się dzieje z socjologiczną opowieścią o Polsce. To było i jest środowisko mocno zaangażowane w legitymizowanie politycznego reżimu po 1989 roku. To nie przypadek, że socjologowie nie zauważyli afery reprywatyzacyjnej, przyczyn i konsekwencji migracji zarobkowej 2,5 mln Polek i Polaków już po naszym wejściu do Unii Europejskiej. Obok mnie w Warszawie, na słynnej ulicy Karowej, tuż pod bokiem socjologicznych tuzów, nielegalnie przejęto kamienicę. I nikt z nich tego nie zauważył. [śmiech]

▶ Coś tam zauważyli. Janusz Czapiński w 2015 roku mówił: „Rośnie fundamentalistyczny radykalizm w młodym pokoleniu Polaków. Módlmy się, by jak najszybciej wyemigrowali, dzięki czemu ochronimy porządek".

To był jego komentarz do wyborów prezydenckich przegranych przez Bronisława Komorowskiego. Oni żądali upuszczenia krwi społeczeństwu, żeby tylko zachować władzę.

To nie tylko socjologia. Polska kultura, literatura, kinematografia, zmarginalizowały po transformacji całe mnóstwo trudnych tematów.

▶ Z zainteresowaniem czytam wydany w tym roku wywiad rzekę z Pawłem Śpiewakiem „W cierpieniu nie ma nic pozytywnego". Pana świętej pamięci ojciec mówi tam, że dużym problemem w III RP jest „dystrybucja szacunku". A równocześnie dodaje, że za sprawą PiS „chamstwo polskie zostało zaakceptowane jako norma", do głosu doszli ludzie „prymitywni kulturowo i mentalnie". Co by Pan na to odpowiedział?

Mój ojciec niewiele rozumiał z tego, co się dzieje; był krytyczny wobec zmian w Platformie Obywatelskiej, a równocześnie był typowym liberalnym inteligentem, który swoimi uprzedzeniami próbował wyjaśnić fenomen wygranej PiS. Przeoczył fakt, że podobne procesy zachodzą szeroko w zachodnim świecie. Nie mógł zrozumieć, jak wielu innych, że likwidacja państwa dobrobytu i niszczenie podstaw stabilności klasy średniej przez chciwość oligarchii nie tylko kompletnie zmieniają politykę bieżącą, lecz także podważają reguły ustrojowe systemu. Nie ma liberalnej demokracji bez zdrowej chadecji i socjaldemokracji – inteligenci się w tym kompletnie pogubili, stawiając na darwinizm społeczny i klasowe przesądy.

▶ Myśli Pan nad kolejną książką?

Myślę o rozliczeniu się z polskim liberalizmem na kanwie własnej biografii, relacji z moim ojcem. Uważam, że jego pokolenie, pokolenie boomerów, kosztem młodszych przeżarło czasy pokoju i dobrobytu.

▶ Rozdźwięk z ojcem był dla Pana bolesny?

Mój ojciec był w ogromnym konflikcie ze mną. Jako człowiek nie znosił sprzeciwu, był egoistyczny i narcystyczny, on i ja – żyliśmy w świecie innych wartości. Równocześnie reprezentował liberalizm polityczny i gospodarczy. Mój bunt wobec liberalizmu jest też buntem przeciwko niemu.

▶ Jak Pan wie, w historii idei, naukach humanistycznych pojęcie mordu założycielskiego i symbolicznego ojcobójstwa znaczy bardzo dużo.

[gorzki śmiech] Mój ojciec bardzo chciał mnie złamać, sprawić, żebym przestał się zajmować tym, czym się zajmuję, zabrać poczucie bezpieczeństwa. Może to dla mnie czas rozliczenia z jego postacią, czas symbolicznego ojcobójstwa – kiedyś nie miałem takiej siły, tej perspektywy. On dostał od losu

eprasa.pl 0522f7d004

bardzo dużo i nie rozumiał, że może istnieć inny świat, inne biografie, przeżycia, punkty widzenia. Czas się rozliczyć i z nim, i z jego formacją, i z jego pokoleniem. Chciałbym to zrobić.

Dodam ważną rzecz – przynajmniej od lat 90. Paweł Śpiewak też był w opozycji wobec Czerskiej [przy ul. Czerskiej na Mokotowie w Warszawie mieści się siedziba Agory i „Gazety Wyborczej" – przyp. K.W.]. W tym sensie ani mój dom, ani ja jako młody człowiek nie byłem immanentną częścią tego salonu. Pewnie dzięki temu też łatwiej mogłem zerwać wszelkie polityczno-ideowe więzi z Platformą. Dodam, że jeszcze w 2014 roku jako młody samorządowiec sądziłem, że oni są reformowalni. Afera reprywatyzacyjna sprawiła, że straciłem tę wiarę.

▶ Stołeczna Platforma Obywatelska to osobny temat. Ich skandaliczne zachowanie na nadzwyczajnej sesji Rady Warszawy przed 1 czerwca, gdy partyjni notable zajęli miejsca zwykłych ludzi, kazało pytać, czy to jeszcze drapieżny, polityczny instynkt samozachowawczy, czy już gen samozagłady. Przecież filmy z tego docierały do ludzi w całej Polsce.

To było jak za Wiesława Gomułki, gdy aktyw ORMO udawał robotników. [śmiech] Oni są tak zadufani w sobie, tak upasieni od 20 lat na Warszawie, że stali się niereformowalni. Niestety, to problem samorządów w całym kraju, chorych układów lokalnych, często bezkarnych od dekad.

▶ PSL-owcy bardzo by chcieli utrącenia wprowadzonej przez PiS dwukadencyjności.

Już przebierają nóżkami, bo zadano ich dworom, układom i układzikom potężny cios. Gdy możesz zatrudnić na posadach więcej niż połowę ważnych ludzi w gminie, stajesz się panem ich życia i śmierci. Oni wycierają sobie gęby demokracją, a chodzi o coś dokładnie przeciwnego – odbudowę oligarchicznych relacji jak samorządowa Polska długa i szeroka. Gdyby byli chociaż efektywni, ale marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik od 20 lat nie jest w stanie stworzyć bezpośredniego połączenia kolejowego między Warszawą a Płockiem.

▶ Jest Pan dziedzicem inteligenckiej opowieści o Polsce, tyle że w formie antyinteligenckiej krytyki. Jako inteligentów, czy może postinteligentów, przedstawia pan Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Nie jestem jednak pewien, czy da się w ten sposób opisać otaczających ich polityków z młodszych pokoleń. Czy aby inteligencka opowieść nie jest już jak ubranie, które coraz mniej pasuje do klasy politycznej na PR-owych sterydach?

Będę się upierał, że pole polityczne wciąż zdominowane jest przez inteligencję i jej rozumienie rzeczywistości. To wciąż decyduje o hierarchii ważności spraw, o tym, co mój ojciec nazwał dystrybucją szacunku; wreszcie o tym, w którą stronę wędrują potężne finansowe zasoby. To polityka decyduje o losach państwa i społeczeństwa. A nad tą sferą inteligencja wciąż ma absolutną hegemonię.

To nie są wolne duchy, poeci i literaci, który żyją wielkimi mitami, to raczej inteligencja, która przypomniała sobie o swoim poszlacheckim przywileju, korzeniach sięgających folwarcznego rządzenia. I wykorzystuje swoją pozycję ponad miarę. Długie trwanie to fakt.

▶ To nie jest tylko spór „panów i chamów". Studenci w Polsce protestują przeciw lokalnym, uczelnianym feudałom.

Zarabiający krocie rektor Uniwersytetu Warszawskiego bez cienia szacunku traktuje studentów, którzy strajkują, żądając dla siebie taniej stołówki na uczelni. Powiedział wprost, że nie są dla niego partnerem do rozmów. Nikt już chyba w Polsce nie ma wątpliwości, że tzw. darmowe studia są dla bogatych.

▶ W Krakowie nasłano policję na studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy protestowali w sprawie niepewnych losów remontowanego akademika „Kamionka".

Sześciu z nich zawieszono po protestach w trakcie dni otwartych uczelni. To osoby z Koła Młodych Inicjatywy Pracowniczej.

▶ Przy okazji – postinteligentem jest też Sławomir Mentzen...

Rodzice to profesorowie, on sam z doktoratem. Mówi o sobie jako przedsiębiorcy, ale jeszcze chętniej przedstawia się w roli eksperta. Spójrzmy dalej – doktor nauk politycznych Rafał Trzaskowski, doktor nauk humanistycznych Adrian Zandberg. A także Karol Nawrocki, który wywodzi się z klasy ludowej, ale non stop musiał przypominać opinii publicznej o swoim doktoracie.

▶ O czym to świadczy?

Że także w przekonaniu zwykłych ludzi tylko doktor nauk wszelkich może publicznie mówić. I rządzić. To jest ważna część inteligenckiego przywileju, społecznie nawet ważniejsza niż stan konta. Na jednym ze spotkań poświęconych „Patopaństwu" głos zabrał chłopak ze Szwecji. I mówił, że u niego w kraju nikogo by nie zdziwiło, że facet bez wyższego wykształcenia, szef związków zawodowych, zostaje premierem.

Odwrócimy na chwilę role, ja zapytam: obserwował pan sprawę „zdobywania wykształcenia" przez Michała Kołodziejczaka?

eprasa.pl 0522f7d004

▶ Gryzłem nawet popcorn. Dlaczego?

Jestem w stanie uwierzyć, że on naprawdę szczerze się nam wszystkim skarżył, że przychodzili do niego ludzie i utyskiwali, może nawet podrwiwali, że ma stanowisko ministerialne, a nie ma wyższej edukacji. To fetysz polskiej polityki. Zrobił bardzo źle, ale uwierzę, że był w tej sprawie na musiku ze strony otoczenia. Podział na panów i chamów jest żywy. A do tego on jest rolnikiem – o wielkomiejskich uprzedzeniach wobec wsi pan też wie niemało.

▶ To nam mówi coś jeszcze: istnieje ogromne, niepisane przyzwolenie społeczne na taki podział ról. Tyle że nie każdy zostanie doktorem znanych w Polsce uczelni.

Nazywam to kompleksem pańszczyźnianym. On daleko wykracza poza bieżące podziały polityczne i decyduje o specyfice naszej hierarchicznej struktury społecznej. Z drugiej strony – to w Polsce powstała Solidarność; dziś nasze społeczeństwo, co widać w kolejnych wyborach, coraz gorzej reaguje na oznaki klasowej pogardy i politycznie coraz mocniej stawia mu odpór.

Liberalne elity zrobiły naprawdę dużo, żeby ludzie raczej gryźli się między sobą, niż zorientowali się, w jakim Matriksie żyjemy. Systemowo wszystko jest zorientowane na to, żeby ludzie na dole drabiny społecznej nienawidzili się, konkurując ze sobą niemal o wszystko – od pracy po dostęp do ochrony zdrowia. Do tego system podatkowy, który uprzywilejowuje bogatych i najbogatszych. O jakiej wspólnocie można mówić w sytuacji, gdy celowo tworzy się potężne społeczne nierówności?

A do tego liberalna inteligencja chętnie mówi o wolnym rynku, ale sama żyje z tego, że ma ułatwiony dostęp do zasobów państwa. Granty, konkursy, przetargi. No i koniecznie przyjaciel lekarz, najlepiej dyrektor renomowanego publicznego szpitala. I usłużni dworzanie na usługach liberalnego rządu, ostrzegający przed faszyzmem i populizmem, tłumaczący nam świat, a przynajmniej ludową historię Polski.

▶ Nie mamy w III RP żadnego pożytku z liberalizmu gospodarczego? Trudno zaprzeczyć, że transformacja to również znaczny krok cywilizacyjny. Często podnosimy jej wady, zastanawiam się jednak, czy w ten nie utrudniamy sobie dotarcia do szerszej publiczności.

Na poziomie indywidualnym wielu ludzi osiągnęło duży sukces. Ale uważam, że jako wspólnota największy wzrost zawdzięczamy pięćsetplusowej polityce PiS. Ich wersja keynsizmu zaprzeczyła wszystkiemu, co przez ponad 20 lat robili liberałowie postsolidarnościowi i postkomunistyczni. Moim zdaniem to PiS wyrwał ludzi z biedy, to ich rządy pozwoliły zrobić dobry pożytek ze spadku bezrobocia i to oni dali impuls do dużego wzrostu gospodarczego. Dla elit to niezrozumiałe, ale pomyślmy o ludziach, którzy zarabiali po 4 złote na godzinę. Nagle przyszło PiS i jedną polityczną decyzją, przy ogromnym wyciu liberalnych polityków i ekspertów, że zaraz zawali się polska gospodarka, znacznie podniosło stawki godzinowe i płacę minimalną.

Niedawno wyszło wznowienie książki Katarzyny Dudy, „Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda". Bardzo polecam, pozwala zrozumieć, skąd bierze się tak duże poparcie dla PiS.

▶ Recenzowałem ten tytuł dla „Znaku". Tylko że – wcielę się jeszcze w adwokata diabła – naprawdę wielu ludziom w III RP się udało.

A wiele negatywnych skutków transformacji rozłożyło się w czasie. To nie tylko demografia. Widziałem niedawno duże badanie CBOS, z którego wynika, że ludzie z grupy wiekowej 18–40 lat twierdzą, iż żyje im się gorzej niż ich rodzicom. Przestaje działać sztampowy argument, że PRL to ocet na półkach, ludzie mówią o tym, że żyje im się dziś znacznie mniej bezpiecznie, że zżera ich stres, że nie radzą sobie z nierównościami społecznymi, że egzystencja jest dziś o wiele bardziej niepewna ze względu na rynek pracy i fatalną sytuację z mieszkaniami.

Nie będę opowiadał tak jak Marcin Piątkowski, że mamy dziś złoty wiek. Moim zadaniem jest pokazać, że ten system obsługuje przede wszystkim interesy zbyt wąskiej grupy społecznej – czy wręcz koterii. A mógłby działać znacznie lepiej, gdyby nie zależał głównie od rozpanoszonej liberalnej inteligencji.

▶ Mówi Pan wyżej o sprawach, które udały się poprzedniej władzy. Ale wśród rzeczy, które strukturalnie nie wyszły, jest niestety Mieszkanie Plus.

Niedawno napisał do mnie człowiek, który mieszka w jednym z lokali wybudowanych w ramach Mieszkania Plus i płaci za wynajem horrendalne pieniądze. Problemem jest również brak ochrony lokatorów, czyli najem okazjonalny. Kłopot jest jeszcze szerszy – PiS sądziło, że z pomocą ściśle rynkowych mechanizmów stworzy budownictwo społeczne. To była kwadratura koła. Rzecz dla nikogo nie okazała się opłacalna.

Do tego okazało się, że tam, gdzie chodzi o realne, wielkie interesy, to możliwości polityków są ograniczone. Administracja rządowa nie była w stanie nakłonić polskich kolei i Poczty Polskiej, żeby oddały grunty pod Mieszkania Plus. Głośny jest przykład działki przy ulicy Sowińskiego na Woli w Warszawie, którą Poczta miała przeznaczyć pod rządowy program, a ostatecznie sprzedała deweloperowi.

▶ Liberalne media mają do Pana jeszcze cierpliwość?

Czasem jestem przez nie zapraszany, ale bardzo rzadko. Najczęściej odzywa się „symetrystyczny" Polsat. Dużo chętniej zapraszają mnie obecnie prawicowe media – bywam w Telewizji Republika, mam program w Radiu Wnet. ■

eprasa.pl 0522f7d004



„Wyobraźcie sobie istotę tak delikatną, iż nie żyć jej w naszym grubiańskim świecie. Ten książę, zrażony do cywilizacji i, co więcej, przekonany, że nigdy z nikim nie będzie mógł się porozumieć, postanawia uciec w prostotę i w bajkę. Buduje więc sobie taki kolorowy domek i cieszy się nim, jak dziecko" – pisał o malarzu Januszu Eichlerze Witold Gombrowicz. Eichler poznał grubiański świat – bił się pod Monte Cassino, wcześniej, jako 18-latek, syn piłsudczyka, był wywieziony przez Związek Sowiecki na Syberię. Gdy Polskę zajęli komuniści, jako wygnaniec został wybitnym malarzem w Argentynie, którego dzieła podziwiali książęta. W III RP skazany został na zapomnienie.

Piotr Lisiewicz

Z łagru do Argentyny. Polski malarz skazany na zapomnienie

eprasa.pl 0522f7d004



FOT. TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ARCHIWUM EMIGRACJI

Dziękuję za Eichlera! To rzeczywiście coś! To naprawdę ktoś! To bardzo... bardzo... wyjątkowo... to takie... I zaczął ruszać palcami, rękami, wić się w męczarni niewysłowienia, jak zawsze malarze, gdy chcą coś powiedzieć o malarstwie" – tak reakcję Józefa Czapskiego, wybitnego malarza i pisarza, na nieznane mu obrazy polskiego malarza z Argentyny opisywał Gombrowicz.

Gombrowicz: Więcej polskości, mniej europejskości

Wtedy Argentyna była już jego. Jak relacjonowała siostra Eichlera w korespondencji z Mirosławem Supruniukiem z „Archiwum Emigracji": „Argentyna przyjęła go jak swojego, a bo też i on niczym się od jej mieszkańców nie różnił. Wyglądał jak Argentyńczyk… nazwisko pasowało do otoczenia. Mówił też świetnie po hiszpańsku, bez akcentu". Jego obrazy w światowych galeriach możemy dziś wytropić, wrzucając w Google imię i nazwisko „Juan Eichler".

Ale polskość powracała ciągle w twórczości Eichlera. I robiła ogromne wrażenie na ludziach z drugiego końca świata. Maria Świeczewska-Wanke, wielka orędowniczka polskości w Argentynie, tak pisała o Eichlerze w „Archiwum Emigracji": „Był mistrzem kreski. Widziałam jego kaligraficzne scenki, które miały charakter satyryczny. Można się było naprawdę ubawić. Malował też obrazy olejne, robił kolaże. Jego seria wycinanek narodowo-ludowych stała się zupełną niespodzianką na wystawie w galerii Galatea w Buenos Aires – u właścicielek zachłannych na twórczość Janusza. Wycinanki polskie zrobiły szaloną karierę. Popularna sztuka kolorowych papierków została wyniesiona z wiejskiej chaty na wyżyny sztuki".

Gombrowicz wskazywał na to, jakie były źródła tej polskości: „To bardzo niesamowity człowiek i zgoła egzotyczny, jak na Polaka. Eichler to, przede wszystkim, delikatność, wschodnia nieomal, persko-arabska, tak jedwabista... Ale Eichler ma pewną cechę wspólną z Szopenem, tę mianowicie, że w nim delikatność staje się kategoryczna… Szopen nie udaje siły, przeciwnie, przyznaje się do bezgranicznej słabości – ale wyciąga z niej wszystkie konsekwencje, że w końcu owa słabość staje mu się siłą".

Co ciekawe Gombrowicz, stereotypowo przedstawiany jako kosmopolita, namawiał Eichlera, by był malarzem… bardziej polskim, a mniej europejskim. Tak zachęcał go według relacji zapisanej w jego „Dzienniku (1953–1956)": „Dziwi mnie, że malarze polscy nie próbują wyzyskać atutu, jakim na terenie sztuki jest polskość. Wiecznie macie naśladować Zachód? Korzyć się przed malarstwem, jak Francuzi? Malować z powagą? Malować na klęczkach, z najgłębszym uszanowaniem, malować nieśmiało? Uznaję ten rodzaj malarstwa, ale przecież on nie leży w naszej naturze, wszak tradycje nasze są inne. Polscy nigdy zbytnio nie przejmowali się sztuką, my skłonni byliśmy sądzić, że nie nos dla tabakiery, a tabakiera dla nosa i bardziej odpowiada nam myśl, że »człowiek jest powyżej tego co wytwarza«. Przestańcie bać się własnych obrazów, przestańcie wielbić sztukę, potraktujcie ją po polsku, z góry, poddajcie ją sobie, a wówczas wyzwoli się w was oryginalność, otworzą się przed wami nowe drogi i pozyskacie to co jest najcenniejsze, najpłodniejsze: własną rzeczywistość". Konstatował jednak: „Nie przekonałem Eichlera, który wiele włożył wysiłku w wyrobienie sobie solidnej europejskości – i spoglądał on na mnie wzrokiem, do którego już się przyzwyczaiłem, który wyraża: jak łatwo jest gadać!".

„D...y mają jak z mosiądza, to ułani są z Grudziądza"

Janusz Eichler urodził się 19 grudnia 1923 roku w Grudziądzu. Jego ojciec Stefan Eichler, wcześniej strzelec i legionista Piłsudskiego, był wówczas instruktorem w grudziądzkiej Szkole Podchorążych Kawalerii, szkolącej przyszłych oficerów. „D...y mają jak z mosiądza, to ułani są z Grudziądza" – głosiła wtedy słynna żurawiejka.

Jak pisze Mirosław Supruniuk w „Archiwum Emigracji" (2002/2003), rodzice Eichlera dopiero co przenieśli się wówczas na Pomorze, gdzie ojciec, porucznik kawalerii, dostał przydział do Centrum Wyszkolenia Kawalerii. Starsza o dwa lata siostra Janusza, Krystyna, również malarka, przyszła na świat w Częstochowie.

W Grudziądzu nie mieszkali długo. Gdy Janusz miał 3 latka, jego ojciec poparł w czasie zamachu majowego Józefa Piłsudskiego. W efekcie Eichlerowie przenieśli się do Mińska Mazowieckiego, gdzie Stefan był instruktorem jazdy konnej w 7. Pułku Ułanów. W 1928 roku przeprowadzili się do Warszawy, gdzie przyspieszyła kariera wojskowa ojca, którą zakończył w stopniu pułkownika Wojska Polskiego w Brygadzie Kawalerii w Suwałkach.

W 1934 roku Stefan Eichler odszedł z wojska i zamienił karierę wojskową na urzędniczą – został starostą najpierw w Augustowie, a później w Stołpcu na Kresach. Starsza siostra Krystyna latem 1939 roku rozpocząć miała studia na Politechnice Warszawskiej, ale wybuch wojny pokrzyżował plany.

Samarkanda. Na dnie piekła

Wojenne losy rodziny, które przytaczam za pamiętnikiem Krystyny Eichler i Supruniukiem, potoczyć się miały dramatycznie. W rok po wybuchu wojny Krystyna, by ratować się przed wywiezieniem z miasta, zapisała się na studia malarskie na litewskim uniwersytecie, choć studiować tam nie zamierzała. „Niewiele to pomogło. Wilno ponownie znalazło się pod sowiecką okupacją, a ojciec, internowany wcześniej przez rząd litewski w obozie jenieckim, w 1941 r. trafił do sowieckiego Kozielska. Uniknął jednak losu oficerów przetrzymywanych w Kozielsku w 1940 r." – pisze Supruniuk.

eprasa.pl 0522f7d004

14 czerwca 1941 roku, zaledwie na tydzień przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, całą rodzinę pułkownika Stefana Eichlera aresztowało NKWD. Zesłani zostali w głąb Związku Sowieckiego, pod granicę z Mongolią, do Kraju Ałtajskiego. Przeżyli być może ze względu na późną zsyłkę. „Kilka miesięcy kopania buraków zakończyło się z chwilą podpisania umowy Majski–Sikorski. W październiku, nie mogąc doczekać się wiadomości o dalszych własnych losach i z trudem zdobywając informacje o tworzącym się polskim wojsku, Eichlerowie postanowili uciec z Syberii i kierować się do Samarkandy. W drodze, w polskiej placówce w Taszkiencie, dowiedzieli się, że ojciec żyje i znajduje się w armii gen. Władysława Andersa". W Samarkandzie – według pamiętnika Krystyny Eichler – trafili „na dno piekła": „Tłumy niedawnych łagierników, Rosjan uciekających z terenów zajętych przez wojska niemieckie, tyfus plamisty i trudny do opisania głód".

Na szczęście w Samarkandzie odnalazł ich ojciec, wówczas już szef oddziału II (wywiadu) Armii Polskiej w Związku Sowieckim, który wysłał im żywność. W marcu 1942 roku nastąpiła ewakuacja polskiego wojska do Persji. Eichlerowie pociągiem dotarli do Krasnowodska, a stamtąd statkiem przez Morze Kaspijskie dopłynęli do Pahlawi. Kolorowe szyldy sklepów były dla nich szokiem po miesiącach patrzenia na sowiecką szarość i brud…

19-letni Janusz, który w Sowietach chorował, powoli odzyskiwał siły. Wstąpił do wojska i po przeszkoleniu w 1943 roku trafił do oddziału łączności. Przeszedł szlak Armii Polskiej na Wschodzie, a później 2. Korpusu, by w marcu 1944 roku wylądować we Włoszech. „12 maja 1944 rozpoczęła się ofensywa na Linię Gustawa. Walczył w szeregach 5. Dywizji Kresowej pod Monte Cassino, a później, w batalionie łączności, na froncie włoskim aż do końca wojny" – wymienia Supruniuk.

„Karabiny i pistolety zamienili na pędzle i farby"

2. Korpus generała Władysława Andersa doceniał znaczenie artystów. Czołówka Teatralna czy rewiowy zespół Polska Parada były tego dowodem. W sierpniu 1945 roku 2. Korpus zajął się także malarzami. Z inicjatywy profesorów Mariana Bohusza-Szyszko, Karoliny Lanckorońskiej i Henryka Paszkiewicza powstała przy wojsku polskim Sekcja Artystów i Studentów Sztuk Pięknych oraz Szkoła Malarstwa. Siedzibą Szkoły były włoskie… koszary w Cecchignola pod Rzymem. Na studia malarskie odkomenderowano 49 oficerów i żołnierzy. Po weryfikacji wykształcenia 36 z nich przyjętych zostało na studia do rzymskiej królewskiej Accademia di Belle Arti. Wśród nich był 23-letni Janusz Eichler, który zaprzyjaźnił się z Ryszardem Demelem (późniejszym przyjacielem Sergiusza Piaseckiego) i Leonem Piesowockim. Studiowali, zwiedzali rzymskie muzea i wystawiali rysunki na pokazach polskich malarzy-żołnierzy. „Pośród zjawisk, które przyniosła ze sobą II wojna światowa, jedno jest wyjątkowo ciekawe i zachęcające – to artyści zagraniczni, należący do armii sprzymierzonych, którzy swoje karabiny i pistolety zamienili na pędzle i farby. Na pierwszym miejscu wśród nich znajdują się Polacy" – pisało wydawane we Włoszech pismo „Art Club" w lipcu 1946 roku.

W październiku 1946 roku Szkoła Malarstwa wraz z polskim wojskiem ewakuowana została do Wielkiej Brytanii. Studenci trafili do obozu przejściowego koło Neapolu, a następnie popłynęli statkami do Glasgow. Zimą 1946 roku zostali ulokowani w obozie Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w Waldingfield. Odtworzono tam Polskie Studium Malarstwa i Grafiki Użytkowej Mariana Bohusza-Szyszko.

Burżuazyjny „koloryzm i postimpresjonizm"

Warto odnotować, kim był znienawidzony przez komunistów patron Eichlera, prof. Marian Bohusz-Szyszko, uczeń Józefa Mehoffera. Bohusz-Szyszko, herbu Odyniec, urodził się w Trokiennikach na Wileńszczyźnie. Wśród polskich malarzy wygnańców stał się postacią centralną, docenianą i nagradzaną na Zachodzie. Gdy w czasach socrealizmu w Warszawie odbyła się Ogólnopolska Wystawa Plastyki, zgodnie z sowieckimi wytycznymi potępiono tam burżuazyjny „koloryzm i postimpresjonizm", jako środki artystyczne sprowadzające artystów na drogę drobnomieszczańskiego widzenia świata. „Biedny Cezanne, biedny Bonard, Matisse i komunista Picasso!" – takim okrzykiem powitał te wytyczne Marian Bohusz-Szyszko. Wśród potępiających byli jego przedwojenni koledzy i nauczyciele…

Angielski krytyk Peter Rouve po jego wystawie w londyńskiej Drian Gallery oceniał w piśmie „Arts Review": „Marian Bohusz-Szyszko jest tragicznym bohaterem naszych czasów. Obcy wygnaniec wśród społeczeństwa, w którym żyje, sam jest myślą wrogi światu, w którym żyjemy wszyscy. To podwójne przekleństwo". Jak zauważał Rouve, Bohusz-Szyszko był nie tylko „bezdomnym" emigrantem, lecz także artystą, który, posługując się środkami wyrazu bliskimi abstrakcjonistom, pozostawał w konflikcie z głoszonymi przez wielu z nich treściami: „W naszych czasach zdolność widzenia piękna jest marna. Najłatwiejszą drogą dla ludzi pozbawionych odwagi jest dać się unosić fali mody. Przez lata fala ta niosła nas w kierunku abstrakcji. Marian Bohusz-Szyszko nie wyrzekł się abstrakcjonizmu swojej młodości, ale miał odwagę pozostać staromodnym".

Kontynuacja Uniwersytetu Wileńskiego

Szkoła Bohusza-Szyszko kontynuować miała w jego zamyśle tradycje Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu

eprasa.pl 0522f7d004

Stefana Batorego w Wilnie. Janusz Eichler był jednym z 29 studentów, którzy w 1948 roku odebrali dyplom Studium, zaliczający czteroletnie studia malarskie. Na dyplomie zaznaczono, że wykazał się „wybitnymi zdolnościami i osiągnięciem dojrzałości artystycznej".

1 kwietnia 1947 roku Eichler formalnie przestał być żołnierzem i utracił przywileje, jakie dawała przynależność do brytyjskiej armii. Zapisał się do Young Artists Association, co umożliwiło mu udział w wystawie stowarzyszenia w Kingly Gallery w kwietniu 1947 roku. Działał w „Grupie 49", stworzonej przez dawnych studentów-żołnierzy, m.in.: Bobrowskiego, Demela, Dobrowolskiego, Piesowockiego, Wernera, a później Baranowską, Kościałkowskiego, Mleczkę, Znicz-Muszyńskiego, z którą wystawiał w Londynie w latach 1947–1951.

Jak opisuje Supruniuk, dzięki staraniom Bohusza oraz ambasadora Edwarda Raczyńskiego niemal wszyscy absolwenci Studium uzyskali stypendia Komitetu dla spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, które umożliwiły im naukę w elitarnej Sir John Cass School. „Możemy się jedynie domyślać, dlaczego malarz postanowił opuścić Wielką Brytanię. Od 1948 r. w Argentynie przebywała starsza siostra Krystyna, która po ukończeniu architektury na amerykańskim uniwersytecie w Bejrucie, wraz z mężem wyjechała do Ameryki Południowej" – czytamy.

Robotnicza, portowa La Boca

W Argentynie zamieszkał razem z matką w pensjonacie prowadzonym przez Polaków w założonej przez włoskich imigrantów robotniczej, portowej dzielnicy Buenos Aires La Boca, którą rozsławił na cały świat klub piłkarski Boca Juniors, odwieczny derbowy rywal zespołu River Plate. „Wszystko zaczęło się w portach Buenos Aires, gdzie Boca i River dzieliły między siebie doki. Z czasem River wyemigrował na północ, do nowobogackiej dzielnicy, zostawiając Boca w slumsach południa. Bogaci kontra biedni. Ci, którzy mają, kontra ci, którzy chcą mieć – taki kontekst społeczny towarzyszył tym starciom od zarania" – pisze portal Weszło. Eichler, mieszkający na dzielnicy tych, którzy nie mają, znalazł pracę w fabryczce gumowych zabawek, którą prowadził żołnierz polski z 2. Korpusu. Jego ojciec, który też pojawił się w Argentynie, wrócił do Londynu jako ważny polityk działający na rzecz polskiej sprawy. Później był ministrem spraw krajowych w emigracyjnym rządzie Aleksandra Zawiszy.

Maria Świeczewska-Wanke pisała o Januszu: „Fakt, że mieszkał na Boca, w marnej dzielnicy, skazywał go na równie marne warunki. Mieszkał z matką – chorą, kruchą, siwą staruszką, którą otaczał nieopisaną czułością. Zajmował się nią z bohaterską cierpliwością. Do końca. Matka, którą zawsze uwielbiał, była często obecna w jego twórczości. Pamiętam ją zgarbioną na tle wnętrza o spartańskiej prostocie – w tej nieszczęsnej dzielnicy Boca, gdzie do tej pory stoją jeszcze domki z falowanej blachy, zimnej w zimie, a gorącej w lecie; tam, gdzie gromadzili się artyści i cwaniacy; tam, gdzie w spelunkach królowało tango".

Później Eichler przeprowadził się z Boca do większego mieszkania w Maximo Paz, 50 kilometrów od Buenos Aires, gdzie zorganizował własną pracownię.

„Pogrążony po uszy w podmiejskiej mitologii, podsycanej przez tanga"

Mimo wielkich trudności, jego malarstwo zaczęło być w Argentynie doceniane. „Zaczął spotykać się z malarzami, bywać na wystawach i malować, najpewniej z myślą o wystawie. Obrazy realistyczne, początkowo inspirowane scenami z życia codziennego, wolno zamieszkiwać poczęły postacie mistyczne, mitologiczne i surrealistyczne, deformując rzeczywistość i nadając jej wyraz magiczny. Przywodziły w pierwszej chwili na myśl sztukę prymitywną, jakieś reminiscencje orientu – widoczne zwłaszcza w kolorach lekko stonowanych, zapełniających duże rozpięte przestrzenie. Krytycy pierwszych argentyńskich wystaw dostrzegli w malarstwie Eichlera echa sztuki perskiej, hinduskiej przypominając pobyt malarza w Rosji i na Bliskim Wschodzie oraz studia w Rzymie" – pisze o jego ówczesnych recenzjach Supruniuk.

Na La Boca miał jeszcze wrócić. Jak czytamy, po upadku rządów Perona, i liberalizacji polityki celnej w Argentynie, fabryczka polskiego emigranta nie wytrzymała konkurencji tanich zabawek z USA i Eichler został na krótko bez pracy. Ale z pomocą przyszedł mu Zdzisław Bau, dziennikarz prasy emigracyjnej, który zaprotegował go do pracy w argentyńskim wydawnictwie. Pozwoliło to malarzowi powrócić do stolicy. Wraz z matką wynajął „pracownię"… znów w dzielnicy La Boca. Ale była to już także dzielnica kabaretów artystycznych, kawiarń i teatrów. Jak świadczyły recenzje w ówczesnej argentyńskiej prasie, Eichler „pogrążony po uszy w podmiejskiej mitologii, podsycanej przez tanga, pieśni, fabryki, noże i nocne występki, zapomniał o przeszłości i rzucił się z zapałem do pracy, aby dać świadectwo światu, który go przygarnął".

„Malarstwo to nie sprzedawanie płótna na metry"

Jak funkcjonował Eichler w Argentynie jako coraz bardziej uznawany artysta? Często nieszablonowo. „Janusz Eichler, co tu ukrywać, był oryginałem jak przystało na artystę i w pewnym okresie, kiedy miał swoją wspaniałą wystawę w historycznym lokalu w dzielnicy San Telmo, wyniósł się na jedną z tysiąca wysp Tigre. Zaginął tam na dłuższy czas i był nieosiągalny. Wystawa natomiast zbierała w miejscowej prasie znakomite recenzje i stała się wkrótce wielkim wydarzeniem sezonu…" – pisze Świe-

eprasa.pl 0522f7d004

czewska-Wanke. Eichler miewał wystawy w wielu sławnych galeriach. „Pamiętam ekspozycję w Galatei na Via Monte. Takie wernisaże były dla Janusza wielkim świętem… tyle osób zarówno z polskiego towarzystwa, jak i z tutejszego, eleganckiego świata. Przychodzili książęta, księżniczki i zwykli ludzie…" – stwierdza autorka „Archiwum Emigracji".

Jak zaznacza, o ile krytycy raczej się Eichlerem zachwycali, o tyle lamentowały właścicielki galerii. Zaznaczały, że Eichler za mało pracuje, za mało maluje, że się nie mogą doczekać każdego następnego obrazu. „Rzeczywiście, bywało, że Janusz kończył zaledwie dwie lub trzy prace w ciągu roku. Był niesłychanie skrupulatny i wymagający wobec siebie… Nie spieszył się. Długo nosił w sobie wizję nowego dzieła, które nigdy nie było banalne ani tuzinkowe. Tłumaczył, że malarstwo to nie sprzedawanie płótna na metry" – pisze Świeczewska-Wanke.

„Nigdy się o tę sławę nie ubiegał, nie gonił za groszem"

W Argentynie Eichler zaprzyjaźnił się z Gombrowiczem. Ten drugi został później doceniony, choć dopiero po wyjeździe z Argentyny. Eichler miał swoich promotorów, którzy nie pozwolili mu umrzeć z głodu, ale za słabych, by pokazać go całemu światu.

Świeczewska-Wanke pisze o tych dwóch postaciach, wspominając portret namalowany przez Eichlera: „Widziałam też olejny portret Gombrowicza siedzącego w fotelu w swoim mieszkaniu na Venezueli. Obraz był raczej posępny, utrzymany w ciemnych tonach. Przy tej okazji spotkali się dwaj wybitni twórcy emigracyjni – malarz i pisarz. Dziś pozostały po nich tylko dzieła jako spuścizna złożona na ołtarzu narodowym oraz pamięć tych, którzy mieli szczęście zbliżyć się do nich. Obaj przeżywali ciężkie czasy. Gombrowicz zyskał sławę, ale za późno. Eichler, uważany za najlepszego naszego malarza, nigdy się o tę sławę nie ubiegał, nie troszczył się o dobra materialne, nie gonił za groszem".

Natomiast wszyscy spotykający Eichlera czuli to samo co Gombrowicz – że mają do czynienia z kimś niezwykłym. „Kiedy się zjawiał w towarzystwie, zwracał uwagę nie tyle strojem, ile swoją osobowością, dystynkcją, delikatnością manier, a także niewymuszoną swobodą. Umiał mówić z zainteresowaniem, zawsze z dozą humoru, która dodawała mu młodzieńczości… Owszem, uprawiał malarstwo jako specjalność swej artystycznej natury, ale wydawało się, że mógł być wybitny w każdej innej dziedzinie, gdyby zechciał".

Jeszcze parę szczegółów do biografii, opracowanych przez „Archiwum Emigracji". W 1975 roku Eichler miał wystawę retrospektywną w Muzeum Sztuki Współczesnej (Museo di Arte Moderno) w Buenos Aires, która odniosła wielki sukces. Z kolei w 1985 roku zorganizowana została w galerii Galatea na Via Monte zebrała w lokalnej prasie znakomite recenzje.

Ostatnie lata jego życia nie były łatwe. „Zamieszkał daleko poza Buenos Aires, w Tigre, na wyspach w delcie rzeki Parana, gdzieś w pobliżu granicy argentyńsko-paragwajskiej… Z daleka od ludzi, w dziczy, na ustroniu, żył wśród roślin, ptaków i płócien własnych obrazów. Własne potrzeby ograniczył do niezbędnego minimum… W Buenos Aires zamieszkał w rozpadającej się ruderze, ale pech go nie opuszczał. Przyciągał swą niezaradnością i dziecinną łatwowiernością wszelkiego rodzaju złodziei i cwaniaków" – pisze Supruniuk.

Dlaczego nie chcą go pamiętać?

Janusz Eichler zmarł 24 sierpnia 2002 roku i został pochowany na cmentarzu Chacarita w Buenos Aires. Maria Świeczewska-Wanke wspomniała, jak jego śmierć przyjęli argentyńscy wielbiciele: „»Oby było więcej takich ludzi« – wyraził się Pinitera ze łzami, które się wyczuwało w jego głosie. Niech znajdzie Janusz Eichler spokój wieczny. Niech mu Bóg wynagrodzi wszystkie niedostatki i krzywdy ziemskie. Niech da mu w raju farby, pędzel i płótno, by portretował anioły – ich słodycz i nieskazitelne piękno".

Dlaczego Janusz Eichler nie został należycie przywrócony polskiej kulturze? Czy może dlatego, że jego ojciec był na wygnaniu ministrem spraw krajowych w emigracyjnym rządzie Aleksandra Zawiszy? Czy dlatego, że był on „dwójkarzem", przedstawicielem znienawidzonego przez komunistów wywiadu II RP? Dopiero w 2023 roku szczątki Stefana Eichlera oraz jego małżonki Felicji zostały ekshumowane, sprowadzone do Polski i pochowane na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Mirosław Supruniuk pyta: „Dlaczego jednak nie pamiętają o malarzu tzw. »znawcy od Gombrowicza«? Na fotografii zamieszczonej w książce »Tango«… Eichler i Gombrowicz siedzą przy stoliku w kawiarni Rex w Buenos Aires. Dlaczego zdjęcie jest jedynym nieopisanym w całej książce? Dlaczego nie zostało wyjaśnione, kim był Eichler w książkach poświęconych autorowi Ferdydurke, np. w edycji korespondencji Giedroycia z Gombrowiczem? Dlaczego nie ma Eichlera w książce Rity Gombrowicz »Gombrowicz w Argentynie«? Czy żyjący w nędzy, chory Eichler nie wydał się autorce interesującym świadkiem? Czy wydawało się jej, że dawno nie żyje?".

Zdaniem redaktora naczelnego „Archiwum Emigracji" „wydaje się, że ponownie odkryty będzie Janusz Eichler znakomitym, osobnym, przykładem polskiego malarstwa surrealistycznego. Zarówno miejsce, jakie zajmuje wśród malarzy argentyńskich, jak i dokonania w działalności wystawienniczej w Argentynie dają mu prawo do ubiegania się o zainteresowanie i sprawiedliwą ocenę". ■

eprasa.pl 0522f7d004

Dariusz Jarosiński



Obława augustowska. Największa zbrodnia na Polakach po wojnie

Obława augustowska była największą zbrodnią przeciwko narodowi polskiemu dokonaną po zakończeniu II wojny światowej, a także największą zbrodnią popełnioną na ludności cywilnej w powojennej Europie, aż do masakry w Srebrenicy w 1995 roku. Do dziś nie wiemy, jak zginęli, gdzie i w jakich miejscach zakopano ich ciała. Rosjanie pilnie strzegą tajemnicy i nie zgadzają się na udostępnienie dokumentów z moskiewskich archiwów.

Kiedy w Europie Zachodniej świętowano zakończenie II wojny światowej z Niemcami, w Polsce mieliśmy początki nowej, sowieckiej okupacji. Z rozkazu Józefa Stalina Sztab Generalny Armii Czerwonej opracował plan pacyfikacji obszaru Puszczy Augustowskiej i sąsiadujących z nią terenów (w tym także położonych w granicach dzisiejszej Litwy i Białorusi). W operacji, nazywanej obławą augustowską lub małym Katyniem, wzięło udział około 50 tys. żołnierzy Armii Czerwonej i funkcjonariuszy sowieckiego kontrwywiadu wojskowego SMIERSZ. Z pomocą pospieszyli im polscy komunistyczni zdrajcy: funkcjonariusze powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego w Augustowie i Suwałkach, lokalnych posterunków Milicji Obywatelskiej oraz dwie kompanie żołnierzy komunistycznego Wojska Polskiego z 1. Praskiego Pułku Piechoty im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem por. Maksymiliana Sznepfa. Celem pacyfikacji była likwidacja polskiego podziemia niepodległościowego.

„Zlikwidować wszystkich zidentyfikowanych bandytów"

Główną operację przeprowadzono w dniach 12–19 lipca 1945 roku, czyli dwa miesiące po oficjalnym zakończeniu II wojny światowej, teoretycznie więc w czasie pokoju, przeczesując lasy na terenie ziemi augustowskiej, sejneńskiej, sokólskiej i suwalskiej i wyłapując Polaków. Ocenia się, że spośród 7 tys. zatrzymanych około 2 tys. nie powróciło do domu. To prawie 2 tys. osób to liczba tylko z okresu 12–19 lipca, a aresztowania trwały jeszcze długo po tej dacie, dlatego liczba ofiar z pewnością przekroczyła 2 tys. Wśród osób zaginionych dużo było ludzi przypadkowych, m.in. 27 kobiet i 15 dzieci.

Osoby zatrzymane były umieszczane w utworzonych przez Sowietów tzw. punktach filtracyjnych, było ich co najmniej kilkadziesiąt we wszystkich objętych operacją powiatach. Mieściły się one w stodołach, chlewach, magazynach, szopach, piwnicach. Zatrzymani byli poddawani brutalnemu śledztwu, połączonemu z biciem i torturowaniem.

Zgodnie z instrukcją ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRS, Ławrentija Berii, szef Głównego Zarządu Kontrwywiadu SMIERSZ, gen. płk Wiktor Abakumow 20 lipca 1945 roku wysłał samolotem do Olecka (wówczas Treuburg) grupę katów pod dowództwem swego zastępcy, gen. mjr. Iwana Gorgonowa, do których dołączył na miejscu gen. lejtnant Paweł Zielenin – szef Zarządu Kontrwywiadu SMIERSZ 3. Frontu Białoruskiego.

Wiktor Abakumow, przekazując do Berii szyfrogram, zaproponował następujący tok postępowania:

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 0822f7d004

„Zlikwidować wszystkich zidentyfikowanych bandytów w liczbie 592 osób. W tym celu zostanie wydzielona grupa operacyjna i batalion wojsk Zarządu SMIERSZ 3. Frontu Białoruskiego, sprawdzone w praktyce podczas szeregu akcji kontrwywiadowczych. Pracownicy operacyjni i żołnierze batalionu dostaną precyzyjne instrukcje co do trybu likwidacji bandytów. […] W trakcie operacji zostaną podjęte niezbędne kroki, aby nie dopuścić do ucieczki któregokolwiek z bandytów. W tym celu oprócz udzielenia dokładnego instruktażu pracownikom operacyjnym i żołnierzom batalionu, rejony lasu, gdzie będzie prowadzona operacja, po wcześniejszym przeczesaniu zostaną okrążone. […] Pozostałe 828 osób sprawdzimy w ciągu pięciu dni – wszystkich wykrytych pośród nich bandytów zlikwidujemy w ten sam sposób. Meldunek o liczbie wykrytych w tej grupie bandytów zostanie Wam wysłany".

Najprawdopodobniej głównym zamiarem obławy było oczyszczenie ze struktur polskiego podziemia strategicznie ważnego pasa na pograniczu Polski, obwodu królewieckiego, oraz Litewskiej i Białoruskiej SRR.

Z ustaleń poczynionych przez rosyjskie Stowarzyszenie „Memoriał" i prof. Nikitę Pietrowa wynika, iż osoby zakwalifikowane jako „bandyci" zostały zgrupowane w specjalnym łagrze w pobliżu miejscowości Giby, na skraju Puszczy Augustowskiej, skąd drogą leśną były przewożone do ówczesnej strefy nadgranicznej dzisiejszej Białorusi do miejscowości Kalety w obwodzie grodzieńskim. Tam zapewne przeprowadzano egzekucje i tam prawdopodobnie znajdują się „doły śmierci", ale sprawa ta nie została dotychczas ostatecznie wyjaśniona, w związku z czym przyjmuje się, że miejsce spoczynku doczesnych szczątków ofiar obławy augustowskiej jest wciąż nieznane.

Rodziny zamordowanych do chwili obecnej nie doczekały się moralnej satysfakcji. Musiały swój ból ukrywać, ale mimo szykan, zastraszania i pogardy ze strony władz komunistycznych, podejmowały na własną rękę próby wyjaśnienia losu swych bliskich. W latach 80. XX wieku próby dotarcia do prawdy o liście ofiar obławy augustowskiej i miejscu ich spoczynku podejmował Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku.

▶ „Ściany i podłoga pokoju przesłuchań były czerwone od krwi"

Stanisław Pietrewicz „Gałązka" był żołnierzem Armii Krajowej w oddziale Antoniego Dąbrowskiego „Zająca". W 1944 roku miał 18 lat, mieszkał z rodzicami i rodzeństwem na kolonii miasteczka Lipsk nad rzeką Biebrzą. Kiedy latem 1944 roku Sowieci zajęli ziemię lipską, w ich domu i zabudowaniach zakwaterowało się około 40 funkcjonariuszy NKWD. Dom stał przy szosie Augustów–Grodno, co zapewne miało dla bolszewików znaczenie.

Zdaniem Stanisława Pietrewicza przygotowania do obławy Armia Czerwona rozpoczęła zaraz po tym, jak zajęła tereny Suwalszczyzny i Augustowszczyzny, to znaczy latem 1944 roku. Front w okolicach Augustowa utrzymywał się przez kilka miesięcy. Dowódcą enkawudzistów był mjr Iwan Wasilenko – to on organizował Urząd Bezpieczeństwa w tzw. Domu Turka w Augustowie i w Suwałkach. Choć wszyscy enkawudziści ostro pili, czasami na umór, Wasilenko zawsze był trzeźwy. Jeździł rowerem po wsiach do konfidentów, którzy przekazywali mu nazwiska członków AK. Miejscowi szpicle pracowali dla NKWD co najmniej od 1940 roku, jak chociażby Jan Szostak, późniejszy funkcjonariusz UB w Augustowie, nazywany katem Augustowszczyzny. Pierwsze aresztowania na ziemi augustowskiej NKWD przeprowadziła jesienią 1944 roku, zatrzymanych wówczas żołnierzy podziemia wywożono na Sybir.

W połowie lipca 1945 roku Stanisław Pietrewicz „Gałązka" został zatrzymany przez Sowietów, kiedy przebywał u swego wuja kilkadziesiąt kilometrów od domu. „Żołnierze Armii Czerwonej szli od Krasnego obławą, jeden od drugiego w odległości 3 metrów – opowiadał. – Przez pola, łąki, a nawet przez bagna po pas w wodzie. Złapali nas, kiedy staliśmy i rozmawialiśmy ze szwagrem na podwórku". Z 40 innymi mężczyznami, podobnie jak on ujętymi w obławie, trafił do stodoły na kolonii wsi Nowy Lipsk. Wszystkim zatrzymanym zabrano dokumenty, jakie kto przy sobie posiadał. Szczęśliwie jego nazwiska nie było na czarnej liście osób przeznaczonych na śmierć. Po dwóch tygodniach został zwolniony do domu („Nasz Dziennik", 20.12.2012, na podst. rozmowy Adama Białousa ze Stanisławem Pietrewiczem „Obława zaczęła się wcześniej").

Teresa Kaczorowska, pisarka, reporterka, zebrała wspomnienia świadków augustowskiej zbrodni w książce „Obława Augustowska", wydanej w 2015 roku, więc zapewne nie wszyscy jej świadkowie żyją do dziś. Józef Kucharzewski, kościelny w Gibach w powiecie sejneńskim, jest bratem Zyty Kucharzewskiej, która zaginęła 80 lat temu bez wieści. Zyta miała 25 lipca skończyć 20 lat, była wyjątkowo ładną dziewczyną. W czasie wojny pracowała w biurze tartaku zarządzanym przez Niemca, była łączniczką w Armii Krajowej. Wcześnie rano, 12 lipca, trzech Sowietów przyszło po nią, skrępowali jej od tyłu ręce drutem i wyprowadzili. Do dwóch chlewów, stodoły i piwnic sąsiadów Kucharzewskich, państwa Szarejków, bolszewicy wepchnęli 150 Polaków. Dwa tygodnie przetrzymywali ich tam niczym zwierzęta. Zyta była jedyną kobietą, więc zamknięto ją oddzielnie w niewielkim schowku na narzędzia, w którym musiała cały czas siedzieć w kuckach. Uwięzieni Polacy pozbawieni byli jedzenia, wody. Enkawudziści pozwolili rodzinie państwa

eprasa.pl 0522f7d004

Szarejków zająć tylko jeden pokój w domu, pozostałe pomieszczenia przejęli oni. Szarejkowie stali się mimowolnymi świadkami okrucieństw, bo w ich domu trwały przesłuchania. Słyszeli cały czas jęki, łkania, wycie z bólu, wołanie o pomoc. „Ściany i podłoga pokoju przesłuchań były czerwone od krwi" – wspominał Józef Szarejko.

Józek Kucharzewski z ukrycia, z chlewu, obserwował, co dzieje się na podwórku sąsiadów, Szarejków. Widział m.in. prowadzoną na przesłuchania słaniającą się na nogach siostrę, widział też, jak bolszewicy wywozili nocą ciało zamordowanego w czasie przesłuchania więźnia. Jęki bitych, katowanych niosły się niemal po całej wsi. Matka przez przekupionego samogonem bojca mogła od czasu do czasu podać coś do jedzenia Zycie.

Po około dwóch tygodniach, 26 czy 28 lipca, w jedną noc, Sowieci załadowali więźniów na ciężarówki i wywieźli. Józef Szarejko naliczył 13 samochodów. Auta wracały mniej więcej co pół godziny, robiąc po kilka kursów, jechały drogą Giby–Rygol w kierunku Grodna. Miejscowi ludzie mówili, że więźniowie zostali zamordowani w miejscowości Naumowicze na terenie dzisiejszej Białorusi.

Zawiedzione nadzieje

Marian Bućko z Krasnegoboru w 1945 roku miał 18 lat. Wspominał: „Pojechałem jednego lipcowego dnia na łąki. Z kosą aby kosić siano. I nagle zobaczyłem całą tyralierę. Żołnierze sowieccy, jeden przy drugim, szli gęsto przeczesując Puszczę. Zapytali mnie o broń. Mimo iż jej nie miałem, przygnali mnie do domu. I już razem z ojcem popędzili nas do chlewa Bronisławy Hornowskiej, w środku naszej wsi". W chlewie tym siedzieli cztery dni wraz z 50 mężczyznami, podobnie jak oni złapanymi na łąkach lub na drodze, po czym przepędzono ich do stodoły Witka. Przynajmniej w stodole nie było gnoju i fetoru. Tam spędzili kolejne pięć dni. Marianowi Bućko enkawudziści pozwolili wrócić do domu, ojca, Konstantego Bućko, zatrzymali. Mieli go na liście jako żołnierza dwóch wojen, a także plutonowego Armii Krajowej ps. Setny. Wskazał go ubek z Augustowa, Jan Szostak. Tym razem Konstanty Bućko trafił do piwnicy Bronisławy Hornowskiej, gdzie byli więzieni żołnierze AK, w większości młodzi chłopcy. Z piwnicy dochodziły jęki i krzyki katowanych żołnierzy. O tej piwnicy, o tym, co się w niej działo, ludzie mówili po wojnie jedynie szeptem. Piwnica dzisiaj już nie istnieje, przebiega po niej asfaltowa droga.

Granaccy z Jastrzębnej Drugiej mieszkają w domu, w którym urzędowało NKWD, na środku podwórza stoi do dziś piwnica skrywająca tajemnice, w niej przebywali i byli katowani żołnierze AK. Więzionych w wiosce Jastrzębna Druga przepędzono później jak bydło do stodoły Szyców w Sztabinie. Po kilku dniach aresztowani zostali przewiezieni do słynnego „Domu Turka" w Augustowie, gdzie mieścił się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Przed wojną w kamienicy tej mieściła się cukiernia, właścicielem jej był z pochodzenia Bośniak, nazywany popularnie Turkiem. W latach 1940–1941 miała tu swoją siedzibę NKWD. Jeszcze do niedawna ludzie omijali ten budynek szerokim łukiem. Tam już nie mogły rodziny podawać swoim bliskim jedzenia ani bielizny. Z „Domu Turka" wywieziono aresztowanych w nieznanym kierunku. Wszelki słuch o nich zaginął. Rodzinom odmówiono jakichkolwiek informacji o losie ich bliskich. Z parafii Krasnybór naliczono 45 zaginionych.

Marian Bućko nigdy nie pogodził się z losem: „Bardzo nam ojca, głowy rodziny, brakowało. Tęskniliśmy, martwiliśmy się, czekaliśmy. Aby przeżyć, musieliśmy jako chłopcy zarabiać u innych, najczęściej koszeniem trawy, pracą przy żniwach, przy wykopkach. Matka cały czas nasłuchiwała kroków ojca. Dawała na msze, podobnie jak inne kobiety. Ale do końca życia nikt nie wrócił. Nawet Matka Boska Krasnoborska nie pomogła".

Sowieci przez kilka tygodni zachowywali się jak pospolici bandyci, sadyści postawieni ponad prawem – okradali miejscową ludność i bestialsko gwałcili kobiety. Kobiety strasznie się bały, bo ta przemoc osiągała gigantyczną skalę. Wszędzie tam, gdzie pojawiało się wojsko rosyjskie, tam były masowe gwałty. Z wielu urodziły się dzieci i żyją do dziś. Żołnierze Armii Czerwonej dopuszczali się napadów na gospodarstwa rolne i kradzieży zgromadzonego w nich dobytku. Okazywali przy tym pogardę wobec społeczności polskiej.

Świadkowie tamtych zdarzeń, którzy jeszcze dzisiaj żyją, mieli w lipcu 1945 kilka, najwyżej kilkanaście lat. Kiedy nadchodzi lipiec, odżywają wspomnienia, obrazy tamtych dni. Na ich oczach zabierano bliskich, później nie pozwolono im mówić o tym, co się stało. Przez wiele lat żyli nadzieją, że może któregoś dnia jednak ci bliscy wrócą do domu. Dzieci dopytywały się starszych, kiedy wróci tata, czemu nie ma w domu mamy. Później już przestały się pytać. Rodziny zaginionych żyły pod baczną obserwacją służby bezpieczeństwa, milicji, konfidentów. Bywało, że nie można było nawet dowierzać sąsiadom. Z piętnem rodziny „bandyckiej" trudno było żyć, zdobyć pracę, niektórzy opuszczali swoje rodzinne strony i wyjeżdżali na przykład do pracy na Śląsku.

„Wizja historii głęboko uproszczona"

Obława augustowska została przeprowadzona na rozkaz władz sowieckich i głównie siłami Armii Czerwonej. Należy jednak pamiętać, że w zbrodniczej operacji po stronie Sowietów, w walce z naszymi rodakami, wzię-

eprasa.pl 0522f7d004

li udział też polscy zdrajcy: żołnierze dwóch kompanii 1. Praskiego Pułku Piechoty w sile około 160 żołnierzy pod dowództwem por. Maksymiliana Sznepfa, funkcjonariusze powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego w Augustowie i Suwałkach oraz lokalnych posterunków Milicji Obywatelskiej; współpracowała także z nimi siatka agentów i informatorów.

To hańba, że w wolnej Polsce, po roku 1989, polscy współsprawcy zbrodni augustowskiej nie odpowiedzieli przed sądem za swoje czyny, nie zostali ukarani. Zbrodniarze nie wykazali nawet najmniejszej skruchy, bezczelnie kłamali, a nawet szydzili ze swoich ofiar, ciągle na przykład nazywając polskich patriotów, żołnierzy AK, „bandytami".

Wspomniany Maksymilian Sznepf, komunistyczny zbrodniarz, w 1940 roku jako ochotnik wstąpił do Armii Czerwonej, a później do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, sformowanej w 1943 roku. Za zasługi dla bolszewii został odznaczony w 1945 roku krzyżem Virtuti Militari. W latach stalinowskich pułkownik komunistycznej bezpieki wojskowej, szef I Oddziału Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Po 1956 roku pełnił różne funkcje, m.in. kierownika Studium Wojskowego na Uniwersytecie Warszawskim, zastępcy dyrektora Żydowskiego Instytutu Historycznego, działał w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce. Do końca życia pobierał wysoką emeryturę jako dyplomowany pułkownik w stanie spoczynku. W 2003 roku został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

W 1994 roku Maksymilian Sznepf był przesłuchiwany przez prokuraturę w związku ze śledztwem prowadzonym w sprawie obławy augustowskiej. Komunistyczny zbrodniarz stwierdził, że niczego nie pamięta ze swojej służby w 1. Pułku Praskim w tamtym czasie, zaprzeczył, by wykonywał działania wymierzone w polskie podziemie niepodległościowe i cywilną ludność wspierającą polskich żołnierzy Armii Krajowej. Nie bacząc na konsekwencje wynikające z podawania nieprawdziwych informacji, zeznał, że nie wie nawet, gdzie leżą miejscowości, które pacyfikowali podlegli mu żołnierze.

Syn Maksymiliana Sznepfa, Ryszard Sznepf, robi błyskotliwą karierę polityczną, dyplomatyczną, w III RP był ministrem w kancelarii premiera, wiceministrem w MSZ, ambasadorem RP w Urugwaju, Kostaryce, Hiszpanii i USA. W sierpniu 2024 roku syn stalinowskiego oprawcy został kierownikiem placówki dyplomatycznej w Rzymie na miejsce odwołanej z funkcji ambasador RP Anny Marii Anders, córki gen. Władysława Andersa.

W czasie gdy Ryszard Sznepf pełnił funkcję ambasadora RP w Waszyngtonie, jeden z Polaków mieszkających w USA zapytał go w liście o rolę, jaką pełnił jego ojciec w obławie augustowskiej. Otrzymał taką oto odpowiedź: „Myślę, że to niestosowne i chybione pytanie. Mój Tata był bohaterem dwukrotnie odznaczonym Virtuti Militari za wkład w wyzwolenie Polski spod okupacji hitlerowskiej. Odpisałem raz przez grzeczność, ale generalnie nie koresponduję z anonimami. Epitetów oszczędzę, bo to nie mój zwyczaj. Powiem tylko, że pana wizja historii jest głęboko uproszczona i piszę to jako zawodowy badacz i doktor nauk historycznych, a nie oślepiony ideologią dyletant. Ale może na naukę jest już zbyt późno…. A opinii o moim Tacie, u mnie i wielu innych pan nie zmieni. Gdyby nie tacy ludzie jak on zapewne nie miałby się pan okazji nawet urodzić. Żegnam". W tym konkretnym liście Ryszard Sznepf zdobył się i tak na wyżyny dyplomacji, bo zazwyczaj z jego ust padały mało przyjemne słowa pod adresem dziennikarzy pytających o jego ojca. Wszyscy byli według niego antysemitami.

Augustowskie bestie

Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Augustowie powstał w połowie września 1944 roku. Początkowo jego siedzibą był nieodległy Sztabin, w 1945 roku przeniesiono go do Augustowa, lokując w tzw. Domu Turka. W lutym 1945 roku nowym kierownikiem PUBP został ppor. Aleksander Kuczyński – były działacz przedwojennej, nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Po latach Aleksander Kuczyński, przesłuchiwany przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku, choć pomniejszał rolę funkcjonariuszy UB w obławie augustowskiej, to przynajmniej nie kłamał tak bezczelnie jak Sznepf: „W r[oku] 1945 pełniłem funkcję Szefa PUBP w Augustowie. […] Większość zresztą zatrzymanego wtedy personelu, będącego poprzednio w AK, ponownie zeszło do podziemia, opuszczając szeregi milicji. Bezpośrednio po tym, tj. gdzieś w lecie 1945, przyszedł na teren trzech powiatów – Sokółka, Suwałki i Augustów – radziecki korpus ekspedycyjny, którego celem, na skutek wzmagającego się ruchu oporu, była ochrona tranzytu do Prus Wschodnich. Formacja ta dokonywała na własną rękę szeregu obław w lasach, a także dokonywała aresztowań na wsiach. Z naszej strony otrzymywali pomoc w postaci tłumaczy".

Edward Leszczyński, były funkcjonariusz augustowskiego PUBP, powiedział prokuratorowi, że jego zdaniem obławę zorganizowali i przeprowadzili wyłącznie Sowieci. Trwała właściwie tylko jeden wieczór. On sam nie brał udziału w zatrzymywaniu podejrzewanych osób, nie poznał żadnego z żołnierzy radzieckich, nigdzie nie wyjeżdżał.

Od obławy augustowskiej zaczęła się kariera w komunistycznej Polsce Mirosława Milewskiego, który pochodził z Lipska nad Biebrzą. Już jako 16-latek został w 1944 roku współpracownikiem SMIERSZ, kontrwywiadu wojskowego Armii Czerwonej. W październiku

eprasa.pl 0522f7d004

1944 roku trafił do tworzącego się w Augustowie Urzędu Bezpieczeństwa, a w marcu 1945 roku został sekretarzem tej placówki bezpieki. W połowie lat 60. objął funkcję szefa wywiadu MSW, w 1971 roku został wiceministrem spraw wewnętrznych, a 10 lat później ministrem tego resortu. Od 1984 roku był członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC PZPR. Brał udział w bandyckiej aferze „Żelazo", nadzorował porwanie i bestialski mord księdza Jerzego Popiełuszki.

W pamięci mieszkańców szczególnie negatywny ślad pozostawił Jan Szostak, funkcjonariusz augustowskiego PUBP, znany ze swojej bezwzględności i brutalności wobec przesłuchiwanych członków podziemia niepodległościowego, nazywany „katem Augustowa". Jan Szostak w latach 1940–1941 był tajnym współpracownikiem NKWD o pseudonimie Wrona; w latach 1942–1945 należał do Armii Krajowej i jako partyzant o pseudonimie Kruk rozpracowywał ją. Na początku 1945 roku odnowił swoją współpracę z NKWD, a w kwietniu 1945 roku został funkcjonariuszem PUBP w Augustowie, zachowywał się w sposób wyjątkowo nadgorliwy w czasie obławy augustowskiej, wskazując osoby do aresztowania i skazania na śmierć. We wrześniu 1947 roku został p.o. szefa PUBP w Augustowie. Od 1948 roku uaktywnił się jako działacz partyjny i przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Kiedy w 1952 roku za nadużycia finansowe został wyrzucony z partii i pozbawiony funkcji w prezydium MRN, zabrał głos na sesji i oświadczył, że „jak trzeba było wieszać ludzi, strzelać ich oraz topić w ustępach, to nikogo nie było, a teraz zasług tych nie bierze się pod uwagę". Po odejściu z UB znalazł sobie wyjątkowe zajęcie, bo został rzeźbiarzem ludowym; jego pracownię często odwiedzały wycieczki szkolne. W ostatnich latach życia (zmarł w 1986 roku) tworzył świątki. Po jego śmierci pojawiły się w mieście klepsydry: „Z radością informujemy, że zmarł największy kat Augustowa".

Jedynie Aleksander Omiljanowicz, były funkcjonariusz PUBP w Augustowie, został oskarżony, skazany i osadzony w 2005 roku w zakładzie karnym na 4,5 roku (zmarł w 2006 roku w więziennym szpitalu w Barczewie). Powodem nie był jednak udział w obławie. Sąd w Suwałkach uznał go za winnego „bezprawnego zatrzymywania, bicia i znęcania się nad członkami organizacji niepodległościowych, głównie ugrupowania Wolność i Niezawisłość", które miały miejsce później, w latach 1946–1947. Warto dodać, że w maju 1949 roku, kiedy pracował w UB w Nidzicy, Omiljanowicz jak zwykle znęcał się nad aresztowanymi – m.in. strzelał im pod nogi, siadał na piersiach i wlewał benzynę do nosa. Okazało się, że przez pomyłkę skatował sześciu partyjniaków. Dostał osiem lat więzienia, odsiedział cztery. Po wyjściu z więzienia zmienił profesję – został dziennikarzem i literatem. W swoich „dziełach" szkalował, opluwał polskich bohaterów podziemia niepodległościowego.

Gdzie są doły śmierci?

Ważny impuls do poszukiwań zaginionych w obławie lipcowej przyszedł nieoczekiwanie latem 1987 roku, kiedy odnaleziono masowe groby w uroczysku Wielki Bór między Gibami a Rygolem. I chociaż okazało się, że masowe groby to niemiecki cmentarz polowy, to nic już nie zahamowało rozbudzonej nadziei. Sprawą zainteresowały się zagraniczne media. Kłamstwa rzecznika rządu PRL Jerzego Urbana na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych, że „władze polskie niczego w tej chwili nie wiedzą o tym, aby w przeszłości ktokolwiek w tajemniczy sposób zaginął, nie wiedzą też o tym, aby władze polskie poszukiwały i miały kogo poszukiwać", jeszcze bardziej zmobilizowały miejscowe społeczeństwo do działania. W pismach drugiego obiegu pojawiło się kilka artykułów na temat obławy, a w 1988 roku Jacek Petrycki nakręcił film dokumentalny „A może tego nie wolno mówić?", pokazujący dociekania prawdy o zbrodni z lipca 1945 roku.

Z inicjatywy członków suwalskiej „Solidarności", Piotra Bajera, Mirosława Basiewicza i Stanisława Kowalczyka, powstał Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Chociaż dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach, pismem z września 1987 roku, zakazał Komitetowi działalności, podając w uzasadnieniu, że „działa on nielegalnie, co mogłoby zakłócić spokój lub porządek publiczny", to nic nie było już w stanie powstrzymać społeczników.

Po roku 1989 śledztwo w sprawie obławy prowadziła Prokuratura Wojewódzka w Suwałkach, a w 2001 roku własne śledztwo rozpoczął Oddział IPN w Białymstoku. Niezwykle pomocny w wyjaśnianiu zbrodni okazał się Nikita Pietrow – rosyjski historyk, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia „Memoriał", to on w książce wydanej w 2011 roku „Według scenariusza Stalina" opublikował fragment dokumentu znalezionego w archiwach KGB – szyfrogram dowódcy sowieckiego kontrwywiadu wojskowego, gen. Wiktora Abakumowa, do ministra spraw wewnętrznych ZSRS Ławrientija Berii. W piśmie, datowanym na 21 lipca 1945 roku, Abakumow prosił o zgodę na likwidację 592 „polskich bandytów" zatrzymanych w rejonie Puszczy Augustowskiej. Za akcję mieli być odpowiedzialni gen. Iwan Gorgonow oraz gen. Paweł Zielenin.

Dzisiaj wiemy, kim byli decydenci, sprawcy i wykonawcy zbrodni, jednak nadal nie znamy miejsca pochówku ofiar. Dopiero znalezienie dołów śmierci pozwoli na ustalenie faktycznej liczby zamordowanych. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Agnieszka Kowalczyk

Jadwiga Andegaweńska. Królowa, która odmieniła losy Polski

epraca.pl 05[illegible]7d004

Była pierwszą kobietą koronowaną na króla Polski, jedynym władcą królestwa polskiego wyniesionym na ołtarze. Imponowały jej mądrość, odwaga i dobroć serca, piękno duszy i ciała. Jej zgoda na małżeństwo z wielkim księciem litewskim Jagiełłą pozwoliła na schrystianizowanie ostatniego pogańskiego kraju w Europie i zarazem dała podwaliny pod stworzenie mocarstwa trzech narodów – polskiego, litewskiego i ruskiego, które przetrwało aż do czasów rozbiorów Rzeczypospolitej.

FOT. WIKIMEDIA

Sama była dobrym politykiem i dyplomatą, potrafiła pertraktować w duchu pokoju z Krzyżakami, Węgrami, Rusinami i Litwinami. Jej umiłowanie mądrości doprowadziło do wskrzeszenia Akademii Krakowskiej. Słynęła z wielkiej pobożności oraz miłosierdzia okazywanego chorym, biednym i potrzebującym. Wszystko to sprawiło, że papież św. Jan Paweł II dokonał kanonizacji tej świątobliwej monarchini, nazywanej matką trzech narodów i czczonej jako patronka Królestwa Polskiego.

Kobieta na polskim tronie

Tego poranka, 16 października 1384 roku, niespełna 11-letnia Jadwiga Andegaweńska, przyobleczona w ceremonialne szaty, trwała w swej wawelskiej komnacie w najwyższym oczekiwaniu na wydarzenie, które miało odmienić jej życie. Zbliżał się oto powoli orszak dostojników i kapłanów, a z dziedzińca dochodziły coraz wyraźniej rozbrzmiewające śpiewy. W końcu wrota alkowy rozwarły się i do wnętrza majestatycznie wkroczył niemal cały polski episkopat. „Biskupi w pełnych szatach ceremonialnych oraz arcybiskup dzierżący w dłoni bogato zdobioną kadzielnicę. Ten ostatni zbliżył się do samego łóżka, pochylił nad nim i podał dłoń spoczywającej następczyni tronu. Jadwiga otworzyła oczy, jakby dopiero w tej chwili wróciła do świata żywych. Za sobą miała ostatnią noc przespaną jako zwykła śmiertelniczka". Wówczas to, jak nakazywał rytuał, ta nad wiek dojrzała i dumnie nosząca swój majestat Andegawenka w otoczeniu dworzan i dostojników kościelnych ruszyła w kierunku katedry wawelskiej, aby tam w obliczu Boga mógł dokonać się uroczysty akt jej koronacji na króla Polski. Arcybiskup gnieźnieński Bodzanta namaścił ją krzyżmem świętym i nałożył na skronie koronę, tę samą, którą niegdyś nosiła jej babka Elżbieta Łokietkówna. I tak oto stała się pierwszą kobietą w naszych dziejach, której powierzona została pełnia władzy monarszej nad państwem polskim. Dla panów polskich najważniejsze było jednak to, że na tronie zasiadła prawnuczka Władysława Łokietka i zarazem wnuczka Elżbiety Łokietkówny, siostry Kazimierza Wielkiego, a więc królewna, w której żyłach płynęła Piastowska krew.

Młoda monarchini była przygotowana do rozpoczęcia rządów. Jej ojciec Ludwik Węgierski, nie doczekawszy się męskiego potomka, wprowadzał Jadwigę i jej siostrę Marię w tajniki królewskiej władzy. Nauczycielami Andegawenki byli uczeni, m.in. biskup Władysław Demendi i pierwszy węgierski dziejopis Jan z Küküllö. Poznawała geografię, historię, prawo, gramatykę, retorykę, nie mówiąc o lekcjach tańca, śpiewu, haftu i dobrych manier. Dorastała na praw-

obraz nr 0522f7d004

dziwie europejskim dworze budzyńskim, gdzie swobodnie mówiono po włosku, francusku, węgiersku, niemiecku i łacinie i gdzie bujnie kwitło życie kulturalne i artystyczne, co „wyrobiło w Jadwidze dużą wrażliwość estetyczną, poczucie smaku, wykwintność i niewyszukaną swobodę", czyniąc ją osobą powszechnie podziwianą.

Dworny Habsburg czy dziki Litwin?

Sprawą niecierpiącą zwłoki stała się kwestia wyboru męża dla królowej. Sytuacja była dość skomplikowana, bo Jadwiga niespełna rok po swoich narodzinach została przeznaczona księciu Wilhelmowi Habsburgowi, z którym w przyszłości władać miała Austrią. Do zaślubin 4-letniej królewny z 8-letnim Wilhelmem doszło 15 czerwca 1378 roku w Hainburgu nad Dunajem. Akt małżeński miał nabrać mocy w momencie osiągnięcia przez nowożeńców wieku dojrzałego (Jadwiga musiała skończyć 12 lat, a Wilhelm – 14), czego przypieczętowaniem miała być noc poślubna. Polscy dostojnicy nie chcieli jednak niemieckiego księcia na polskim tronie i kandydatura Habsburga została odrzucona.

W oczach Polaków najlepszym pretendentem do ręki Jadwigi stał się wielki książę litewski Jagiełło – władca sąsiedniego państwa aspirującego do rangi nowego mocarstwa, które rozciągało się od Morza Bałtyckiego po przedpola Moskwy. Miało ono powierzchnię trzy razy większą od państwa Piastów i stanowiło ostatni już w Europie bastion pogaństwa. Od dawna postrach budziły niszczycielskie wyprawy Litwinów, którzy każdego roku najeżdżali sąsiednie ziemie – napadali na Rusinów, na państwo kawalerów mieczowych w Inflantach czy na Polskę dzielnicową. Powtarzano, że Litwa to ziemia barbarzyńców i bałwochwalców, chociaż w państwie Jagiełły rozkwitały przecież miasta, rozwijał się handel, sprowadzano kupców, złotników, młynarzy, kamieniarzy, szewców, posługiwano się tą samą monetą co w Krakowie, Budzie i Pradze, wznoszono murowane fortece imponujące swym kunsztem budowlanym nawet Krzyżakom. Jednakże to właśnie Zakon Krzyżacki stanowił śmiertelne zagrożenie dla trwającej w pogaństwie Litwy – „dwa lub trzy razy do roku szły zbrojne watahy rycerzy uzbrojonych po zęby, niosąc w imię Chrystusa śmierć lub niewolę". Nawracanie ogniem, mieczem i szubienicą spotkało się z ostrym sprzeciwem Litwinów, którzy szansy dla siebie zaczęli upatrywać w sojuszu z Polską.

Dlatego też w styczniu 1385 roku przybyło do Krakowa wielkie poselstwo litewskie, by prosić o rękę Jadwigi dla księcia Jagiełły. Ten zaś w Krewie, 14 sierpnia, w zamian za poślubienie Andegawenki i polską koronę zobowiązał się przyjąć chrzest, doprowadzić do chrystianizacji Litwy, wcielić Wielkie Księstwo Litewskie do Korony, odzyskać wszystkie utracone przez Polskę ziemie oraz wypłacić Wilhelmowi Habsburgowi 200 tys. zł za zerwanie umowy małżeńskiej z Jadwigą.

Tymczasem wieści o układach z Litwą dotarły na dwór Habsburgów i sprawiły, że pełnoletni już książę Wilhelm natychmiast postanowił wyruszyć do Krakowa, by dopełnić aktu małżeńskiego. Jadwiga nie widziała go od trzech lat, był jej jednak bliski, przynależał do dobrze znanego jej świata. Zerwanie więc zaręczyn z Wilhelmem i aranżowanie małżeństwa z Jagiełłą musiało być dla niej bardzo trudne. „Córka króla potężnych Węgier, ciągnących się od Adriatyku po Morze Czarne […], miała zostać żoną dzikiego Litwina, który czcił jaszczurki i bez mrugnięcia okiem wyrzynał rodzinę, jeśli mu zawadzała (przynajmniej takie krążyły o nim pogłoski). Ów litewski książę ponoć wszędzie wietrzył spisek i spluwał zabobonnie przez lewe ramię. Ponadto miał być mężczyzną wyjątkowo szpetnym. Słynąca z urody Jadwiga (…) nie chciała i nawet nie wyobrażała sobie życia z jakimś niepiśmiennym, gburowatym Jogaiłą!".

Toteż wielką radość wywołało u królowej przybycie Wilhelma do Krakowa 23 sierpnia 1385 roku, tuż po zawarciu unii polsko-litewskiej w Krewie. Zbliżał się do wawelskiego grodu ze swym barwnym orszakiem, wioząc bogate dary i kosztowności. Do Krakowa wpuszczono go jednak niechętnie, a kasztelan Dobiesław z Kurozwęk zamknął przed nim bramy zamku wawelskiego. Mimo wszystko Jadwidze udało się spotkać z Wilhelmem, i to niejeden raz, w refektarzu klasztoru franciszkanów, gdzie według Jana Długosza w towarzystwie dworzan i panien służebnych „zabawiała się wesołą krotochwilą i tańcami, skromnie jednak i z największą przyzwoitością".

Pod wpływem tych spotkań w Jadwidze zaczęło narastać poczucie, że to właśnie Wilhelm powinien zostać jej mężem, a nie barbarzyński Jogaiło. Habsburg zaś, uważający Andegawenkę za swą prawowitą małżonkę, postanowił iść o krok dalej i dostać się do jej wawelskiej komnaty, by małżeństwo dokonało się w obliczu prawa. Został jednak skutecznie przepędzony przez strzegących czci królowej panów polskich. Według niektórych źródeł rycerze grozili mu śmiercią, a według innych usiłowali go nawet zgładzić. Jan Długosz podaje natomiast, że to sromotne wypędzenie Wilhelma z zamku wprawiło królową w straszny gniew, tak iż pochwyciła siekierę, chcąc wyważyć zamkniętą bramę Wawelu.

Głos Chrystusa z wawelskiego krucyfiksu

Przez długi czas Jadwiga nie chciała słyszeć o małżeństwie z Jagiełłą. Nie pomagały namowy panów

eprasa.pl 0522f7d004

z Rady Królewskiej, którzy chwalili przymioty księcia, roztaczali przed nią wizję chrystianizacji Litwy, opowiadali o korzyściach politycznych płynących z zawarcia unii z Wielkim Księstwem Litewskim. Królowa zaś szukała ukojenia w modlitwie, spędzając długie godziny w katedrze wawelskiej przed dużym, pełnym ekspresji krucyfiksem z lipowego drewna. Tę prawie dwumetrową rzeźbę Chrystusa Ukrzyżowanego przywiozła z rodzinnych Węgier. Cała głębia Jego cierpienia oddana została przez artystę z wielkim, wprost porażającym autentyzmem. Jak mówią legendarne przekazy, Chrystus z krucyfiksu miał przemówić do Jadwigi, która doznawszy wielkiej duchowej przemiany, stanęła przed dostojnikami koronnymi pogodzona z losem, oznajmiając, że oto poddaje się woli Bożej i dla zbawienia tysięcy pogańskich dusz gotowa jest poślubić Jagiełłę.

Ten natomiast zimą 1386 roku ciągnął już na Wawel. Oczekująca go z wielką obawą Jadwiga wysłała na spotkanie z nim swego zaufanego człowieka – Zbigniewa z Oleśnicy, by dobrze przyjrzał się jej narzeczonemu. Długosz w swej kronice opowiada, że książę Jagiełło szybko zorientował się co do misji królewskiego posłańca i nie ukrywał przed nim niczego ze swego wyglądu, zabierając go nawet do łaźni. Oleśnicki mógł więc donieść królowej, że Jagiełło odznacza się doskonałą budową ciała, jest średniego wzrostu, ma „wejrzenie wesołe, twarz ściągłą, bynajmniej nie szpetną", a do tego wyróżnia się „obyczajami poważnymi i książęcej godności odpowiednimi". Okazało się też, że nadzwyczaj dba o higienę – „wszędzie zabiera ze sobą brzytwę, nożyczki, grzebień wykonany z kości słoniowej i szczotki, a kąpieli zażywa nawet raz na dwa, trzy dni".

W końcu Jadwiga ujrzała przyszłego małżonka na własne oczy 12 lutego 1386 roku, gdy wjechał do wawelskiego grodu „z wielką okazałością i przepychem". Wiadomo, że narzeczona olśniła go swą pięknością. Była kobietą wysoką, mającą około 172 cm wzrostu, o blond włosach, harmonijnych rysach twarzy, wąskim czole i pięknym uśmiechu, o czym świadczą badania słynnego XIX-wiecznego antropologa prof. Izydora Kopernickiego. Narzeczeństwo 12-letniej królewny z 24-letnim księciem litewskim trwało prawie tydzień. Już trzy dni po swoim przyjeździe do Krakowa przyjął on chrzest, wybierając imię Władysław na cześć pradziadka Jadwigi – Władysława Łokietka. W wodzie chrzcielnej skąpano także braci Jagiełły, członków jego świty, doradców, służących i gwardzistów. Już 18 lutego, w katedrze na Wawelu, wielki książę Jagiełło i Jadwiga Andegaweńska połączeni zostali świętym węzłem małżeńskim, przy czym królowa jeszcze przed ceremonią zaślubin publicznie oświadczyła, że pozostaje „cieleśnie nietknięta", przez co ma prawo bez grzechu i hańby oddalić przeznaczonego jej na męża Wilhelma, unieważniając tym samym zawarty w dzieciństwie ślub z Habsburgiem.

Wkrótce potem, 4 marca, na głowę jej prawowitego małżonka Władysława nałożono królewską koronę. Odtąd Królestwem Polskim połączonym unią z Wielkim Księstwem Litewskim rządzić miało dwóch równorzędnych władców. Mimo iż Jadwigę i Jagiełłę dzieliło tak wiele – wiek, wykształcenie, przynależność do innej sfery cywilizacyjno-kulturowej, doświadczenia i pasje – stworzyli wyjątkową parę królewską, która wspólnymi siłami dokonała wielkich dzieł na polach polityki, wiary, nauki, sztuki i kultury…

▶ Rozjemczyni, mediatorka i dyplomatka

Pierwszym wielkim sukcesem polskiej monarchini była zbrojna wyprawa na Ruś Halicko-Włodzimierską, nazywaną też Rusią Czerwoną, do krainy pięknej i urodzajnej – „w porównaniu z pokrytą lasami Małopolską, błotnistą Wielkopolską i biedną, chłodną Litwą, żyzne ziemie i łagodny klimat tej okolicy wydawały się rajskim ogrodem". Ruś Czerwoną 10 lat wcześniej przyłączył do Węgier jej ojciec Ludwik, a teraz 13-letnia władczyni Polski, w obliczu wojny domowej, jaka zapanowała na Węgrzech, wyruszyła w 1387 roku jako symboliczny wódz wyprawy mającej odzyskać utracone terytorium. Rusini prawie bez oporu poddali się młodszej córce Ludwika mimo knowań zarządcy tych ziem Władysława Opolczyka, który podżegał ich do buntu przeciw Jadwidze. Jej armia stoczyła zwycięską bitwę pod Stubnem. Sama królowa nie brała w starciu bezpośredniego udziału, lecz gorliwie modliła się w pobliskim kościółku o zwycięstwo polskiego oręża. Jedyny opór stawiał jeszcze Halicz, ale oblegany i zdobyty przez wojska polsko-litewskie, musiał ulec Jadwidze, która do Polski wracała jako tryumfatorka. Zniosła ciężary nałożone na Ruś Czerwoną przez jej ojca Ludwika, a specjalne przywileje nadane kupcom i rzemieślnikom Lwowa pozwoliły na rozkwit tego miasta, z czasem ważnego ośrodka chrześcijaństwa.

Zaangażowana w sprawy polityczne Jadwiga sprawowała rządy na równi ze swym małżonkiem: „Jako kobieta-król samodzielnie przyjmowała na Wawelu zagraniczne poselstwa, a każdą ucztę potrafiła przemienić w manifestację swojego majestatu. Wiedziała, jak godzić skłóconych biesiadników. Zaskakująco łatwo znajdowała też wspólny język z Litwinami czy Rusinami – i to mimo że nigdy nie miała okazji odwiedzić ojcowizny Jagiełły". Okazała się skuteczną mediatorką i rozjemczynią w konflikcie między stryjecznym bratem króla Witoldem a rodzonym – Skirgiełłą, prowadząc do zgody zapalczywych Litwinów. Musiała się też mierzyć ze zdradzieckimi kno-

eprasa.pl 0522f7d004

waniami księcia śląskiego Władysława Opolczyka – palatyna węgierskiego i zarządcy Rusi. Tonąc w długach, zastawił Krzyżakom Złotoryję, najważniejszą twierdzę ziemi gniewkowskiej, a potem ziemię dobrzyńską. Wystąpił nawet przed wielkim mistrzem z projektem rozbioru Polski. Skończył jednak marnie – z Jagiełłą przegrał trzy wojny z rzędu, tracąc fortunę i dobre imię. Królowa Jadwiga, którą z wielkim mistrzem Zakonu łączyły przyjazne relacje, ze wszystkich sił dążyła do odzyskania ziemi dobrzyńskiej drogą dyplomacji, śląc listy i spotykając się osobiście we Włocławku z samym Konradem von Jungingenem. Czyniła, co w jej mocy, by zniechęcić Krzyżaków do wypraw na Litwę, mając przy tym świadomość, co wieszczyła proroczo, że dopóki żyje, będzie panował pokój, lecz po jej śmierci wojna z Zakonem stanie się nieunikniona.

Wielkie serce i gorąca wiara

Jadwiga słynęła nie tylko ze swej urody, inteligencji i politycznej intuicji, lecz także z pobożności i dobroci serca. Roztaczała opiekę nad szpitalami mającymi w średniowieczu charakter przytułków, w których znajdowali schronienie umierający, chorzy i bezdomni. Takie azyle dla ubogich ufundowała w Nowym Sączu i Bieczu, a te w Sandomierzu i na krakowskim Stradomiu wspierała materialnie. O jej miłosierdziu świadczy choćby to, że niejednokrotnie wstawiała się za skazanymi na śmierć. Tak na przykład w święto Bożego Ciała 1385 roku na jej prośbę ułaskawiono trzech takich nieszczęśników. Dobroć królowej odzwierciedla legenda związana z powstaniem krakowskiego kościoła Karmelitów na Piasku mówiąca, jak to pewnego dnia Jadwiga ze swym orszakiem udała się na plac budowy i ujrzała zrozpaczonego murarza, który nie miał pieniędzy na leczenie ciężko chorej żony. Wtedy to, przejęta jego losem, wsparłszy nogę na kamieniu, oderwała od pantofelka drogocenną sprzączkę, ofiarowując ją poddanemu, a jej śladem poszli król i dworzanie. Po oddaleniu się królewskiego orszaku ów poruszony całym zajściem murarz odkrył na kamieniu ślad jej stopy, który postanowił utrwalić swym dłutem. Kamień ten, żywy symbol szlachetności i łaskawości Jadwigi, wmurowany został w ścianę świątyni i do dziś przypomina o prawdziwie chrześcijańskiej postawie monarchini.

Świadczą o niej również liczne fundacje świątyń i klasztorów oraz ich bogate uposażenia. Wespół z Jagiełłą królowa ufundowała katedrę i biskupstwo wileńskie (1387), założyła na krakowskim Kleparzu klasztor i kościół dla benedyktynów sprawujących liturgię w obrządku słowiańskim, a także kompleks klasztorny ze świątynią dla karmelitów na Piasku w Krakowie. Ponadto stała się fundatorką trzech ołtarzy w katedrze wawelskiej, przy której także dzięki jej inicjatywie powstało kolegium 16 psałterzystów chwalących Boga swym śpiewem. Wspierała franciszkanów w Krośnie, cystersów w Lądzie, dominikanów w Sandomierzu, paulinów w Krakowie. Płynęły od niej bogate dary nie tylko do kościoła Mariackiego i katedry wawelskiej, lecz także do chrystianizowanej Litwy, do tamtejszych nowo powstałych kościołów parafialnych, które zaopatrywała w kielichy, księgi, monstrancje, krzyże, obrazy, ornaty, klejnoty i szaty.

Wskrzesicielka Akademii Krakowskiej

W swoim postępowaniu kierowała się przesłaniem specjalnie dla niej napisanego traktatu De vita conteplativa et activa („O kontemplacji i życiu czynnym"). Jego autor, światły dominikanin Henryk Bitterfeld, sięgając do biblijnych postaci Marii i Marty, ukazał ideał jedności modlitwy i pracy. Patronował on królowej, czego symbolem był noszony przez nią pierścień ze splatającymi się literami „MM" („Maria i Marta"), przywołującymi zarazem dewizę Andegawenów – *Memento mori*. W myśl tej idei królowa przywiązywała wielką wagę do zasad życia religijnego – dwa razy w tygodniu pościła wraz z Jagiełłą, żywiąc się tylko chlebem i wodą, a w okresie Adwentu i Wielkiego Postu umartwiała się, nosząc włosienicę. Jej codziennymi lekturami były: Biblia, żywoty świętych i kazania, chętnie sięgała po mowy świętych Bernarda i Ambrożego czy objawienia św. Brygidy. Z jej inicjatywy powstał słynny „Psałterz floriański" – bezcenny zabytek polskiego średniowiecza, zawierający biblijne psalmy utrwalone w językach: łacińskim, polskim i niemieckim. Nakazała też założyć na Wawelu skryptorium, gdzie przepisywano dzieła religijne wielkiej wagi. Otaczała się ludźmi nauki i sztuki, gościła na dworze m.in.: kaznodzieję Jana Szczekną, biskupa krakowskiego Jana Radlicę, cenionego prawnika Stanisława ze Skalbimierza czy Piotra Wysza – doktora obojga praw i swego kanclerza.

Wyrazem jej troski o przyszłość Polski było dążenie do wskrzeszenia Akademii Krakowskiej, powołanej w 1364 roku przez Kazimierza Wielkiego jako drugiej po uniwersytecie praskim uczelni w Europie Środkowej. Postanowiła nie tylko wznowić działalność Akademii, lecz także podjęła starania o utworzenie wydziału teologicznego, który funkcjonowałby obok trzech już istniejących – sztuk wyzwolonych, prawa i medycyny. Ceniący osobę polskiej władczyni papież Bonifacy wyraził na to zgodę. Odnowienie Akademii Krakowskiej stało się możliwe dzięki wielkiemu darowi królowej, która w swym testamencie przeznaczyła na ten cel niemal cały swój majątek – 10 kilogramów złota, klejnoty, drogie szaty i sprzęty. „Chcę i pragnę z całego serca, ażeby Akademia Krakowska na cały świat zasłynęła, ażeby w niej kształcili się synowie Polski, Litwy i Rusi, ażeby naród ten jako potężny jest teraz przez obszar bogatych ziem, tak był potężny

eprasa.pl 0522f7d004

przez cnoty wielkie i umysły silne, a to, zdobywa się przez głęboką wiedzę i gruntowną naukę" – wyznawała Jadwiga, dzięki której wykupiono od rodziny Pęcherzów narożną kamienicę, będącą zaczątkiem Collegium Maius – serca Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pierogi ruskie i krakowskie obwarzanki na wawelskim dworze

Choć dwór Jadwigi i Jagiełły nie był może tak wytworny i pełen przepychu jak inne siedziby zachodnich monarchów, wyróżniał się niewątpliwie otwartością i wielokulturowością. Królowa lubiła towarzystwo światłych przedstawicieli kultury zachodniej, a król najlepiej czuł się wśród Litwinów i prawosławnych Rusinów. Jagiełło i Jadwiga nie siadali przy jednym stole. Jadali osobno – on w gronie mężczyzn, ona w towarzystwie znaczniejszych dam dworu, goszczących na Wawelu księżnych i księżniczek, zaproszonych żon krakowskich patrycjuszy, choć nie brakowało i przy jej stole możnowładców, duchownych i mieszczan, dzięki czemu nawiązywała przyjazne relacje z przedstawicielami różnych warstw społecznych. Rytm dnia wyznaczały dwa posiłki: poranny zwany prandium i popołudniowo-wieczorny – cena, podczas których serwowano te same trzy dania – zupę, pieczenie lub ryby oraz jarzyny. Jadwiga pozwalała sobie jeszcze na lekkostrawną kolację (collatio), na którą składało się wyborne białe pieczywo popijane piwem. „Jagiełło uwielbiał pierogi z serem; Jadwiga nie chciała nawet brać ich do ust. On zajadał się wątróbką i bigosem. Ona – wolała delikatne mięso przepiórek z nadzieniem z gruszek. On sięgał po twardy, razowy chleb. Ona tylko po biały i lekki, a jeden ze służących codziennie wędrował na krakowski rynek, by kupić dla królowej bułeczki i obwarzanki […]. Łączyło ich wyłącznie zamiłowanie do konfitur, do brzoskwiń, wiśni i śliwek". Podczas gdy królowa piła piwo lub wino sprowadzane z Włoch lub Francji, jej mąż zupełnie stronił od alkoholu, gustując jedynie w czystej źródlanej wodzie. Królewską parę różniły także upodobania co do stroju. Jagiełło w tym względzie cenił prostotę i wygodę – zamiast szynszyli i gronostajów nosił barani kożuszek, a w słoneczne dni – zwykły słomkowy kapelusz. Jadwiga nie lubiła zbytku, ale nosiła się godnie jak na monarchinię przystało. Zakładała suknie szyte na modę francuską, które przyozdabiała noszonym na biodrach pasem wysadzanym drogimi kamieniami. W swojej garderobie miała też drogocenne płaszcze i trzy kożuchy z popielic. W przeciwieństwie do Jagiełły lubiła oglądać turnieje rycerskie. Pięknie haftowała i z upodobaniem słuchała muzyki gitarzystów, a także melodii litewskich grajków. Swego męża widywała rzadko, bo zwykle bywał w podróży, objeżdżając całe królestwo. Towarzyszyło jej za to około 40 dwórek, tworzących jej fraucymer. Dbała o to, by jej towarzyszki wychodziły dobrze za mąż, a nawet fundowała im posagi.

Koniec i nowy początek w aurze świętości

Wielka radość zapanowała na wawelskim dworze z chwilą, gdy w 1398 roku okazało się, że Jadwiga spodziewa się narodzin królewskiego potomka. Uradowany Jagiełło, wiele lat oczekujący na swego następcę, słał swej żonie wspaniałe podarki – drogocenne materie przetykane złotem i wysadzane szlachetnymi kamieniami, by ustroiła nimi komnatę, w której dziecko przyjdzie na świat. Ona jednak tchnięta złymi przeczuciami z obojętnością spoglądała na ziemskie błyskotki. Bała się porodu, bała się śmierci, o czym z całą szczerością pisała w jednym z listów do Jagiełły. Przeczucia okazały się prawdziwie, bo oto 22 marca 1399 roku na Wawelu rozegrał się wielki dramat. Poród rozpoczął się przed czasem i okazał się niezwykle trudny. Na świat przyszła dziewczynka, której królowa nadała imię Elżbieta Bonifacja na cześć swej matki oraz obecnego papieża, który miał zostać ojcem chrzestnym dziecka. Po trzech tygodniach mała księżniczka zmarła, a wkrótce potem, 17 lipca 1399 roku, śmierć przyszła po samą królową, która oddając ducha, prosiła o to, by córkę pochowano razem z nią.

I tak też się stało – Jadwiga Andegaweńska wraz ze swym zmarłym dzieckiem spoczęła w krypcie katedry wawelskiej, u stóp Czarnego Krucyfiksu, z którego miał przemówić do niej Chrystus, wołając: „Ratuj Litwę"! Jeszcze za życia uznawana była za świętą, a po śmierci do jej grobu ciągnęli wierni, zanosząc do niej prośby o zdrowie i pomyślność. Już na początku XV wieku zaczęto spisywać liczne cuda, które miały dokonać się za jej wstawiennictwem. Jak mówią dokumenty przechowywane w kapitule krakowskiej, uzdrowieni zostali Jan, dziedzic na Bejscach, i szlachcic Jakub Kobyliński. Długo jednak przyszło czekać na wyniesienie Jadwigi na ołtarze. Aktu jej kanonizacji dokonał 8 czerwca 1997 roku papież Jan Paweł II, który w homilii na krakowskich Błoniach zwracał się do polskiej królowej w słowach: „Zaprowadź nas, Jadwigo, przed wawelski krucyfiks, abyśmy jak ty poznali, co znaczy miłować czynem i prawdą, i co znaczy być prawdziwie wolnym. Weź w opiekę swój naród i Kościół, który mu służy, i wstawiaj się za nami u Boga, aby nie ustała w nas radość. Raduj się, Matko Polsko! Gaude, Mater Polonia". ■

Źródła:" Jadwiga Andegaweńska. Promotorka nauki i krzewicielka wiary", pod red. J. Dowgiałło-Tyszka, Warszawa 2008; K. Janicki, „Damy polskiego imperium", Kraków 2023.

eprasa.pl 0522f7d004

Piotr Lisiewicz

Gdy minister Barbara Nowacka zabrała się do wyrzucania Henryka Sienkiewicza ze szkół, natychmiast poszedłem z synem do Muzeum Sienkiewicza na Starym Rynku w Poznaniu, będącego dziełem życia jednego pasjonata – Ignacego Mosia. Parę lat wcześniej, gdy letnim zwyczajem chodziłem po beskidzkich i bieszczadzkich górkach, z córką odwiedziłem Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu. Dzisiaj publikujemy fragmenty szkicu Marii Konopnickiej „O twórczości Sienkiewicza". Wydać może się komuś, że przecież to wszystko znamy, ale rzecz w tym, że to właśnie, co nas ukształtowało, chcą zabrać naszym dzieciom. W czasie ostatniej kampanii prezydenckiej, w której wystartował prezes największej instytucji państwowej zajmującej się historią, widzieliśmy to, o czym pisze Konopnicka – powrót polskiego ducha. Właśnie wtedy, gdy usiłowano nam go zabrać. Niekończąca się historia… Jego moc jest ogromna, dlatego znowu usiłowano nas go pozbawić. Wystarczy porównać mowy noblowskie Henryka Sienkiewicza i Olgi Tokarczuk, by zrozumieć, po której stronie jest moc. Konopnicka pisze o tym w sposób precyzyjny i nad wyraz aktualny. ■

Maria Konopnicka

O twórczości Sienkiewicza

Jakieś źródło żywej wody zasypały wieki, jakaś twierdza duchów zapadła w gruz i w proch; jakiś znicz święty wygasł i spopielał. A wielki twórca Trylogii poszedł wstecz czasów, mogił, rumowisk i odklął z martwoty, co było, jakoby nie było. I uderzyło źródło przebujne, rzeźwiące, i zagorzał znicz jasnym płomieniem, a twierdza duchów uczyniła się widna, błyskająca sobą, silna i obronna.

Ten jest duch twórczy, który przyczynia — życia.

Który je wzmaga, roznieca, rozżarza, i silniejszem, bardziej żywem czyni.

Na cały legjon duchów sypiących na życie kwiaty, łamiących z niem chleby jego i pijących z niem z kielicha jego, – na cały legjon duchów, które są wyrazem niedoli i radości życia, jego smutków i potrzeb, jego dążeń i zawodów, – duch twórczy rozpłomienia się rzadko, prawie że z wieku na wiek, a pierwszą jego sprawą jest: podsycić samo ognisko życia […]

Gdy płomień życia silniej buchnie, goręcej zajarzy, – uczyni się samo życie rzeczywistszem jakby; bo szerzej widnem, potężniej grzejącem i powszechniej czutem. Przeniknie piersi, bicie serc przyspieszy, rozpali wolę, zapłomieni czyny.

Owszem: takie wzmożone, zasilone świeżym żarem ognisko życia, łatwiej i biedy swoje strawi, i wichrom przeciwnym się oprze, i cele jaśniej oświetli, i drogę pewniej ukaże.

Ale to już przyjdzie samo z siebie, jako następstwo wzmożonego życia, którego płomień, gdy silnie zagore, ma moc przedziwną oczyszczania atmosfery ze wszystkiego, co życiu temu szkodliwem jest i wrogiem.

Pierwszą tedy sprawą twórczego ducha jest, aby ono samo, to życie, jasnym gorzało płomieniem.

Takim duchem twórczym jest dla nas, za dni naszych Sienkiewicz; a słowem, na którem stoi całe jego dzieło, jest – życie narodu […]

Kiedy Sienkiewicz tworzyć zaczął, poczynał sobie odrazu tak, jak poczyna człowiek, który przystąpiwszy do słabo tlejącego ogniska, chce je rozdmuchać, zasilić […]

I przebił żar martwe, szare, wystygłe popioły wieków, a co było zamarłe – powstało, aby sobą świadczyć życiu, i zasilać – życie.

I zaświecił „Ogniem i mieczem", i powionął dymami szturmu Jasnej Góry, i skrzesał skry z szabel kresowych rycerzy, i buchnął płomieniem Grunwaldu.

I poczęły iść ognie żywe skroś serc naszych, od tła prawieków aż – w niebo.

A tak, uczyniło się ognisko ducha naszego jaśniej świecącem, szerzej widzianem, goręcej i powszechniej czutem, i wzmogło w nas – życie.

eprasa.pl 0522f7d004

Nikt przed Sienkiewiczem nie dobył tyle życia z tego, co się wydaje – zaprzeczeniem życia.

Motyw bólu, motyw męki, motyw śmiertelnej ofiary, stał się w ręku jego potężnym środkiem ekspiacyi, odkupienia i wskrzeszającej wprost mocy. Niektóre Sienkiewiczowskie postacie zgoła na tym jednym motywie stoją, a męka psychiczna dochodzi w nich do podarcia się duszy w krwawe szmaty; męka zaś ciała, aż do stopnia nieznośności dla widza.

Bo Sienkiewicz nie cofa się przed obrazami męki, na których oko prawie że spocząć nie śmie, i przelatuje trwożnie, ledwie tykając na kartach tych zgłoski, z których każda jest jak krzyk przeraźliwy i jak chluśnięcie krwią.

Tak wymalował katowską śmierć przeniewierczego nieszczęśnika Azyi; tak i mękę Jurandową w krzyżackiem podziemiu.

Ale zabijającej i duszę i ciało bezpłodności męki nigdzie u Sienkiewicza niema. […] Ale w Sienkiewiczowskiem dziele niema i beznadziejności winy.

Wina, jeśli tylko nie jest grzechem przeciw duchowi narodu, duchowi zbiorowego życia, porusza gdzieś, na jakimś wielkim oceanie łaski falę, która poi winowajcę zdrową goryczą, wytrawiającą zło z piersi, jeżeli serce w tej piersi zdolne jest bić dla ideału.

Takim jest Kmicic, który w namiętnem czuciu owej goryczy rzuca się w bój i w śmierć, byle ją strząsnąć z siebie – razem z winą. Jakoż, wynosi on z walk tych duszę odrodzoną i jak klejnot jasną.

***

Sienkiewicz nie maluje przeszłości: on ją wskrzesza, aby nią przyczynić – życia.

Jakieś źródło żywej wody zasypały wieki, jakaś twierdza duchów zapadła w gruz i w proch; jakiś znicz święty wygasł i spopielał. A wielki twórca Trylogii poszedł wstecz czasów, mogił, rumowisk i odklął z martwoty, co było, jakoby nie było.

I uderzyło źródło przebujne, rzeźwiące, i zagorzał znicz jasnym płomieniem, a twierdza duchów uczyniła się widna, błyskająca sobą, silna i obronna.

A tak to, co ciągnęło dotąd za sobą część życia w proch, w zmierzch, w niemoc bezruchu i martwoty, wyzwolone zaklęciem twórczego ducha, buchnęło samo ku życiu, jako zasilający je czynnik […]

On nam ją ukazuje bohaterską, jasną, wielką i nieskończenie żywą. Stokroć, tysiąckroć żywszą niżeli my sami; a ukazuje nam ją taką właśnie po to, aby nam ukrzepić serca tem, co w narodzie jest wiecznem, nieśmiertelnem, niezniszczalnie żywem.

***

Nikt po Mickiewiczu nie malował tak, jak Sienkiewicz powszechnej duszy Narodu, tej mianowicie, która się nią, w te czasy, samowiednie czuła: jej uniesień, jej prostoty, jej męstwa, jej zapału, jej rzewnych głębin, jej wybuchającego w wyrocznych momentach natchnienia do wielkich, nieśmiertelnych czynów. Dusza Narodu, – oto jest bohaterka Sienkiewiczowskiego dzieła: Trylogii oraz Krzyżaków.

Temu urodzonemu epikowi mało jest poruszać masy ludzkie czasu pokoju czy wojny. On nam w tych masach pokazuje duszę zbiorową, powszechną. On nią masy te ożywia, on załamuje w nich wszystkie jej promienie.

I to jest czar i zaklęcie, przez które Sienkiewicz trzyma serca nasze bijące, wzruszone. Ten czar, to rozbudzona w nas niezmiernie żywo i utrzymana w ciągłem podnieceniu świadomość, pewność owszem, że choć przeminęły wieki i masy te w proch starły, duch narodu, który je do bohaterstwa zagrzewał, żyje dziś, jak żył niegdyś, a i na wieki żyć będzie […]

Od duszy tej odszczepia Sienkiewicz pojedyncze promienie dusz indywidualnych, tworząc galeryę typów mocnych, jędrnych, wyrazistych i niezmiernie barwnych.

Jedne z nich tworzy przedziwnym poetyckim kunsztem, który w kreacyach tych znajduje skończenie artystyczny wyraz; inne temperamentem, brawurą, rozmachem ręki, jakimś niezawodzącym instynktem rycerskiej krwi w żyłach. Jeszcze inne obserwacyą gorącą, współczuciową, która dlatego tak jest głęboką i żywą, iż sprawiła obserwatorowi samemu ból żywy, głęboki.

W każdym z tych typów czuć mocny puls życia, każdy uderza silnym konturem, po za którym odgadujemy cały świat własnych pobudek, dążeń, pojęć, całą odrębność psychiczną, indywidualną.

A przecież we wszystkich tych doskonałych w odrębności swej indywiduach, wyjawiają się wybitne rysy duszy plemiennej narodu.

***

Twórczość Sienkiewicza jest mocna, bujna, zdrowa i nieporównanie żywotna.

Nie jest to kwiat, i nie jest to kłos; nie jest to nawet cały snop kwiatów i kłosów.

To jest wielkie, wielkie drzewo, potężnie zwarte, zrośnięte samym rdzeniem swoim z ziemią – matką.

Na bujnych konarach jego śpiewają w każdy czas ptaki natchnienia, jasną, roznośną pieśń życia. I choć zima i burza, śpiewają one podniebne ptaki pieśń wiosny i słońca.

A pod cieniem drzewa gromadzą się i spoczywają ku pokrzepieniu dusz – strudzone rzesze. I słuchają rzesze onej jasnej, wiosennej, roznośnej pieśni życia. I słuchają szumów ogromnych, szerokich, których czarodziejstwo jest to, że dają wątpiącym ufność, ostygłym miłość, a wszystkim siłę nadziei.

Różny jest kwiat drzewa, i różne uroki jego; ale jedno jest im wspólne: krzepiąca moc życia. ■

eprasa.pl 0522f7d004

Łukasz Czarnecki

Parada dziwów

Każda cywilizacja oprócz materialnej kultury wytwarza również świat wyobrażeń, zasiedlony przez bogów, demony i wszelkie fantastyczne istoty. Nie inaczej jest w Japonii, gdzie ludzie od najdawniejszych czasów egzystowali (jak wierzyli) obok nadprzyrodzonych bytów. W najdawniejszych czasach budziły one paniczny lęk, później obłaskawione, stawały się sympatycznymi towarzyszami ludzkiego żywota, bohaterami popkultury, a niekiedy wręcz obiektami żartów. W XXI wieku magiczne istoty z Kraju Kwitnącej Wiśni, czyli yōkai, opuściły swoją ojczyznę i rozproszyły się po całym świecie, docierając nawet do Polski.



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 0522f7d004



prasa.pl 0522f7d004

Średniowieczne Kioto, późna noc. Ludzie od dawna śpią już w domach. Nagle na ulicy rozlega się hałaśliwa muzyka, tupot dziesiątek stóp, śmiechy i okrzyki, a zza węgła wyłania się wesoły pochód. Jeśli ktoś wyjrzałby teraz przez okno i przyjrzał się maszerującym przez miasto imprezowiczom oświetlonym przez niesione lampiony, zapewne nie mógłby wyjść ze zdumienia. Wędrujące towarzystwo bynajmniej nie składa się z ludzi, lecz całej gamy cudacznych stworów. Ramię w ramię idą ubrane o kimona lisy i jenoty, pijackie pieśni intonują rogate olbrzymy z kłami wystającymi z pysków, dziwna istota o końskim łbie strzela językiem, dwunożne żółwie z tonsurami zwierają się w żartobliwych zapasach lub zajadają ze smakiem ogórki, a wokół chaos sieją tańczące ożywione czajniki, miotły i parasole, zaś przygrywa im szarpiąca swoje struny lutnia, której wyrosły ręce i nogi! Oto przed naszymi oczyma rozgrywa się hyakkiyagyō, znajome Japończykom już od epoki Heian (794–1192), kiedy to mieszkańcy stolicy tak bali się napotkać podobną imprezę, że przy pałacu cesarskim funkcjonował specjalny urząd złożony z wróżbitów, mających za zadanie ostrzegać ludność Kioto przez zbliżającym się zlotem dziwadeł i informować, w które noce lepiej zostać w domu.

Nie taki yōkai straszny…

Wyraz hyakkiyagyō, tłumaczony najczęściej w językach europejskich jako „nocna parada stu demonów", sugeruje, że uczestnicy takiej imprezy przybyli na Ziemię z jakichś piekielnych wymiarów z niegodziwymi zamiarami. Przekład taki ma o tyle sens, że w zapisie owego słowa używa się kanji (ideogramu), którym oznacza się także „oni" – wyjątkowe nieprzyjemne stwory o ludożerczych zapędach, ogromnych kłach, włochatych ciałach i wyrastających z czoła byczych rogach, które wyglądają niczym bliscy krewni chrześcijańskich diabłów. Tak też często są „oni" nazywane w zachodnich przekładach tekstów japońskich, choć popularną alternatywą wśród tłumaczy jest też określanie ich mianem ogrów. Przez długi czas słowo „oni" było używane przez Japończyków równocześnie jako nazwa wszystkich istot nadprzyrodzonych niekwalifikujących się do grona bogów, stąd znajdujemy je w złożeniu hyakkiyagyō, w którym odczytywane jest jako „ki" (w języku japońskim każdy ideogram da się odczytać na różne sposoby w zależności od kontekstu). Z biegiem wieków przyjęła się jednak alternatywna nazwa magicznych istot, czyli yōkai, która dziś jest już terminem dominującym, co więcej – popularnym także poza granicami Kraju Kwitnącej Wiśni i rozpoznawalnym nawet przez osoby niemające bliższego kontaktu z językiem japońskim.

To, że termin yōkai zrobił międzynarodową karierę, nie zmienia faktu, iż dla przedstawiciela cywilizacji Zachodu dokładne zrozumienie, co się pod nim kryje, może stanowić pewien problem. Powyżej wspomnieliśmy, że nocny zlot czy też sabat magicznych istot nazywany jest „nocną paradą stu demonów". Dla przedstawiciela naszego kręgu kulturowego demony to upadłe anioły będące przyczyną wszelkiego zła, kusiciele i nieprzyjaciele rodzaju ludzkiego. Tymczasem uczestnicy wesołej imprezy bynajmniej nie są (w każdym razie nie wszyscy) wcieleniem mrocznych sił! Wśród yōkai znaleźć można wiele niegodziwych stworów, takich jak wspomniane już krwiożercze „oni" czy wodniki kappa, mające paskudny zwyczaj wciągać pod wodę i topić w niej ludzi oraz zwierzęta, którym później wysysają wnętrzności przez odbyt. Niektóre z owych stworów mogą też, podobnie jak chrześcijański diabeł, wstąpić w człowieka i go opętać. Specjalizują się w tym na przykład lisy, uważane przez kulturę japońską za istoty obdarzone wielką magiczną mocą, umożliwiającą im choćby przybieranie ludzkiej formy, tkanie iluzji i robienie złośliwych psot. Historie o opętaniu przez lisa znane są w Japonii od najdawniejszych czasów i tak mocno wrosły w tkankę kulturową, że przypadki kwalifikowane w ten sposób zdarzają się nawet (na szczęście już rzadko) w XXI wieku! Z drugiej strony ten sam lis, który, jeśli nadepniesz mu na ogon, może zrobić ci poważną krzywdę, w innym przypadku bywa istotą dobroczynną. Tradycja zna dziesiątki historii o mężczyznach biorących ślub z tajemniczymi pięknościami będącymi w rzeczywistości lisicami, które okazywały się zwykle dobrymi żonami i kochającymi matkami. Z takiego związku narodzić miał się choćby słynny mag z epoki Heian, japoński Merlin (porównanie o tyle trafne, że angielski czarodziej był kambionem – synem kobiety i demona) Abe no Seimei. Lis przemieniony w człowieka jest także jednym z głównych bohaterów dramatu kabuki „Yoshitsune: Tysiąc wiśni", w którym udając samuraja, ochrania ukochaną tytułowego bohatera, samemu dążąc do odzyskania magicznego bębenka wykonanego ze skóry rodziców. Tak więc rudzielec może być zarówno straszliwym wrogiem, jak i przyjacielem, a nawet życiowym partnerem człowieka!

Istnieją także yōkai zupełnie pozbawione jakichkolwiek cech złowróżbnych, a wręcz śmieszne. Tak jest na przykład w przypadku kasa-bake, czyli… ożywionego parasola z jednym okiem i jedną nogą, na której wesoło przemierz on świat, wykonując wielkie skoki. Z kolei wyglądający jak cyklopie dziecko hitotsume-kozō jest pociesznym stworkiem robiącym dowcipy i niekiedy… liżącym napotkanych przechodniów. Tanuki, czyli jenoty, lubią zaś przebierać się za mnichów buddyjskich albo czajniki, i urządzać koncerty, w trakcie których za bębny służą im ich ogromne… moszny. Tōfu-

eprasa.pl 0522f7d004

kozō to stwór o wyglądzie dziecka, który pojawił się nagle w popularnych książeczkach z XVIII wieku i nie robił właściwie nic poza chodzeniem po mieście i jedzeniem tofu. Akaname, którego naturalnym środowiskiem życia są okolice łaźni, zajmował się wylizywaniem brudnych wanien, zaś jego krewniak tenjōname, nocami, gdy mieszkańcy japońskich domów spali, z rozkoszą oddawał się lizaniu sufitów.

Jak widać zatem, japońskie yōkai z judeochrześcijańskimi demonami mają niewiele wspólnego. Są wśród nich byty zarówno dobre, jak i złe, a nawet zupełnie pozbawione jakichkolwiek cech pozwalających zakwalifikować je do którejś z tych kategorii. Jak zatem oddać w języku polskim ich chaotyczną naturę? Najlepsza wydaje się propozycja wysunięta przez związanego z Uniwersytetem Jagiellońskim badacza kultury japońskiej i tłumacza doktora Pawła Dybałę, wedle którego wyraz yōkai należy przełożyć na naszą mowę jako „dziwostwory". Bo choć yōkai są niezwykle zróżnicowane, to „dziwność" z pewnością uznać można za cechę świadczącą o tym, że wszystkie one należą do jednej bardzo rozbudowanej rodziny.

Kto jest kim?

Pochodzenie dziwostworów stanowi zagwozdkę od czasu, gdy w XIX wieku rozpoczęto nad nimi badania naukowe. Ogromnym problemem może być choćby rozróżnienie yōkai od kami, czyli bóstwa. Tu znów wkraczamy na terytorium, gdzie odmienność kultury japońskiej okazuje się dla człowieka Zachodu zdradliwa. Kami różnią się bowiem od tego, co my zwykliśmy określać mianem bogów. Nie są na przykład wszechmocne ani nie stoją na straży moralności. Ta ostatnia niewiele je obchodzi. Co więcej, kami może być prawie wszystko – nawet kamień o dziwnym kształcie czy zamieszkiwać stare drzewo. W chramach szinto znaleźć można tego typu obiekty obwiązane sznurem definiującym je jako obiekty sakralne. Istnieje nawet przysłowie mówiące, że Japonię zamieszkuje 8 mln kami! Tłumaczy to aż za dobrze, dlaczego japońscy nacjonaliści lubią nazywać swoją ojczyznę Krainą Bogów.

Jak zatem odróżnić kami od yōkai? Uczeni głowią się nad tym od lat. Jedna z propozycji głosi, że kategorie dziwostworów i bogów nie są stałe i tymi pierwszymi stają się zdegenerowane bóstwa, które utraciły w ludowej wyobraźni swój majestat, nic zaś nie stoi na przeszkodzie, by jakieś potężne yōkai nie awansowały do rzędu kami. Inna koncepcja głosi, że bóstwa są przyjazne ludziom, podczas gdy dziwostwory, nawet jeśli nie pozostają wrogie człowiekowi w pełnym znaczeniu tego słowa, to potrafią swoimi złośliwościami znacząco utrudnić życie. Tyle że, jak wykazaliśmy poprzednio, taki na przykład lis może być równie dobrze przyczyną nieszczęść, jak i sojusznikiem! Sprawę komplikuje jeszcze bardziej fakt, że ta sama istota może być – w zależności od obserwatora – uznawana zarówno za dobroczynne bóstwo, jak i złośliwego potworka. Japonista Michael Dylan Foster przytacza przykład ducha rzeki, który jest postrzegany jako łaskawa istota boska przez rodzinę rolników, których pola nawadnia strumień, jednakże już mieszkańcy sąsiedniej wioski, borykającej się z racji niekorzystnego położenia z wylewami tejże rzeki, władający nią byt uznawać mogą za złośliwego yōkai! W przeciwieństwie do tradycji Abrahamowych, dominujących na półkuli zachodniej, w Japonii różnica między bogiem a demonem zależeć może wyłącznie od punktu widzenia formułującej ją jednostki!

Piszącemu te słowa wydaje się, że najbliższymi dziwostworom bytami znanymi tradycji europejskiej są pomniejsze bóstwa natury, od których roiło się w mitologii greckiej i rzymskiej. Dla starożytnych Hellenów poszczególne góry, lasy i rzeki miały swoich mieszkańców i opiekunów, bogów, lecz wyraźnie niższych rangą od lokatorów Olimpu. Wystarczy pomyśleć tu o różnych nimfach, faunach i satyrach, a od razu zauważymy, że jest im całkiem blisko do yōkai. Rzymianie z kolei mnożyli byty nadprzyrodzone, ponad potrzebę wymyślając bożków zajmujących się najdrobniejszymi przejawami życia codziennego lub wręcz niemających żadnych kompetencji.

Inną kontrowersją związaną z dziwostworami jest rozróżnienie ich od innej kategorii bytów nadprzyrodzonych – duchów i upiorów, w tradycji japońskiej znanych jako yūrei. W tej dziedzinie znów panuje nieliche zamieszanie, bowiem jedne i drugie są mistrzami w napędzaniu ludziom stracha. Długo trwały spory na temat tego, czy zjawy zaliczyć można do yōkai. Ostatecznie folkloryści uznali, że są to dwa odrębne typy bytów, i wyznaczyli podstawowe różnice między nimi. Co prawda człowiek, na którego wyskoczy jakieś dziwadło, raczej nie będzie miał głowy do tego, by dokonać szczegółowej naukowej analizy napastnika, tylko weźmie nogi za pas, ale gdyby ktoś z Was, Drodzy Czytelnicy, w trakcie podróży po Japonii doznał jakiejś przykrości ze strony nadprzyrodzonego mieszkańca wysp, to poniżej znajdziecie prosty klucz, za pomocą którego rozpoznacie, czy napotkany był dziwostworem, czy duchem.

Podpowiedzi praktyczne

Po pierwsze, zwrócić należy uwagę, kiedy nastąpiło spotkanie. Yōkai z samej swojej natury są istotami egzystującymi na pograniczu świata ludzi i czarów. Dlatego też lubują się w miejscach i porach granicznych. Naturalnym czasem aktywności dziwostworów są szare godziny między dniem a nocą, tj. zmierzch i chwile tuż przed świtem. Lisy, tanuki, kappy i inne tego typu byty atakują swoje ofiary w momencie, gdy słońce znikło już

eprasa.pl 0522f7d004

za horyzontem albo jeszcze się zza niego nie wynurzyło, a wokół panuje półmrok. Jak stwierdził pewien badacz, ma to sens w kontekście chęci napędzenia komuś stracha, bo o wiele łatwiej przerazić swym nieziemskim wyglądem wieczorową porą niż w samym środku nocy, gdy świat pogrążony jest w egipskich ciemnościach i nie widać nic choć oko wykol. Yūrei dla odmiany zwykły manifestować swoją obecność w godzinie wołu, najmroczniejszej porze doby, czyli wedle naszego zegara między drugą a trzecią w nocy.

Kolejną wskazówką, która pomoże ustalić, z kim mamy do czynienia, jest charakter zdarzenia. Duchy i zjawy są w kulturze japońskiej dość wybredne, jeśli chodzi o wybór ofiar. Z reguły ich wroga działalność jest ściśle ukierunkowana na osobę, która za życia wyrządziła im krzywdę. Widmo z Kraju Kwitnącej Wiśni prześladuje jednostkę, do której ma żal, i ponawia napaści aż do momentu, gdy całkowicie zniszczy winowajcę, doprowadzając swą zemstę do końca. Dziwostworom zupełnie obojętne jest, kogo straszą, byleby miały z człowieka dobrą zabawę (lub w przypadku groźniejszych i bardziej krwiożerczych, takich jak „oni" – smaczną przekąskę). Yōkai, najprościej rzecz ujmując, atakuje nie „konkretną osobę", lecz „w konkretnym miejscu". Magiczna istota tego rodzaju z reguły posiada własne ściśle wytyczone terytorium o charakterystycznych cechach – zazwyczaj jest to obszar pogranicza między cywilizacją a światem natury lub szerzej – rzeczywistością materialną a nadprzyrodzoną. Dlatego dziwostwory chętnie gniazdują w górach, lasach, na polach czy w głębinach jezior, rzek bądź pod morskimi falam, choć japońskie miasta, a nawet szkoły lub prywatne domy też nie są wolne od ich obecności. Jeden konkretny stwór, przyjmujący formę małej dziewczynki w czerwonej spódnicy, za swój teren łowiecki uznał… dziewczęce toalety w szkołach podstawowych i grasuje po nich od kilkudziesięciu lat, zajmując trwałe miejsce w legendach opowiadanych sobie przez uczniów i uczennice.

Jak widać, gdy w trakcie wędrówki po Japonii zaatakuje nas stworzenie nie z tego świata, możemy zastosować naukową metodę, która pozwoli nam zorientować się, kim właściwie jest napastnik. Jednak o wiele najłatwiejszym i najszybszym sposobem rozróżnienia, czy mamy do czynienia z yōkai, czy z yūrei, jest popatrzenie w dół! Japońską zjawę łatwo poznać po tym, że nie posiada stóp, więc jeśli na wysokości gruntu zamiast wzmiankowanego elementu fizjonomii dostrzeżecie obłok mgły, będziecie wiedzieć, że atakuje Was widmo, w przeciwnym wypadku spotkaliście dziwostwora. A teraz wiejcie, ile sił w nogach!

Sportretować niewidzialne

Począwszy od epoki Edo (1603–1868), podejmowane są próby usystematyzowania wszystkich znanych yōkai. Klasyczne pozostają tu cztery katalogi dziwostworów z końca XVIII stulecia autorstwa Toriyamy Sekiena. W księgach tych zgromadzono wizerunki około dwóch setek różnych istot i uchodzą one za dzieła kluczowe dla tego zagadnienia. Toriyama Sekien, będący wybitnym grafikiem, którego uczniem był choćby słynny Utamaro, zaprezentował szerokiej publiczności swoje interpretacje bytów nadprzyrodzonych. Inna rzecz, że jego prace, chodź nazywane niekiedy encyklopediami, mają charakter wybitnie rozrywkowy, a nie naukowy. Podczas gdy współcześni mu myśliciele gromadzili opowieści o yōkai w celach badawczych, Sekien pozwolił hulać swojej wyobraźni i jak się zdaje, miał dobrą zabawę, nie tylko rysując dobrze znane dziwostwory z różnych rejonów Japonii, lecz także… wymyślając własne. Przykładem takiej inwencji jest chociażby spotkany już przez nas jednooki ożywiony parasol, który zrodził się w bujnej wyobraźni artysty i wypuszczony przez swego twórcę w szeroki świat, poradził sobie w nim zaskakująco dobrze, a nawet został prawdziwym kosmopolitą – na początku XXI wieku kasa-bake zawędrował aż do literatury brytyjskiej, stając się jednym z drugoplanowych bohaterów wchodzącej w skład cyklu „Anno Dracula" powieści Kima Newmana „One Thousand Monsters". W utworze tym akcja dzieje się w roku 1899 w Tokio, do którego przybywa grupa wampirów wygnanych z Wielkiej Brytanii przez księcia Draculę i osadzonych przez japońskie władze w specjalnie wydzielonym getcie dla yōkai. W interpretacji angielskiego pisarza dziwostwory są podgatunkiem wampirów. Fakt, że jeden z dalekowschodnich krwiopijców hasających po stronach książki wygląda jak parasol, autor tłumaczy stwierdzeniem, że nie ma w tym nic dziwnego, a to, że europejski wampir nie przyjmuje formy na przykład biurka, nie wynika z braku potrzebnych do tego mocy, lecz niedostatku wyobraźni.

Po Toriyamie Sekienie najważniejszym twórcą japońskim, mającym wpływ na uformowanie się „kanonicznych" wyobrażeń yōkai, był zmarły w 2015 roku autor mang – Shigeru, którego flagowym dziełem jest cykl „Niezwykły Kitarō" opowiadający o przygodach małego chłopca i jego niezwykłych przyjaciół, barwnej czeredy dziwostworów. Prócz tworzenia komiksów artysta sporządził też szereg bestiariuszy.

Twórczość Mizuki odniosła tak ogromny sukces, że niejako doprowadziła do skodyfikowania wyglądu mnóstwa fantastycznych istot, które dotychczas występowały w różnych lokalnych odmianach lub wręcz nie posiadały fizycznej formy. Przykładem może być stworzenie znane jako nurikabe. Właściwie do czasów, aż byt ten trafił na biurko twórcy „Niezwykłego Kitarō", trudno o nim mówić nawet jako o fizycznej istocie, słowem tym, oznaczającym do-

eprasa.pl 0522f7d004

słownie „gipsową ścianę", Japończycy określali dziwne uczucie całkowitego wyczerpania, dopadające człowieka nagle i uniemożliwiające mu zrobienie choćby jednego kroku. Zjawisko to w XX wieku zyskało racjonalne wyjaśnienie naukowe oparte na znajomości ludzkiej fizjologii, jednakże przez długie stulecia w Japonii uznawano, iż odpowiada za nie złośliwy yōkai. Tyle że nikt za bardzo nie był pewien, jak właściwie można go opisać. Istnieje grafika pochodząca z epoki Edo, której autor podjął taką próbę, otrzymując w efekcie wizerunek stworzenia przypominającego słonia rozjechanego przez walec drogowy, jednakże ów obraz nie przyjął się w masowej wyobraźni. Tymczasem Mizuki Shigeru, idąc po linii najmniejszego oporu i czerpiąc inspirację ze znaczenia imienia dziwostwora, narysował go jako… gipsową ścianę wysokości człowieka, z rękami, nogami i parą oczu. Co więcej, mangaka twierdził, że osobiście spotkał taką istotę (choć pozostawała ona niewidzialna) w trakcie służby wojskowej podczas wojny na Pacyfiku. Wizja twórcy komiksów zyskała ogromną popularność i obecnie stanowi kanoniczny wygląd nurikabe.

Podobnie rzecz się ma z ogromną liczbą innych yōkai, które Mizuki przetworzył (lub wręcz stworzył) w swojej wyobraźni. W dekadę po śmierci artysty jego interpretacje dziwostworów są rozpoznawalne w całej Japonii, co więcej – powszechnie akceptuje się je jako „prawdziwe". Tym samym Mizuki Shigeru jest obok Toriyamy Sekienia najbardziej wpływową osobą w dziejach relacji między ludźmi a yōkai. Warto przy tej okazji odnotować, że popularność tych wizerunków i ich stała obecność w różnego rodzaju mass mediach doprowadziła do zaniku wielu lokalnych tradycji dotyczących wyglądu dziwostworów. Obecnie taki na przykład kappa wygląda tak samo na całym archipelagu, podczas gdy jeszcze 100 lat temu w zachodniej Japonii wyobrażano go sobie jako podobnego do małpy, zaś we wschodniej miał on formę humanoidalnej krzyżówki żaby i żółwia. Na chwilę obecną ta druga wersja stanowi kanoniczny wizerunek wodnika, i to nie tylko w Kraju Kwitnącej Wiśni, lecz na całym świecie. Kappa dawno zdążył się już zadomowić w miejscach bardzo odległych od swego pierwotnego terenu występowania. Podobnie jak kasa-bake dotarł aż do Wielkiej Brytanii, gdzie pojawił się w powieściach o „Harrym Potterze", a w USA spotkać można go m.in. na kartach komiksów Stana Sakaia czy w bestiariuszach do popularnych gier RPG.

▶ Gdzie spotkać yōkai?

Dzięki powstaniu nowoczesnych mediów dziwostwory rozpierzchły się po globie. Ciekawski łowca, chcący zapolować na owe niezwykłe stworzenia, nie musi dziś udawać się na safari do Japonii. Yōkai spotkać można w granicach własnego miasta, nawet nie wychodząc z domu. Wpisanie tego słowa w popularne portale z grafikami, takie jak Pinterest czy Deviantart, zaowocuje wysypem grafik wykonanych w znacznej mierze przez zachodnich artystów.

Wspomniałem już o pojawianiu się przybyszy z japońskiego świata wyobrażonego w literaturze angielskiej, trzeba wspomnieć, że zadomowili się oni także w kulturze polskiej. Z dziwostworami do czynienia miał nawet tak arcypolski bohater, jak wiedźmin Geralt. W powieści Andrzeja Sapkowskiego „Sezon burz" łowcy potworów przychodzi zmierzyć się z pochodzącą wprost z folkloru japońskiego lisicą. Wątek ten (poboczny wobec głównej linii fabuły) doczekał się komiksowej adaptacji pt. „Dzieci lisicy", stworzonej przez amerykańskiego rysownika Joego Querio i laureata Nagrody Eisnera scenarzysty Paula Tobina. Z kolei w 2022 roku ukazał się komiks „Wiedźmin. Ronin", przenoszący historię poszukiwań Dziecka Niespodzianki w realia feudalnej Japonii, gdzie uzbrojonemu w samurajskie miecze i odzianemu w kimono Geraltowi przychodzi zmierzyć się z szeregiem istot wyjętych z bestiariuszy Toriyamy Sekiena. Album ten jest ciekawym przykładem fuzji kultur, za jego scenariusz odpowiadał Polak Rafał Jaki, podczas gdy rysunki stworzyła japońska graficzka Hataya Akiramela.

Skoro zaś już wspomnieliśmy o katalogach dziwostworów, to w roku 2021 nakładem Wydawnictwa Bosz ukazał się przepiękny album Witolda Vargasa „Bestiariusz japoński. Yōkai", w którym znaleźć można wiele rysunków z towarzyszącym im dowcipnym komentarzem.

Na koniec trzeba powiedzieć, że w trakcie tegorocznych wakacji mieszkańcy Krakowa, a także odwiedzający dawną stolicę królów Polski turyści, mają unikatową okazję stanięcia oko w oko z dziwostworami. W stojącym naprzeciwko Wawelu Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha do końca sierpnia oglądać można wystawę „Sto nocnych zjaw", prezentującą kolekcję japońskich drzeworytów przedstawiających nadprzyrodzone istoty, zarówno yōkai, jak i yūrei. Wydarzeniu towarzyszy wydanie eleganckiej, lecz przede wszystkim bogatej w treść książki, zawierającej zarówno reprodukcje dzieł sztuki, jak i teksty poświęcone japońskim fantastycznym istotom. Wśród autorów wchodzących w skład tomu esejów znaleźć można wykładowców UJ, w tym wspomnianego już doktora Pawła Dybałę czy wybitną specjalistkę z dziedziny demonologii japońskiej doktor Renatę Iwicką. Będąc w Krakowie warto zatem wstąpić do Mangghi, by się zmierzyć z magicznymi przybyszami z Dalekiego Wschodu. ■

eprasa.pl 0522f7d004





Krzysztof Karnkowski

Aniela, Mata i foliarze

W ostatnim czasie Netflix pokazał nam dwie produkcje, których bohaterami są całe środowiska, z wielką nieufnością i równie dużą pogardą traktowane przez wielkomiejskie, liberalne elity. Obrazy te są same w sobie przerysowane, niewolne od klasowych uprzedzeń i stereotypów, z różnych jednak powodów mogą wydać się interesujące. Mowa o serialu „Aniela" Pawła Demirskiego i pełnometrażowym filmie „Wujek Foliarz" Michała Tylki.

eprasa.pl 0522f7d004

Wujek Foliarz" to kontynuacja kultowego dla wielu młodszych widzów filmu „Fanatyk", będącego debiutem Michała Tylki. „Fanatyk" był projektem absolutnie szalonym i przełomowym. Pokazana w nim historia wzięła się z tzw. pasty internetowej, autorstwa twórcy posługującego się pseudonimem Malcom XD. Tu kilka wyjaśnień dla mniej obeznanych internetowo czytelników. Pasta to specyficzny współczesny gatunek literacki: opowieść, pisana z reguły w pierwszej osobie, najczęściej stylizowana na wpis w mediach społecznościowych lub na forum internetowym, i tak też publikowana, i zdobywająca popularność. Stąd też jego nazwa, pochodząca od komend „copy – paste" („kopiuj – wklej"). Forma ta zdobyła popularność kilka lat temu. Malcolm XD okazał się autorem na tyle popularnym i ciekawym, że kolejne jego pomysły doczekały się realizacji, poza „Fanatykiem" i „Wujkiem Foliarzem" na ekrany przeniesiono również „Edukację XD" i „Emigrację XD". Pierwszy film był opowieścią o rodzinie, której całe życie i wszystkie rozmowy podporządkowane są jednemu tematowi. „Mój stary jest fanatykiem wędkarstwa" – jeśli korzystacie z internetu, musieliście trafić na to zdanie, to właśnie stąd. Film Tylki był pierwszym w Polsce przypadkiem przeniesienia pasty na ekran, początkowo będącym zresztą inicjatywą oddolną, na którą środki zbierali sami internauci. Potencjał dostrzegł wchodzący wówczas na polski rynek Showmax i sfinansował jego produkcję w 2017 roku. Udało się coś, co udać się nie mogło. Tytułową rolę zagrał Ryszard Cyrwus, któremu tym samym udało się przełamać przypisany do niego wizerunek Rysia z „Klanu".

Za dużo grzybów w barszcz

Niedawno wypuszczony film „Wujek Foliarz" to kontynuacja, w której główny bohater, syn wędkarza, wpada w nałogi i kłopoty, ląduje w szpitalu psychiatrycznym, a następnie zostaje porwany przez tytułowego wujka i jego współpracowników. Niestety tym razem jest w nim mniej Malcolma XD, więcej natomiast chaosu, który nie zawsze wydaje się kontrolowany. Choć spotkałem się z opinią, że pod fasadą ostrej satyry mamy tu całkiem życzliwie odmalowany portret polskiej prowincji, dla mnie mamy tu zbyt wiele motywów i pomysłów, a i postaci, które mają nam zapaść w pamięć jako charakterystyczne, jest zbyt wiele. Różnie jest też z ich wiarygodnością. Owszem, kto śledzi rozmaitych internetowych „szurów", ten odnajdzie ich rysy w bohaterach, pod wodzą wujka bohatera, tworzących telewizję Prawda TV, sprzedających dziwne gadżety i tropiących spisek w lokalnej polityce. To zresztą wątek, który życie uczyniło ciekawym: oznaką szaleństwa całej ekipy początkowo wydaje się kwestionowanie wyniku lokalnych wyborów.

Jednak im dalej wejdziemy w akcję, tym bardziej widoczne będzie, że coś tu jednak faktycznie jest nie tak – choć od innej strony, niż podejrzewają miejscowi tropiciele spisków. Kolejnym problemem filmu jest jego zbyt wielka momentami dosłowność, mało tu miejsca na domyślność widza, zostają nam grubą linią szkicowane karykatury (Andrzej Grabowski jako fan Fidela Castro ani tu nie pasuje, ani nie jest wiarygodny, niezależnie od swojej gry aktorskiej; z gwiazd lepiej wypadają Katarzyna Figura i Adam Woronowicz) i wygłaszane przez nie komunały. Rzecz uzupełnia wątek porzuconej i odnalezionej miłości, to jednak wciąż trochę za mało. „Wujek foliarz" nie dźwiga według mnie trudnego zadania bycia drugą częścią „Fanatyka", choć też nie skreślam tego filmu całkowicie.

Egzotyczna Praga…

Miejską stroną tej samej monety jest pod pewnymi względami bardzo popularny przez pierwsze tygodnie od premiery serial „Aniela", stworzony przez Pawła Demirskiego. Demirski to twórca kojarzony z radykalną lewicą, przez lata piszący sztuki i felietony dla „Krytyki Politycznej" z Moniką Strzępką, która ostatnio zapisała się całą serią skandali jako dyrektorka Teatru Dramatycznego. „Aniela" to opowieść przesycona pewnymi lewicowymi schematami myślowymi, jednak, co ciekawe, są to schematy bliskie również konserwatywnym widzom. Z konserwatyzmem kojarzona jest zresztą odtwórczyni głównej roli, Małgorzata Kożuchowska, często krytykowana za milczenie w sprawach, w których większość jej środowiska mówi jednym głosem. A co mówi nam sam Demirski?

Osią fabuły jest rozpad rodziny głównej bohaterki. Jej mąż po powrocie ze snobistycznego poszukiwania siebie z dala od domu postanawia zmienić swoje życie, dokładniej zaś żonę wymienić na podstarzałą piosenkarkę, dawną legendę muzyki pop, śpiewającą głosem Anity Lipnickiej. Mamy więc pierwszą z setek szpil, wbijanych tu w postępowe, wielkomiejskie elity. Aniela poradzi sobie podejrzanie łatwo, rzucona w wir przerysowanej warszawskiej Pragi, która ma w sobie coś

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 0522f7d004

z rozgrywającej się w tej samej okolicy kreskówce „Blok Ekipa".

Często jednak wydaje się, że jest to Praga, jaką reżyser tylko sobie wyobraża, ale w ogóle jej nie zna – nawet jeśli, inaczej niż wielu kolegów, patrzy na nią z sympatią i zrozumieniem. Zderzają się tu dwa, a może nawet trzy światy. Jest elita z podwarszawskich osiedli willowych, szukająca egzotyki, ezoteryki i łatwego zysku; jest warstwa aspirująca, która sama uważa się za elitę i gardzi motłochem, ale zostanie za chwilę zjedzona i wypluta przez lepszych od siebie graczy. Wreszcie jest osiedle: sprzedawczyni ze sklepu, stylizowanego na Żabkę; słuchające rapu i chcące z jego pomocą wybić się z blokowiska dziewczyny; młody, acz w głębi duszy nie taki zły bandyta, „dziki", z którym Aniela pociesza się po porzuceniu. W tle gra muzyka niejakiego Banana, kontrowana przez uliczny rap młodych bohaterek. Rap okaże się tu bardzo ważnym, a finalnie wręcz najważniejszym składnikiem – co ładnie koresponduje z powyborczym oburzeniem Zbigniewa Hołdysa na fakt, że nowy prezydent jest fanem tego właśnie gatunku, podobnie jak jego wyborcy. Byłoby więc jeszcze zabawniej, gdyby zamiast nawiązań do Anity Lipnickiej (dlaczego właśnie ona, nie mam pojęcia), pojawiły się aluzje do Katarzyny Nosowskiej, wynoszonej przez Hołdysa pod niebiosa. I jest szkoła, na której jej dyrekcja chce zrobić biznes, godny wielu warszawskich afer tego stulecia.

Historia pewnej ekspedientki

I tu zaczyna się kolejna warstwa tej opowieści. Raper Banan stylizowany jest na popularnego Matę, a jego ojciec (w tej roli Cezary Pazura), prawnik Marecki, na tatę Maty, czyli prof. Matczaka. Wszystkich to znakomicie bawi, ja natomiast mam wrażenie, że chyba przekroczono tu pewną granicę. Piszę to ze smutkiem, ponieważ uważam, że do obu Matczaków, a zwłaszcza do ojca, można mieć pretensje o wiele rzeczy. Tu jednak osobom, będącym odpowiednikami realnych postaci, przypisano złe cechy całej grupy społecznej, którą reprezentują. Syn okazuje się policyjnym donosicielem, a ojciec… cóż, może ktoś jeszcze nie oglądał, więc nie będę opowiadał. Zbiegną się w nim jednak ciemne sprawy, jakimi od lat żyje Warszawa – przede wszystkim oczywiście pojawi się kwestia ukrytej pod płaszczykiem „rewitalizacji" patodeweloperki. A przy tym okaże się być sprawcą większości nieszczęść samej Anieli. A jej postać? Jest krzykliwa, wulgarna, pogubiona, ale budzi sympatię i jest faktycznie świetnie zagrana. Kibicujemy jej w emancypacji i próbach pomocy innym.

Bardzo dobre są również zdjęcia, aż czasem można odnieść wrażenie, że treść nie nadąża za formą. Zwłaszcza że serial nie jest równy: zaczyna się bardzo dobrze, w środku dynamika pada, by dopiero na końcu przyspieszyć szaleńczo. Są wreszcie kontrowersje, związane z kwestią wspomnianej już bohaterki, sprzedawczyni lokalnego sklepu. Okazało się, że kilka lat temu Demirski kontaktował się z popularną instagramerką, używającą nicka „frogoshoposting", snując plany wykorzystania w filmie jej historii. Nie sfinalizowali jednak żadnej umowy i dziewczyna o sprawie zapomniała, by po kilku latach ze zdziwieniem zobaczyć inspirowaną sobą postać na ekranie. „Połączyły mi się kropki, jak zobaczyłam, kto jest reżyserem. Kilka lat temu gość zaprosił mnie na rozmowę o tym, że chciałby włączyć mnie w pracę nad postacią w serialu, który może kiedyś wyjdzie na Netflixa, który będzie w jakiś sposób inspirowany moją postacią. Żadnej umowy ani przekazywania praw autorskich do mojej tożsamości nie było. Mówił, że raczej to nie przejdzie, ale wstępnie chętnie o tym ze mną pogada, bo myśli, że to fajny pomysł" – pisała w wydanym wkrótce potem oświadczeniu. Budzi to pytania o granice wykorzystania wizerunku, a zarazem pozwala zakwestionować społeczną wrażliwość samego Pawła Demirskiego. Szkoda, bo psuje to trochę odbiór jednego z ciekawszych, mimo wszystkich uwag, seriali ostatnich lat. ■

„Aniela" to opowieść przesycona pewnymi lewicowymi schematami myślowymi, jednak, co ciekawe, są to schematy bliskie również konserwatywnym widzom.

eprasa.pl 0522f7d004

Marek Kalinowski

Ravel kiedyś i dziś

Bertrand Chamayou oddaje fantastyczny hołd twórczości Maurice'a Ravela na 150. rocznicę jego urodzin. Album „Ravel Fragments" zawiera wyjątkowe transkrypcje znanych dzieł orkiestrowych, a całość dopełniają utwory innych, także współczesnych kompozytorów. Jeśli ktoś obawiał się rocznicowej nudy, będzie więc zaskoczony. Otrzymaliśmy bowiem jedną z najciekawszych płyt roku!

Nagrywanie płyt rocznicowych nie zawsze znajduje finał w radości słuchacza, a jednak jubileusz 150. urodzin Maurice'a Ravela przyniósł jak dotąd co najmniej trzy znakomite produkcje. Już na początku roku ukazała się płyta zwycięzcy XVII Konkursu Chopinowskiego, Koreańczyka Seong-Jin Cho z kompletem utworów kompozytora na fortepian solo, a chwilę później pianista na oddzielnej płycie wydał jeszcze dwa koncerty fortepianowe. Absolwent paryskiego konserwatorium miał okazję po wielokroć sięgać po repertuar Ravela, a teraz wykonał go wręcz wzorowo, trzymając się jak najdokładniej wskazówek kompozytora. Z perspektywy jubileuszowych oczekiwań słuchaczy wydawało się więc, że po takiej kolekcji trudno będzie jeszcze cokolwiek dodać.



Bertrand Chamayou, RAVEL FRAGMENTS, Warner Classics/Erato

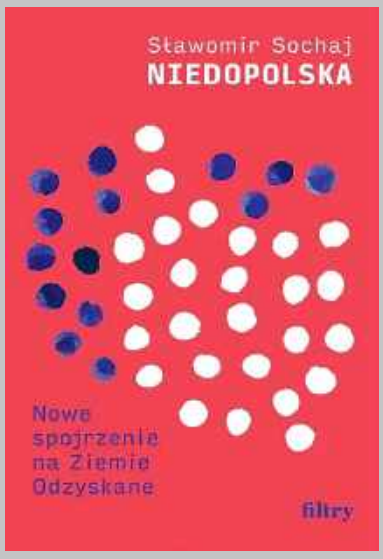
Tymczasem niedługo po niej ukazała się płyta francuskiego pianisty Bertranda Chamayou, która potraktowała rocznicowe zadanie absolutnie nowatorsko. Trzymając się szkolnej metafory, jeśli nagrania Seong-Jin Cho moglibyśmy porównać do pracy „wzorowego ucznia", to Chamayou okazał się uczniem nie mniej zdolnym, lecz bardziej zainteresowanym realizacją własnych wizji i pomysłów niż tylko „czerwonym paskiem na świadectwie". Zamiast więc pieczołowicie prezentować zbiór kompozycji jubilata (takie nagrania Chamayou ma już zresztą od dekady za sobą), sięga po repertuar niefortepianowy, sam zajmuje się transkrypcją, wreszcie dzieła Ravela konfrontuje z utworami innych, nawiązujących do niego kompozytorów. Ryzykowny trop, którym ruszył Chamayou, okazał się arcyciekawym strzałem w dziesiątkę!

Ta misternie skonstruowana opowieść opiera się na mało znanych transkrypcjach samego Maurice'a Ravela i już współczesnych zapisów Bertranda Chamayou, z dzieł orkiestrowych mistrza. Album otwierają i zamykają dwa fragmenty z baletu „Daphnis i Chloé", a w centrum Chamayou umieścił wyjątkowy zapis „La Valse", który w zamierzeniu nie miał być wykonaniem koncertowym, a prawdopodobnie służył Ravelowi wyłącznie na użytek prób baletowych. To nie tylko wyjątkowy prezent dla odbiorców muzyki klasycznej, lecz także dla tych melomanów, którzy muzykę Ravela znają naprawdę bardzo dokładnie.

Miniatury Ravela pianista bardzo sprytnie przetyka dziełami innych kompozytorów, które czasem zupełnie wprost, a czasem jedynie iluzyjnie nawiązują do jego twórczości. Konteksty ujawniają się też wraz z kolejnymi odsłuchami, co jest niewątpliwą zaletą albumu. Sam wybór kompozytorów znowu rzuca dodatkowe barwy na muzykę. Mamy tu bowiem twórców zupełnie nam współczesnych (Frédéric Durieux, albo Betsy Jolas), jak i takich, którzy Ravela poznali i słuchali osobiście (Aleksander Tansman czy Ricardo Viñes). Dzięki temu muzyka Ravela przekracza granice czasowe, a Chamayou zerka na nią, tak jak z okładki albumu, poprzez fragmenty szkła, w kolażu kilku perspektyw. Niezależnie jednak, czy udamy się tropem hiszpańskich fascynacji Ravela, które znajdują rozwinięcie w kompozycji Joaquina Nina, zatrzymamy w melancholijnym hołdzie nakreślonym przez Tasmana, czy też nasze zmysły poruszy kaskada dźwięków „De la nuit" Salvatore Sciarrino – popisowym utworze dla technicznej biegłości Bertranda Chamayou, każdy z tych wyborów okaże się niezwykle satysfakcjonujący. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 0522f7d004



Sławomir Sochaj, „Niedopolska. Nowe spojrzenie na Ziemie Odzyskane", Filtry, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko



Nieoczywista Polska. Z dziejów kresów zachodnich

Utyskiwania na polonocentryzm i prawicę są banałem w książkach takich jak „Niedopolska" Sławomira Sochaja. Nawet dyskretny urok stygmatyzacji, który przyciągnąłby uwagę Susan Sontag, gdyż rozprzestrzenianie się określonych poglądów politycznych autor określa mianem „prątkowania", nie wydaje się niczym nowym. „Niedopowiedzenie, niedopasowanie, niedookreślenie, niedokończenie" tych ziem, małych i wielkich historii także zostało niejednokrotnie opowiedziane. Zaryzykuję śmielszą tezę: problematyka Ziem Odzyskanych – podobnie jak ludowe historie Polski – stała się tematem dobrze widzianym przez wydawnictwa, bo nieźle się sprzedającym. „Poniemieckie" wygodnie umościło się w naszym współczesnym imaginarium.

eprasa.pl 0522f7d004

Niniejszy artykuł, w nieco szerszej formie, miał się ukazać drukiem w piśmie literackim „Twórczość", przez którego redakcję został zamówiony. W międzyczasie nowy naczelny, Dariusz Foks, pozbył się z zespołu kilku „źle kojarzonych" osób. I nie odpowiedział mi na dwa maile w sprawie recenzji. Tak w praktyce wygląda „polityka kulturalna" ludzi, którzy po 13 grudnia 2023 roku wrócili do „dorzynania watah". Uznałem, że nie warto marnować czasu na kolejne zapytania do pana Foksa. Najlepszą wiadomością dla niego i jemu podobnych jest nieparlamentarna fraza z „My, Pierwsza Brygada". Dobrej lektury, Szanowni Państwo!

Smakowanie ojczystej ziemi

„Tyle dźwigamy naszych ojczyzn / na jednym grzbiecie jednej ziemi" – zdumiewa się Zbigniew Herbert w „Odpowiedzi". Poetyckie misterium splątanych tożsamości odsyła w głąb dziejów: do szaleństw historii. Życie nie jest tak kunsztowne jak poezja; bezlitośnie kojarzy formy i treści w najlepsze, jako takie i najgorsze związki. Wygnańcy i ich potomkowie wlewają stare wino do nowych bukłaków i młode wino do starych bukłaków. Pracownicy PGR w starym pałacu w Ślubowie pod Górą Śląską, poniemiecka glorietta w kluczborskim parku, sceny z „Czterech pancernych i psa" kręcone w twierdzy kłodzkiej, niemieckie nagrobki na pustoszejących wsiach na Opolszczyźnie. Jeszcze kilka lat temu myślałem, że całkiem nieźle nasyciłem się znajomością Polski. Wychowany na PGR-owskiej wsi w Wielkopolsce, w cieniu Manieczek Józefa Wybickiego, mieszkałem później w Poznaniu, Gdyni, długie lata w Krakowie i w Nowej Hucie, kolejny okres w Warszawie. Ze stolicy wędrowałem na północ i wschód kraju, smakując nieznanej w dzieciństwie ziemi, modlitw, kuchni, akcentów, zabytków, architektury i krajobrazów. Wreszcie wróciłem na zachód kraju, nie tak daleko od rodzinnego domu. Na Opolszczyźnie, kilkadziesiąt kilometrów od Opola i kilkadziesiąt od Wielunia, odkryłem popruskie dworce kolejowe, bardzo podobne do tych z Szołder, Ostrzeszowa czy Jarocina. Odnalazłem parę słów, którymi posługiwali się w Bojanowie babcia i dziadek.

Przed wojną Bojanowo – spokojne polskie miasteczko – znajdowało się blisko granicy II Rzeczypospolitej i III Rzeszy. W maju 1939 roku niedalekie Leszno odwiedził marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz. Transparent głosił: „Stary gród Leszczyńskich wita serdecznie umiłowanego przez Naród Wodza Naczelnego na kresowej ziemi". Uderza termin „kresy" – dziś zarezerwowany dla naszych wspomnień o ziemiach utraconych po II wojnie światowej. Znakomity gość wręczył nowy sztandar dla siedemnastu pułków ułanów wielkopolskich. Jeden z towarzyszących Rydzowi-Śmigłemu generałów mówił do leszczyńskich mieszczan, którzy podarowali wojsku czternaście karabinów maszynowych: „Gdy dziś od was broń dla naszych oddziałów przyjmuję, przyjmuję ją dla oddziałów nie byle jakich. Dla pierwszego pułku poznańskiego, który jako pierwszy zaprowadził synów ziemi poznańskiej het daleko pod Lwów, Bobrujsk i tam swoją krwią serdeczną nasze słupy graniczne znaczył. Przyjmuję broń dla pułku ułanów – dziś jubilatów – który miał ten wielki honor, że szablami swymi pomiędzy złotymi bramami Kijowa błysnął jako pierwszy".

Wojenna tułaczka, powojenne zmiany

5 września 1939 roku Niemcy weszli do Bojanowa. Dziadkowie trafili na roboty; dziadek Florian jako pomocnik krawiecki pracował do wiosny 1945 roku w pobliskim Żmigrodzie (Trachenberg); babcia Maria była na robotach od wiosny 1940 do wiosny 1945 roku. Najpierw pracowała u bauera w Obornikach Śląskich (Bad Obernigk), gdzie miejscowy SS-man powiedział jej o rozstrzelaniu Polaków przez Rosjan w Katyniu. Później w miejscowości Osola u właściciela szwalni jego małżonka pytała: „Maria, a gdyby przyszli Ruscy, broniłabyś mnie?". Wreszcie Babcia trafiła do Żmigrodu, gdzie żona niemieckiego policjanta biła ją, wyzywała od „polskich świń" i groziła obozem koncentracyjnym za spotkania z dziadkiem. Tam wpadła Babci w ręce propagandowa książka „Polnische Blude" – o rzekomym okrucieństwie polskiego żołnierza, który w przedwojennej Bydgoszczy miał rozbić o mur głowę niemieckiego dziecka.

Wreszcie Maria trafiła jako opiekunka do ewangelickiego domu starców w Żmigrodzie, stamtąd w styczniu 1945 roku przez Wrocław ruszyła w chcianą-niechcianą ewakuację pociągiem sanitarnym do Budziszyna. Z tamtejszego sanatorium słyszała bombardowanie Drezna. Kilka tygodni później wraz z innymi Polakami przechodziła przez zniszczone miasto. 8 maja tułacze schronili się w piwnicach pobliskiego pałacu; babcia na pianinie zagrała „Jeszcze Polska". Na jej oczach rosyjski żołnierz zastrzelił Niemca, który bronił kultywatora do gleby, krzycząc: „Meine, meine!". Do Bojanowa Babcia wróciła w Boże Ciało. Jej matka, moja prababka, którą pamiętam z wczesnego dzieciństwa, od wiosny tamtego roku wychodziła codziennie na

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 0522f7d004

dworzec sprawdzać, czy dzieci wracają. Najdłużej czekała na Pelę, która w czasie wojny pracowała w fabryce amunicji w Duisburgu, a później trafiła do Kanady. Cioteczna babka pierwszy list do Polski wysłała na początku lat 50., a do „nowej, socjalistycznej ojczyzny" przyjechała z wizytą po raz pierwszy w 1957 roku. Bliskim udało się wrócić do rodzinnego domu na jednej z bojanowskich osad, zajętego wcześniej przez „Czernomerców", jak moja prababka nazywała niemieckich kolonistów znad Morza Czarnego.

Zdumiewałem się jako dziecko, w latach 80., gdy krewni opowiadali, że przed wojną niedaleko od Bojanowa zaczynały się Niemcy. Najpotężniejsza granica, data narodzin, oddzielała mnie od ich wspomnień i koszmarów. Oniryczno-sentymentalne podróże do Bierzwnika pod Choszcznem mocno zapadły mi w pamięć – dzięki historii rodziców ojca wiedziałem, co to Ziemie Odzyskane („Twórczość", 07–08 2024). A przecież miałem je nieco bliżej, tylko że o tym się nie mówiło: gdy jeździłem z rodzicami pociągiem i autobusem do Góry Śląskiej, a stamtąd do Ślubowa. Wuj był zootechnikiem w tamtejszym PGR-ze. Malowniczy park z niewielką kaplicą, folwarczne zabudowania, glinianka, w której pływaliśmy jako dzieci. I pałac, w którym mieszkali pracownicy PGR-u. Nie mówiliśmy o tym i nic nas nie obchodziło, że to gmach z XVIII wieku, a właścicielami tamtejszego majątku przez wieki były rodziny von Kurzbach, Turzo, von Haugwitz, Fischer, Otto, Krause… Gdy Państwowe Gospodarstwa Rolne upadały jedno po drugim, wuj – który przez dekady Polski Ludowej uczył się z radia języka angielskiego – wyjechał na Wyspy. Po latach, już po studiach na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, to samo zrobił mój kuzyn, ale później wrócił do Polski i kupił dom w rodzinnych stronach. Nie wiem, jak dziś wygląda pałac w Ślubowie, sprzed dekad pamiętam podniszczone elewacje, szerszenie latem na gorącym strychu, w które rzucaliśmy kamieniami, i opustoszałą świetlicę na parterze pałacu, gdzie na przełomie ustrojowym do upadłego graliśmy w ping-ponga. Ziemie Odzyskane? Linia kolejowa nr 372, łącząca stację kolejową Bojanowo ze stacją Góra Śląska, przewoziła pasażerów jedynie w latach 1985–1991. Z czasem ubywało też połączeń autobusowych między Górą Śląską a Lesznem. Po wielu dekadach znów łatwiej dostać się w tamte strony dzięki drodze ekspresowej S5, która łączy Poznań, Leszno i Wrocław, a docelowo ma sięgać od Olsztyna do dolnośląskiego Bolkowa. Osiemdziesiąt lat po wojnie powojenna reintegracja Polski wciąż nie jest dokończona.

Koślawa narracja o „Niedopolsce"

Na kartach „Niedopolski" Sławomir Sochaj zapowiada „nowe spojrzenie na Ziemie Odzyskane". Odnajduję w jego książce wiele miejsc, które znam, łącznie z Górą Śląską i Lesznem, a także mniej lub bardziej urokliwymi zakątkami Opolszczyzny i Dolnego Śląska. Ale nie jestem pewien, na czym polega nowość tego ujęcia – choć przemawia do mnie jego rozległość, szeroka perspektywa, która łączy historię poszczególnych miejsc z ich współczesnymi popkulturowymi odczytaniami. Wiele mówią o współczesnym rozumieniu zachodnich ziem fragmenty poświęcone ich serialowym interpretacjom. Zmyślone wrocławskie ulice w serialu „Wielka woda" zmuszają do pytania, które miasta w Polsce mogą być przedstawione zupełnie na serio w naszych zbiorowych opowieściach, a które skazane są tylko na mity i szkice.

Ustrojowa transformacja z jej blaskami i cieniami, sielankowa wizja końca historii, a następnie stopniowy wzrost geopolitycznych napięć, demograficzny kryzys, szczególnie dojmujący na Opolszczyźnie, wymagają dziś czegoś więcej niż odkrycia „Niedopolski", „poniemieckiego" czy „Odrzani". Dziś o wiele istotniejsze wydaje się pytanie, czy możliwa jest dobra przyszłość tych ziem w granicach Rzeczypospolitej. Każda kolejna książka na podobny temat powinna zawierać pytanie: „Co dalej?". A odpowiedzi powinni udzielać rządzący (niezależnie od politycznej opcji), muzealnicy, samorządowcy, architekci, planiści, ekspertki od transportu publicznego, ekolodzy, przedsiębiorcy, pracownice najemne, uczniowie i studenci, lekarki i pielęgniarki, miłośnicy małych ojczyzn, dyrektorki lokalnych centrów kultury. Skoro już wiemy, czym jest rzekoma „Niedopolska", to musimy zapytać, czym mogłaby, może albo też czym powinna się stać w kolejnych dekadach – jeśli okażą się w miarę łaskawe dla naszej kultury, społeczeństwa i państwa.

„Dopiero w 1993 roku [wraz z wyjściem wojsk radzieckich z Polski – przyp. K.W.] zakończył się czas specjalnego statusu tych ziem, nadzorowanych dotąd przez zwycięskie armie dwóch krajów" – pisze Sochaj. Wyrafinowane uproszczenie wiele tłumaczy z tego, jak potocznie pojmowane są Ziemie Odzyskane: Polacy stali się rzekomo wspólnikami Rosjan w grabieży i tłamszeniu poniemieckiego. Autor „Niedopolski" doskonale zdaje sobie sprawę z przyczyn tego stanu rzeczy, z dramatów i tragedii przesiedleńców; kłopotów tych, którzy nie chcieli lub nie mogli po 1945 roku wracać do Polski w pojałtańskich granicach. Nie bez powodu swoją opo-

eprasa.pl 0522f7d004

wieść zaczyna od historii ołówka Stalina, kreślącego na mapie Europy projekty polskich granic. A jednak to Polacy, choć rządzeni przez dekady przez sowieckich namiestników, w jego opowieści okazują się współwinni atrofii wspaniałych miast, sielskich miasteczek, przepięknych dworków, dochodowych majątków. Nie do końca da się temu zaprzeczyć – tyle że kontekst jest znacznie szerszy. I być może w największym stopniu dotyczy modernizacyjnej pułapki na przełomie dwóch ustrojów, raptownego przejścia od realnego socjalizmu do realnego kapitalizmu: dwie kompletnie niezborne wizje rozwojowe nałożyły się na dzisiejszy los ziem długo zwanych odzyskanymi.

Wsie jak z początków transformacji

Przepoczwarzenie, które dało nam III RP, stworzyło również „Niedopolskę". Ona ukształtowała się na naszych oczach, choć korzeniami sięga PRL-owskich dekad. Sochaj w pewnym momencie wyraża to wprost, gdy pisze o odrzuceniu właściwie w całości dorobku PRL („odbudowy i scalenia kraju, awansu urbanistycznego oraz kulturowej modernizacji społeczeństwa"). I wskazuje, że dolnośląskie schludne miasteczka z przyciętymi klombami i piękną architekturą zdecydowanie lepiej wyglądały w latach 60. i 70. XX wieku niż dziś, gdy rządzi nimi estetyka handlowych dyskontów – choć nie do końca jest to prawdą. Kto wędrował po Kotlinie Kłodzkiej przed powodzią jesienią 2024 roku, ten wie, że jak mogła, tak wyrywała się „Niedopolsce". Jej miasta i miasteczka były częściowo przepięknie odremontowane, zabliźniło się wiele ran po zakładach pracy, które upadły na przełomie ustrojowym.

Miasteczka na zachodzie Polski – choć nie jest to wyłącznie ich zmorą – coraz bardziej się starzeją, coraz mniej w nich młodych ludzi. Gdy latem 2023 roku nocowałem w niewielkim hotelu przy granicy z Czechami, okazało się, że prowadzi go matka właścicielki: kobiety trzydziestokilkuletniej, która na stałe mieszka w jednym ze skandynawskich krajów. I tylko czasem przyjeżdża na urlop do domu rodzinnego, by z bliska doglądać tutejszego biznesu. Brak dobrobytu materialnego przestaje być utrapieniem na „poniemieckich" ziemiach, coraz większym kłopotem jest demografia. I brak atrakcyjnej pracy i płacy dla pracowników najemnych – szczególnie gdy tak łatwo powędrować za nią na Zachód. Moja najmłodsza kuzynka mieszka obecnie w niewielkiej miejscowości w powiecie górowskim w Dolnośląskiem. Jej narzeczony został sołtysem. Punkty odniesienia? Kościół na malowniczym wzniesieniu, ruiny pałacu sięgającego historią XVI wieku, zniszczone zabudowania folwarczne z pruskiej cegły – nadal imponujące rozmachem. Kuzynka zdecydowała się na przeprowadzkę, bo nieruchomości są znacznie tańsze niż pod Lesznem, a do pracy w innej miejscowości jedzie się samochodem szybciej niż z Mokotowa na Wilanów. Lokalna społeczność chyba była zdziwiona, że ktoś młody nie tylko zechciał tu zamieszkać, rodzić i wychowywać dzieci, lecz także podjąć się urzędu. Idziemy na spacer z psem i mam wrażenie, jakbym się przeniósł do popegeerowskich wsi z końca lat 90., kiedy resztki porządku PRL-owskiego świata zapadły się już na dobre, a na unijne pieniądze i znaczny spadek bezrobocia nikt jeszcze nie liczył. Jednak domy są tam okazalsze niż w niejednej wielkopolskiej wsi. Szybko można się zorientować, kto ma własny biznes i żyje dobrze. Łatwo też poznać siedliska zadawnionej biedy, zaognionej nałogami. Zachwycam się starymi drzewami po ogrodach i pięknem starego kościoła. Rozsiane wokół niego nagrobki, pisane po niemiecku, przypominają, gdzie jestem.

PRZEPOCZWARZENIE, KTÓRE DAŁO NAM III RP, STWORZYŁO RÓWNIEŻ „NIEDOPOLSKĘ". ONA UKSZTAŁTOWAŁA SIĘ NA NASZYCH OCZACH, CHOĆ KORZENIAMI SIĘGA PRL-OWSKICH DEKAD.

Jak barwny lamus

Odkąd mieszkam na Opolszczyźnie, przeprosiłem się z rowerem. Dwie–trzy godziny okolicznymi trasami w wolny dzień to najlepsza lekcja lokalnej historii. Lekcja tego, jak historia się dopełnia i uzupełnia, co wciąż chowa po kątach. W kluczborskim parku pięknie odremontowana glorietta, upamiętniająca miejscowych żołnierzy poległych w czasie I wojny światowej. Wcześniej niszczała przez dekady, służąc za pijalnię wódki, wina i piwa kolejnych pokoleń młodzieży. Zaraz obok wspomnienie pięk-

eprasa.pl 0522f7d004

nej synagogi spalonej przez Niemców w czasie tzw. kryształowej nocy w listopadzie 1938 roku. W okolicy wioski, które witają podwójnymi nazwami: polskimi i niemieckimi. Choćby Jasienie/Jaschine w drodze na Opole albo pobliskie Chocianowice/Kotschanowitz z chętnie odwiedzaną przez lokalsów i przyjezdnych Starą Karczmą, gdzie na rodzinnych imprezach mówi się a to po polsku, a to po śląsku, a to po niemiecku. Restauracja jak barwny lamus – z przepysznym jedzeniem, obowiązkową roladą śląską z czerwoną kapustą i mniej oczywistą golonką z pańćkrutem, czyli daniem z ziemniaków, kiszonej kapusty i skwarków. Jest jeszcze Maciejów z drewnianym kościołem otoczonym pisanymi po niemiecku nagrobkami, pasieką zarodową i dworkiem księdza Jana Dzierżona, XIX-wiecznego odkrywcy pszczelego dzieworództwa.

Pod Kraskowem, w szczerym polu, które każdej wiosny cieszy wzrok szmaragdową zielenią pól, leży stary żydowski cmentarz z XVIII wieku, opuszczony i niszczejący od lat 50. poprzedniego stulecia. Najstarsza zachowana macewa pochodzi z 1810 roku. W 2009 roku wykonano tam prace porządkowe, a na murze zamieszczono tablicę po polsku i hebrajsku: „Pamięci społeczności żydowskiej – mieszkańcy wsi Krasków". W późniejszych latach opiekę nad tym miejscem przejęła Służba Więzienna – skazani z zakładu karnego w Kluczborku wysprzątali teren cmentarza. Bywam tam o każdej porze roku, śledzić ruch słońca i cieni, jakie dają drzewa i nagrobki, lot ptaków, bieg saren i zajęcy, pośród ciszy, której nikomu nie chce się zakłócać. Mówię do nieznanych mi zmarłych, do których przyszedłem w gościnę, by przypomnieć sobie kruchość naszych ludzkich spraw.

Stare i nowe. Intrygująca Polska

I jeszcze Rożnów z drewnianym kościołem z XVIII wieku i nagrobkiem w kształcie piramidy, wystawionym w 1780 roku przez Carla Adolfa Augusta von Eben und Brunnen; zaprojektowanym przez Carla Gotthardа Langhansa (autora Bramy Brandenburskiej w Berlinie). W Rożnowie straszy też ruina XIX-wiecznego pałacu rodziny von Treu. W PRL-u mieściło się w nim kierownictwo PGR-u. Rezydencja zniszczała już w XXI wieku, po reprywatyzacji. Dziś jest już właściwie nie do uratowania. Ale to nie jest wyłącznie problem „Niedopolski" – w mojej rodzinnej Wielkopolsce znam niejeden taki pałac, kompletnie zdewastowany nie w czas wojny, nie zaraz po wojnie i nie w PRL, ale w kolejnych dekadach III RP.

Od lat 80. XX wieku tzw. nowy kościół w Kluczborku, otoczony robotniczymi osiedlami, w święta kościelne wypełniają licznie sztandary kolejarskiej braci. Podczas uroczystych nabożeństw poczty sztandarowe Bogu oddają, co boskie. Kolejne dekady przynoszą uszczuplenie zatrudnienia w lokalnych zakładach: ostatnio głośnym echem odbiły się zwolnienia w PKP Cargo. Młodzi „z Klu" wyjeżdżają od lat. Autobusy firmy Sindbad wiozą ich najpierw do Opola, a stamtąd – z ludźmi z całej Polski – do Niemiec. Wracają nieliczni, którzy z sobie wiadomych powodów nie chcą całego życia przeżyć na obczyźnie. Ich rodzice, często dzieci przybyszów z dawnych Kresów, odpoczywają w ogródkach działkowych, martwiąc się niskim poziomem wód gruntowych i oczekując deszczu przy dźwiękach Radia Opole. Na rynku rządzą Romowie, zagadujący przyjezdnych Niemców o parę groszy.

Niedpolska? Nie jestem pewien. Raczej miejsce, gdzie stare i nowe wciąż się spotyka, dopełnia, gdzie szuka siebie. To inna Polska niż ta, którą we wrześniu 1939 roku pożegnali na zawsze rodzice moich rodziców. Inna niż ta, której losy chciał wyznaczyć Stalin. Pewnie mniej oczywista, szczególnie tutaj, gdzie jestem, ale przez to intrygująca i warta pielęgnowania. ■

USTROJOWA TRANSFORMACJA Z JEJ BLASKAMI I CIENIAMI, SIELANKOWA WIZJA KOŃCA HISTORII, A NASTĘPNIE STOPNIOWY WZROST GEOPOLITYCZNYCH NAPIĘĆ, DEMOGRAFICZNY KRYZYS, SZCZEGÓLNIE DOJMUJĄCY NA OPOLSZCZYŹNIE, WYMAGAJĄ DZIŚ CZEGOŚ WIĘCEJ NIŻ ODKRYCIA „NIEDOPOLSKI", „PONIEMIECKIEGO" CZY „ODRZANI". DZIŚ O WIELE ISTOTNIEJSZE WYDAJE SIĘ PYTANIE, CZY MOŻLIWA JEST DOBRA PRZYSZŁOŚĆ TYCH ZIEM W GRANICACH RP.

eprasa.pl 0522f7d004

Marcin Wolski

Bunt przeciw własnemu organizmowi

„Jajko nie jest mądrzejsze do koguta!".

Swego czasu napisałem surrealistyczny, jak naiwnie mniemałem, tekst. O wybijaniu się poszczególnych organów na samodzielność. Oczywiście chodziło mi nie o organy, czyli służby, lecz o poszczególne części organizmu człowieka. W mej opowieści obdarzone wolną wolą, pewnego razu postanowiły działać wyłącznie egoistycznie. Lewica pokłóciła się z prawą ręką, nogi nie chciały iść tam, gdzie oczy poniosą, a oczy straciły zaufanie do uszu. W dodatku język wypowiedział posłuszeństwo zębom, a gardło rozumowi. Gorzej że wątroba zastrajkowała, nerki postanowiły działać na własny rachunek, płuca odwróciły się od serca, a wszyscy razem zmusili do abdykacji mózg. W efekcie organizm nie przeżył. Niektóre elementy sztucznie podtrzymywane posłużyły wprawdzie na przeszczepy, ale tam już zachowywały się posłusznie.

Kilkadziesiąt lat wystarczyło, aby fantastyka stała się metaforą. Czym bowiem innym jest nasza planeta singli niż bandą zbuntowanych jednostek, których w kupie trzyma już tylko przyzwyczajenie, ewentualnie regulacje prawne (nawiasem mówiąc, coraz głupsze)?

Być może mocne stwierdzenie papieża Leona XIV, uznającego prymat prawa naturalnego (boskiego) nad ludzkim, jest owym wyczekiwanym punktem przełomowym, po którym świat stanąwszy na nogach, powstrzyma się przed upadkiem w przepaść. Jako konserwatysta wyżej cenię tysiące lat doświadczeń i zdrowy rozum niż rewelacje z prac naukowych niewydarzonych doktorantek.

Są dwie płcie. Naturalny podział zadań w rodzinie między mężczyzną a kobietą, bezwzględne obowiązki między dziećmi a rodzicami, a sporadyczne przypadki występowania hermafrodytów, czy jajka mądrzejszego od kury, nie mogą być powodem demolowania prawa, a przy okazji społeczeństwa. Osobiście uważam, że każda kobieta może zostać Margaret Thatcher czy Marią Curie-Skłodowską, ale nie każda musi. Nawiasem mówiąc, obie panie spełniły swój podstawowy obowiązek społeczny, zostając matkami!

Doświadczenie uczy, że lepsza nawet rodzina niedoskonała niż żadna – stosunki międzyludzkie powinny być regulowane przez kulturę, opinię międzyludzką czy relacje towarzyskie. Ingerencja prawa, czytaj: państwa, powinna być ograniczona do przypadków wyjątkowych. Władza wpuszczona pod byle pozorem do mieszkania, szkoły czy społecznej organizacji staje się bezduszną siłą w ręku ograniczonego z natury urzędnika, przekonanego o swej wszechmocy. Zabrać dzieci, ograniczyć prawa rodzicielskie, wsadzić do więzienia tatusia, bo jego córce, która nie dostała na lody, wydawało się, że tatuś obleśnie na nią patrzy… Nie słyszałem, żeby ktokolwiek poniósł konsekwencje swoich działań, nawet gdy prowadzą one do samobójstw czy psychicznego kalectwa.

Zawsze się zastanawiałem, dlaczego zamordyści wszelkiej maści tak bali się poczucia naturalnej wspólnoty (próbując na siłę zastąpić ją kontrolowaną odgórnie organizacją partyjną czy po prostu biurokracją).

Więzi międzyludzkie – od rodzinnych po narodowe – okazują się silniejsze niż doktryny państwowe czy ideologiczne. Nadto ludzie widzą zagrożenia zwykle wcześniej niż nieruchawy aparat państwa. To praktyka mieszkańców powinna wytyczać kształt ścieżek osiedlowych, a nie fantasmagorie architektów!

Inicjatywy oddolne, w rodzaju Ruchu Obrony Granic (albo wyborów), powinny być przyjmowane przez państwo z pocałowaniem ręki, a nie postrzegane jako konkurencja dla szeroko pojętej władzy. Chyba że interes owego państwa nie jest tożsamy z interesem obywateli, a aparat w swym kretynizmie sądzi, że łatwiej przyjdzie mu rządzić niemieckojęzycznym Somalijczykiem niż krnąbrnym Polaczkiem.

Fascynujące jest też to, jak łatwo udaje się władzy stawać się rzecznikiem mniejszości przeciw większości. Omal nie popłakałem się, słysząc słowa pana Bodnara o nieszczęściu garstki obywateli pokrzywdzonych przy liczeniu głosów, nie biorąc pod uwagę krzywdy dla kilkudziesięciu milionów obywateli, jaką mogłoby przynieść unieważnienie ich wyborów!

Szlachetnie brzmiąca w teorii obrona praw mniejszości w praktyce często zmienia się w ich promocję, co rodzi w wielu chęć skorzystania z tej możliwości. Czy ktoś zbadał, na ile pomoc dla samotnej matki sprzyja destrukcji tradycyjnej rodziny, na ile rozbudowane prawa dziecka, dewastując oświatę, szkodzą najbardziej samym dzieciom? Ile pochopnych przypadków nieodwracalnej zmiany płci skończyło się niewyobrażalnymi tragediami, a jak często adopcja chłopczyków przez parę jednopłciową musiała skończyć się interwencją policji?

Z rodziną czy narodem jest jak z demokracją wedle Churchilla – posiada mnóstwo wad, ale nikt niczego lepszego mnie wymyślił. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Hanna Shen

Chińska wojna polityczna przeciwko Tajwanowi

eprasa.pl 0522f7d004



Szeroko zakrojone tajne operacje przeciwko Tajwanowi, prowadzone przez Komunistyczną Partię Chin, stanowią element kompleksowej strategii wojny politycznej, której celem jest aneksja Wyspy. Działania te wykraczają poza tradycyjne gromadzenie informacji wywiadowczych.

FOT. ADOBE STOCK

Na początku czerwca br. Tajwan obiegła informacja o postawieniu w stan oskarżenia czterech byłych członków rządzącej wyspą Demokratycznej Partii Postępu (DPP). Zatrzymani prowadzili działalność szpiegowską na rzecz Chin, w tym dostarczali Pekinowi tajne informacje dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Jednemu z oskarżonych, Huanowi Chu-jingowi, postawiono również zarzut „utworzenia organizacji przestępczej" na rzecz ChRL. Huang, który wcześniej pracował jako asystent radnego miasta Nowe Tajpej z DPP, Lee Yu-tiena, miał zostać zwerbowany przez chiński wywiad podczas prowadzenia interesów w Chinach w 2017 roku. Po powrocie na Tajwan Huang zbierał poufne informacje, w tym szczegóły wizyt prezydenta i wiceprezydenta w państwach sojuszniczych. Uzyskiwał je m.in. za pośrednictwem innego oskarżonego, Chiu Shih-yuana, byłego zastępcy szefa Tajwańskiego Instytutu Demokracji, think tanku DPP. Prokuratorzy wnioskują o wymierzenie Huangowi kary 18 lat i 6 miesięcy więzienia, a dla Chiu Shih-yuana – 8 lat. W pozyskiwaniu informacji wywiadowczych Huangowi i Chiu pomagali także Wu Zhang-yu, były doradca Biura Prezydenta, oraz Ho Jen-chieh, asystent szefa tajwańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Josepha Wu. Obecnie Joseph Wu pełni funkcję sekretarza generalnego Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Prokuratura domaga się wyroku 5 lat więzienia dla Wu Shang-yu i 9 lat dla Ho Jen-chieha. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że partia DPP, często określana jako proniepodległościowa, jest przez Pekin postrzegana jako jeden z największych wrogów. Sukces Komunistycznej Partii Chin (KPCh) w zrekrutowaniu szpiegów w takim środowisku ukazuje powagę problemu chińskiej infiltracji Tajwanu. I ta ostatnia sprawa szpiegowska to jedynie wierzchołek góry lodowej.

▶ Chińscy szpiedzy w wojsku

W styczniu tajwańskie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego opublikowało raport, w którym ostrzegało, że wywiad ChRL intensyfikuje działania mające na celu „wspieranie działalności wywrotowej w całym społeczeństwie Tajwanu, w tym budowanie piątej kolumny sabotażystów i zabójców przy wykorzystaniu zorganizowanych grup przestępczych". Tuż po tej publikacji oskarżono Kao An-kuo, emerytowanego generała tajwańskiej armii, oraz pięć osób z nim powiązanych o utworzenie „zbrojnej organizacji", mającej na celu przeprowadzenie sabotażu w imieniu sił ChRL w przy-

eprasa.pl 0622f7d004

padku inwazji. 12 marca prokuratura publicznie ujawniła akt oskarżenia, który został wydany pod koniec 2024 roku w sprawie szpiegostwa prowadzonego przez dwóch oficerów tajwańskich Sił Powietrznych Republiki Chińskiej (ROCAF). Zgodnie z zarzutami emerytowany major ROCAF, Shih Chun-Cheng, który po przejściu na emeryturę został zwerbowany przez oficerów wywiadu ChRL, sam zrekrutował Hsu Uchań-Chenga, czynnego lotnika ROCAF. Tajne materiały dostarczone przez Hsu zawierały informacje na temat rodzimej konstrukcji tajwańskiego pocisku przeciwokrętowego Hsiung Feng-3 oraz dane dotyczące reakcji sił zbrojnych Tajwanu na operacje wojskowe ChRL w rejonie Tajwanu. 26 marca sąd w Tajpej skazał czterech funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa wojskowego na kary więzienia za szpiegowanie na rzecz Chin. Wśród skazanych znaleźli się Lai Chung-yu, Lee Yu-hsi i Lin Yu-Kai, którzy pełnili służbę w Batalionie Żandarmerii Wojskowej, odpowiedzialnym za ochronę kompleksu biur prezydenckich, oraz Chen Wen-hao, przydzielony do Dowództwa Informacji, Łączności i Sił Elektronicznych Ministerstwa Obrony Narodowej. Zrekrutowani przez chiński wywiad wykonywali m.in. zdjęcia tajnych dokumentów w swoich miejscach pracy, a następnie przekazywali je swoim kontaktom, za co otrzymywali wynagrodzenie.

To tylko kilka spraw szpiegowskich z pierwszej połowy bieżącego roku, w które zamieszany był tajwański personel wojskowy. Każdego roku większość aresztowanych tajwańskich szpiegów – często nawet 80 proc. wszystkich spraw szpiegowskich – to obecni i byli żołnierze. Obrazuje to, jak bardzo poważnym problemem bezpieczeństwa narodowego Tajwanu jest penetracja jego armii przez KPCh.

Chińskie operacje w cyberprzestrzeni

Elementem wojny politycznej, którą Komunistyczna Partia Chin (KPCh) prowadzi przeciwko Tajwanowi, są także operacje w cyberprzestrzeni. Zgodnie z raportem amerykańskiego think tanku Global Taiwan Institute (GTI) zatytułowanym „Tajne operacje Komunistycznej Partii Chin przeciwko Tajwanowi", Tajwan doświadcza najwyższego wskaźnika cyberwłamań w regionie Azji i Pacyfiku. „Hakerzy wspierani przez ChRL dysponują zaawansowanymi umiejętnościami, w tym wyrafinowanymi i trudnymi do wykrycia technikami ataków, które są ukierunkowane na sieci rządowe, placówki dyplomatyczne oraz krytyczną infrastrukturę. Dodatkowo dochodzi do kradzieży własności intelektualnej z kluczowych sektorów przemysłu, zwłaszcza w obszarze półprzewodników, a także do współpracy z rosyjskimi cyberaktorami w celu wzmocnienia cyberataków" – czytamy w dokumencie GTI.

W połowie ubiegłego roku firma Recorded Future, specjalizująca się w dostarczaniu informacji na temat ataków hakerskich oraz incydentów związanych z bezpieczeństwem, opisała działania kilku chińskich grup hakerskich ściśle współpracujących z KPCh. Na przykład grupa Flax Typhoon, operująca z chińskiej prowincji Fujian, w okresie od końca 2023 roku do kwietnia 2024 roku wykorzystywała dzierżawione serwery oraz infrastrukturę sieciową jednego z tajwańskich uniwersytetów do atakowania tajwańskich sieci rządowych, zagranicznych placówek dyplomatycznych, uniwersytetów, ośrodków analitycznych oraz firm elektronicznych. Inna grupa, znana jako Storm-0558, koncentrowała swoje ataki na osobach z USA i Europy związanych z Tajwanem, w tym włamała się do konta e-mailowego republikańskiego kongresmena Dona Bacona, który często wyrażał swoje poparcie dla Tajwanu.

Hakerzy z Chin Ludowych prowadzą także liczne działania mające na celu wykradanie własności intelektualnej z tajwańskich firm, w tym od czołowych producentów w branży półprzewodników. W ramach jednej z takich prób, ujawnionej w 2020 roku, chińscy hakerzy uzyskali dostęp do sieci kor-

> Hakerzy z Chin Ludowych prowadzą liczne działania mające na celu wykradanie własności intelektualnej z tajwańskich firm, w tym od czołowych producentów w branży półprzewodników.

eprasa.pl 0522f7d004

poracyjnych, co umożliwiło im kradzież części projektów układów scalonych z firm z siedzibą w Parku Przemysłowym w Hsinchu, znanym jako tajwańska Dolina Krzemowa. Tego rodzaju działania mają na celu osłabienie dominacji tajwańskich firm produkujących półprzewodniki.

Analizując chińskie ataki hakerskie na Tajwan, nie sposób pominąć współpracy Chińskiej Republiki Ludowej z Federacją Rosyjską. Jak wskazuje raport GTI, „przez ostatnie 15 lat Pekin i Moskwa coraz bardziej się zbliżyły, co doprowadziło do równoległych operacji, wymiany informacji o podatnościach swoich celów, a być może nawet do skoordynowanych lub wspólnych działań". Na przykład wiadomo, że jedna z rosyjskich grup hakerskich przeprowadziła ataki typu DoS, które uniemożliwiają użytkownikom dostęp do określonego komputera lub sieci, wymierzone w tajwańskie instytucje finansowe, w tym Tajwańską Giełdę Papierów Wartościowych. GTI uważa, że współpraca rosyjsko-chińska w cyberprzestrzeni może przybrać znacznie bardziej zaawansowaną formę w przypadku ataku Pekinu na Tajwan. „Moskwa mogłaby z łatwością wspierać wojnę polityczną i informacyjną ChRL – w tym ataki na sieci komputerowe w czasach konfliktu – bez ponoszenia jakiegokolwiek znaczącego ryzyka" – czytamy w raporcie GTI.

Eksperci ostrzegają, że Tajwan musi znacząco wzmocnić swoje zdolności w zakresie cyberbezpieczeństwa, szczególnie w kontekście ochrony infrastruktury krytycznej. Udane cyberataki, w połączeniu z innymi prowokacjami ze strony agresora, mogą bowiem prowadzić do wybuchu totalnej wojny, co miało miejsce w przypadku Ukrainy. Rosyjskie operacje cybernetyczne wymierzone w Ukrainę były szeroko dokumentowane, zwłaszcza po aneksji Krymu w 2014 roku, a ich intensywność wzrosła w latach poprzedzających inwazję w 2022 roku.

Operacje wpływu Zjednoczonego Frontu

Zjednoczony Front (ZF) to struktura, która umożliwia Komunistycznej Partii Chin sprawowanie kontroli nad wszelkimi organizacjami społecznymi i politycznymi w kraju, a także nad chińskimi organizacjami działającymi za granicą. W 2022 roku, podczas Centralnej Konferencji Zjednoczonego Frontu, prezydent Xi Jinping wyraźnie podkreślił, że ZF musi „wdrażać ogólną strategię Partii w celu rozwiązania kwestii Tajwanu w nowej erze, rozszerzać i wzmacniać działania prozjednoczeniowe na Tajwanie oraz sprzeciwiać się separatystycznym i niepodległościowym dążeniom". Oznacza to, że ZF prowadzi operacje wpływu, mające na celu promowanie idei zjednoczenia poprzez lokalne inicjatywy skierowane do liderów społeczności i organizacji oddolnych, wymianę młodzieży, programy edukacyjne, działania kulturalne, współpracę gospodarczą oraz wspieranie prozjednoczeniowych polityków w czołowych partiach na Tajwanie. Amerykański think tank Jamestown Foundation zidentyfikował na Tajwanie ponad 150 organizacji, które mają silne powiązania ze Zjednoczonym Frontem i realizują wymienione operacje wpływu służące celom politycznym KPCh.

Obecnie kluczową grupą, na którą skierowane są operacje wpływu Zjednoczonego Frontu, jest tajwańska młodzież. Próby kształtowania propekińskiego nastawienia wśród młodych Tajwańczyków odbywają się poprzez organizowanie letnich obozów i wyjazdów turystycznych do Chin, promowanie wymian między uniwersytetami oraz oferowanie możliwości studiowania, odbywania staży, a nawet wsparcia w zakładaniu działalności gospodarczej w ChRL. Jedną z organizacji zaangażowanych w ten proces na Tajwanie jest fundacja byłego prezydenta Ma Ying-jeou. Ten polityk Kuomintangu (KMT) prezentuje propekińskie poglądy i podsyca antyamerykańskie nastroje, często strasząc Tajwańczyków, że w przypadku konfliktu z Chinami Stany Zjednoczone nie udzielą im wsparcia – co jest powtórzeniem narracji Pekinu.

Innym istotnym celem działań Zjednoczonego Frontu są politycy. Kuomintang, niegdyś postrzegany jako partia antykomunistyczna, stał się siłą polityczną, której działania coraz bardziej zbliżają ją do Komunistycznej Partii Chin. Wyżsi rangą politycy KMT często odwiedzają Chiny, a wizyty te zazwyczaj obejmują spotkania z przedstawicielami Zjednoczonego Frontu. W 2019 roku na Tajwanie powstała nowa partia – Tajwańska Partia Ludowa (TPP), której założycielem jest Ko Wen-je, były burmistrz Tajpej, obecnie zatrzymany w związku z licznymi zarzutami korupcyjnymi. Mimo że TPP jest młodą formacją, w 2020 roku zdobyła pięć mandatów w tajwańskim parlamencie liczącym 113 miejsc, a w wyborach w 2024 roku uzyskała osiem mandatów. KPCh, poprzez Zjednoczony Front, szybko nawiązała relacje z TPP, zapraszając polityków tej partii na różnorodne fora polityczne.

Oprócz działań skierowanych na główne partie na Tajwanie, Komunistyczna Partia Chin nawiązała również relacje z kilkoma mniejszymi ugrupowaniami na Wyspie, takimi jak Nowa Partia, Partia Najpierw Naród oraz Bezpartyjny Związek Solidarności. Przedstawiciele tych trzech grup politycznych są często zapraszani na fora polityczne organizowane w Chinach, które dotyczą relacji ChRL z Tajwanem. Tam zachęca się ich do promowania narracji Komunistycznej Partii Chin na temat Tajwanu, w tym idei zjednoczenia Wyspy z Chińską Republiką Ludową. ■

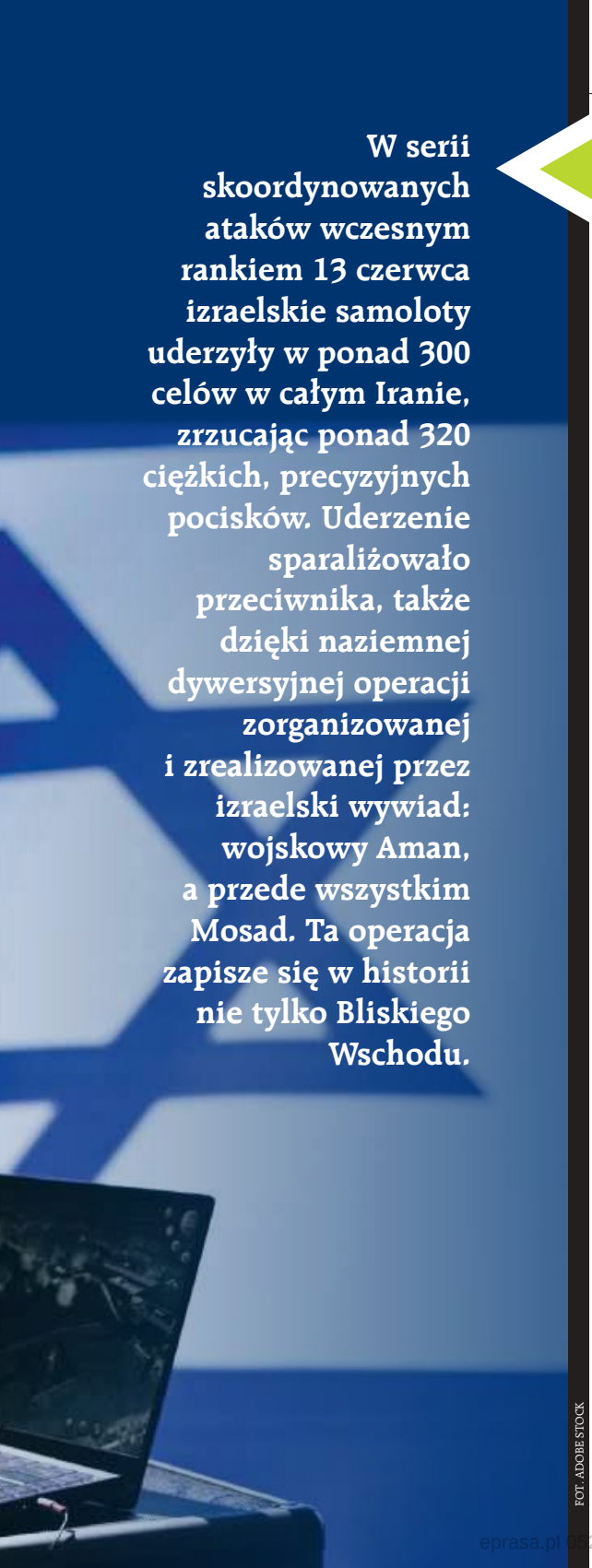
eprasa.pl 0522f7d004

Antoni Rybczyński

Operacja „Narnia”. Mosad upokorzył Iran



W serii skoordynowanych ataków wczesnym rankiem 13 czerwca izraelskie samoloty uderzyły w ponad 300 celów w całym Iranie, zrzucając ponad 320 ciężkich, precyzyjnych pocisków. Uderzenie sparaliżowało przeciwnika, także dzięki naziemnej dywersyjnej operacji zorganizowanej i zrealizowanej przez izraelski wywiad: wojskowy Aman, a przede wszystkim Mosad. Ta operacja zapisze się w historii nie tylko Bliskiego Wschodu.



FOT. ADOBE STOCK

Izraelskie ataki na Iran okazały się nadzwyczaj skuteczne dzięki zdolności Mosadu zinfiltrowania wrogiego kraju, zorganizowania przerzutu broni i utworzenia w Iranie bazy dronów. Izrael od lat prowadził w Iranie tajne operacje, które nie byłyby możliwe bez udziału lub wsparcia niektórych obywateli Iranu. Ta operacja rozpoczęła się nie wraz ze startem izraelskich bombowców w nocy 13 czerwca, lecz znacznie wcześniej – od szeroko zakrojonego zbierania danych wywiadowczych na terytorium Iranu. A następnie opracowania szczegółowego planu naziemnego wsparcia działań powietrznych izraelskiej armii IDF z wykorzystaniem zwerbowanych i przeszkolonych Irańczyków, wyposażonych w przemycone i zainstalowane systemy wojskowe, w rodzaju dronów i wyrzutni rakietowych.

Najważniejsze izraelskie agencje wywiadowcze odegrały kluczową rolę w przygotowaniu i realizacji operacji „Am K'Lavi" („Wschodzący Lew"). Sukces operacji możliwy był dzięki niespotykanej dotąd współpracy Mosadu z IDF, a dokładniej wywiadem wojskowym Aman. Zebrano informacje wywiadowcze na temat kluczowych postaci i obiektów, które należy wyeliminować już w pierwszych godzinach wojny. Mosad (skrót od hebrajskiej nazwy Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych) odniósł wiele zwycięstw w ciągu prawie 80 lat tajnych operacji, zdobywając wyjątkową reputację dzięki śmiałym działaniom szpiegowskim, innowacjom technologicznym i bezwzględnej przemocy. Operacja w Iranie nastąpiła zaledwie 10 miesięcy po tym, jak Mosad zdekapitował kierownictwo Hezbollahu – do historii przeszło wykorzystanie pagerów i radiotelefonów. Jeśli ktoś był pod wrażeniem skuteczności Mosadu w walce z sojusznikami Teheranu, to operacja w Iranie musi wręcz rzucać na kolana.

Iran zinfiltrowany

Przez dziesięciolecia Mosad zbudował w Iranie rozległą sieć informatorów, agentów i logistyki. Umożliwiło to przeprowadzenie szeregu operacji, w tym zabójstwo za pomocą zdalnie sterowanego automatycznego karabinu maszynowego czołowego irańskiego naukowca zajmującego się energią jądrową, który podróżował z dużą prędkością samochodem po odległej drodze, zainfekowanie złośliwym oprogramowaniem komputerów obsługujących kluczowe elementy irańskiego programu jądrowego oraz kradzież archiwum dokumentów dotyczących energii jądrowej. W ubiegłym roku Ismail Haniyeh, przywódca polityczny Hamasu, został zamordowany za pomocą bomby umieszczonej w jego ulubionym pokoju w rządowej rezydencji w Teheranie.

eprasa.pl 0622f7d004

Gdy w ciągu ostatniego roku Izrael zidentyfikował wznowienie irańskich wysiłków zmierzających do przekształcenia materiałów rozszczepialnych w broń, wywiad wojskowy i Mosad, a także izraelskie siły powietrzne, utworzyły specjalne grupy zadaniowe w celu monitorowania rozwoju sytuacji w Iranie.

Izraelska Dyrekcja Wywiadu Wojskowego (Aman) przez rok przygotowywała szczegółową bazę danych celów, koncentrując się na irańskiej infrastrukturze jądrowej, zakładach produkcji rakiet i wysokich rangą wojskowych. W okresie poprzedzającym atak Aman zidentyfikował tzw. centra grawitacji, na których należało się skupić, takie jak ośrodki siły ognia i program jądrowy. Porównał tysiące źródeł wywiadowczych i do marca tego roku rozpoczął tworzenie bazy celów. Dwie postacie odegrały kluczową rolę w przygotowaniu operacji: dyrektor Mosadu David Barnea i szef sił powietrznych gen. dyw. Tomer Bar. Według wysokiego rangą izraelskiego zaznajomionego ze szczegółami operacji, koordynacja działań Mosadu na ziemi i nalotów sił powietrznych była „zgrana na milimetry". Tym razem to Mosad opracował plan, a wojsko chętnie zaangażowało się w jego realizację. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Tzachi Hanegbi, długoletni zwolennik ataku na Iran, pomógł przekonać Netanjahu i szefa sztabu Sił Obronnych Izraela, generała broni Eyala Zamira, do zapewnienia wsparcia cywilnemu wywiadowi, przedstawiając plany gabinetowi bezpieczeństwa, który jednogłośnie je zatwierdził.

Agencja wywiadowcza rozpoczęła przygotowania do operacji z użyciem dronów już kilka lat temu. Wiedziała, gdzie Iran przechowuje pociski gotowe do wystrzelenia, ale musiała znaleźć się w pozycji umożliwiającej ich zaatakowanie, biorąc pod uwagę rozmiar kraju i odległość od Izraela. Mosad sprowadził quadcoptery kanałami handlowymi, często korzystając z pomocy nieświadomych partnerów biznesowych. Agenci w terenie zbierali amunicję i rozdzielali ją między zespoły. Izrael przeszkolił liderów zespołów w krajach trzecich, a oni z kolei przeszkolili pozostałych członków zespołów. Trzy dni przed rozpoczęciem wojny dziesiątki agentów Mosadu z elitarnej jednostki komandosów przeniknęły do kilku obszarów Islamskiej Republiki. Dotarli do wcześniej przygotowanych punktów spotkania, gdzie czekało już kilkudziesięciu lokalnych pomocników. Współpracownicy ci przygotowali miejsca spotkania, pojazdy, bezpieczne schronienia, sprzęt komunikacyjny i otworzyli wcześniej zaopatrzone magazyny. Agenci Mosadu zostali podzieleni na małe zespoły operacyjne. Mieli trzy główne zadania. Po pierwsze, mieli zmontować i wystrzelić drony z magazynów, aby unieruchomić irańskie systemy obrony powietrznej, zwłaszcza te, które nie zostały zniszczone podczas ataków w poprzednim roku. Miało to sparaliżować zdolność Islamskiej Republiki do działania przeciwko izraelskim siłom powietrznym. Po drugie, mieli pomóc w zabiciu irańskich naukowców. Po trzecie, mieli kontynuować zbieranie informacji wywiadowczych w czasie rzeczywistym, aby pomóc izraelskim siłom powietrznym w ocenie szkód wyrządzonych Iranowi i wykorzystać je do dalszych ataków.

Izraelowi udało się stopniowo przemycić do Iranu części dronów i rakiet przy użyciu skomplikowanych metod przemytu, w tym transportu ładunków ciężarówkami przez Irak, transportu komercyjnego, a także po prostu w bagażu pasażerów. Przetransportowane komponenty obejmowały elektroniczne zapalniki, ulepszone kamery elektroniczno-optyczne, baterie litowe, lekkie silniki, systemy nawigacji GPS i zabezpieczony sprzęt telekomunikacyjny. Podobno wszystko to było potem składane i przerabiane na systemy ofensywne w bazach, które Mosad stworzył w różnych częściach Iranu w ostatnich latach. Irańskie agencje informacyjne podały – już po ataku Izraela – że na przykład w mieście Rey odkryto trzypiętrowy budynek, który według nich służył jako baza do produkcji i przechowywania dronów-kamikadze. W jednym z pokoi na stołach rozłożone były części co najmniej jednego drona, elektroniczne kontrolery i inne elementy. Znaleziono tam również specjalny model drukarki 3D, która jest często używana do drukowania części dronów. W Isfahanie, gdzie znajduje się ważny irański obiekt jądrowy, zastępca komendanta policji prowincji ogłosił odkrycie warsztatu, w którym przechowywano „dużą ilość części i sprzętu wykorzystywanego do produkcji dronów i mikrolotów", oraz poinformował o aresztowaniu czterech osób. Według dostępnych informacji znaczna część prac montażowych była wykonywana przy użyciu technologii druku 3D i zasobów wewnętrznych, aby zminimalizować przemyt części i utrudnić irańskim służbom bezpieczeństwa i wywiadu śledzenie łańcucha dostaw.

Drony i rakiety

Jednym z kluczowych czynników sukcesu Izraela było umieszczenie na terytorium Iranu precyzyjnych, lekkich i zdalnie sterowanych systemów rakietowych. Umożliwiło to wystrzeliwanie rakiet bezpośrednio z terytorium Iranu bez fizycznej obecności operatora. Irańskie media pokazały pozostałości precyzyjnego przeciwpancernego systemu rakietowego Spike, wyprodukowanego przez izraelską firmę Rafa-

eprasa.pl 0522f7d004

el. Zdjęcia pokazują, że wyrzutnie Spike nie były umieszczone na samochodach ani dronach, ale na statywach naziemnych, zamaskowanych w terenie. Były one wyposażone w elektrooptyczne systemy naprowadzania, nowoczesne kamery i anteny satelitarne, umożliwiające odbiór poleceń na odległość. Rakiety Spike, mające zasięg ponad 25 km, umożliwiają prowadzenie ognia z ukrycia i są dynamicznie korygowane w locie. Operator może uzyskać obraz celu na żywo po wystrzeleniu rakiety i w czasie rzeczywistym podjąć decyzję o zmianie celu.

Kluczowym celem były irańskie systemy obrony powietrznej i radary. Wywiad izraelski zlokalizował ich położenie, a większość z nich została zniszczona przez izraelskie siły powietrzne w pierwszym uderzeniu. Na ziemi Mosad przeprowadził jednocześnie serię tajnych operacji sabotażowych w głębi Iranu, aby zniszczyć systemy obrony powietrznej i wyrzutnie rakiet balistycznych. W operacji brały udział setki agentów zarówno w Iranie, jak i w centrali, w tym specjalna jednostka irańskich agentów pracujących dla Mosadu. W środkowym Iranie oddziały komandosów rozmieściły systemy broni kierowanej na otwartych terenach w pobliżu irańskich wyrzutni rakiet ziemia-powietrze. W innym rejonie Iranu Mosad potajemnie rozmieścił systemy uzbrojenia i zaawansowane technologie ukryte w pojazdach. Kiedy rozpoczęła się izraelska ofensywa, broń ta została wystrzelona i zniszczyła irańskie cele obrony powietrznej. Mosad utworzył również bazę dronów bojowych. Podczas izraelskiego ataku drony zostały aktywowane i wystrzelone w kierunku wyrzutni rakiet ziemia-ziemia znajdujących się w bazie Esfajabad w pobliżu Teheranu, niszcząc tamtejsze rakiety balistyczne, zanim zdążyły one zostać wystrzelone w kierunku Izraela. IDF były przygotowane na najgorszy scenariusz, w którym Iran szybko wystrzeliłby w kierunku Izraela 300–500 pocisków balistycznych. Zamiast tego Iran odpowiedział kilka godzin później około 100 dronami, które zostały łatwo zniszczone. Ataki rakietowe, i to też o mniejszej intensywności, miały miejsce dopiero po kilkudziesięciu godzinach.

Kolejnym celem stały się kluczowe postaci dowództwa Korpusu Strażników Islamskiej Rewolucji (IRGC) i armii. W ten sposób Izrael dążył do sparaliżowania systemu podejmowania decyzji wojskowych: zniszczenia struktury dowództwa, przerwania łańcucha przekazywania rozkazów i osłabienia koordynacji odpowiedzi wojskowej Iranu. W tym celu Mosad i jego pomocnicze jednostki operacyjne wykorzystały wywiad terenowy i inteligentną broń. Niektóre z ataków w pierwszych godzinach operacji były wymierzone w rezydencje i biura wysokich rangą dowódców wojskowych. Za najbardziej spektakularnym elementem tej części operacji stał wywiad wojskowy Aman, ściśle współpracujący z Mosadem. Wysyłając sfałszowane sygnały, zwabił najwyższych dowódców powietrznych sił IRGC na spotkanie w nocy z 12 na 13 czerwca w podziemnym centrum dowodzenia. Około godz. 3 nad ranem zostali oni trafieni izraelskim pociskiem. Izrael znał protokół awaryjny i lokalizację bunkra. Zniszczył go, zabijając dowódcę i szefów sił dronów oraz obrony powietrznej. To sparaliżowało reakcję armii irańskiej na atak Izraela na wiele godzin.

Jednym z najważniejszych elementów operacji „Wschodzący Lew" było zniszczenie w jak największym stopniu irańskiego programu atomowego. Nie tylko ukrytych pod ziemią obiektów… Akcja wymierzona w irańskich naukowców pracujących nad bronią jądrową nosiła kryptonim „Narnia", co miało odzwierciedlać jej nieprawdopodobny, pochodzący niemal z fantasy charakter. Funkcjonariusze wywiadu podzielili irańskich naukowców na cztery kategorie, szeregując ich od najwyższego do najniższego priorytetu. Najwyżej sklasyfikowano naukowców posiadających największą wiedzę wojskową i najtrudniejszych do zastąpienia. Następnie Izrael sporządził listę osób do likwidacji, gotową do wykonania na rozkaz, z najniebezpieczniejszymi naukowcami na czele. W pierwszych godzinach ataku na Iran uderzono w dziewięciu naukowców. Wszyscy zostali zabici niemal jednocześnie podczas snu w swoich domach. „Naukowcy ci wierzyli, że ich domy są bezpieczne" – powiedział wysoki rangą izraelski urzędnik. „Nigdy nie wyobrażali sobie, że zostaną zabici we własnych sypialniach". Operacja „Narnia" zlikwidowała całą czołówkę irańskich naukowców zajmujących się bronią jądrową, którzy posiadali całą wiedzę na temat programów jądrowych i wzbogacania uranu.

▶ Najskuteczniejszy wywiad świata?

Przez dziesięciolecia niewielu słyszało o Mosadzie, który został formalnie utworzony w 1949 roku. Byli agenci mieli zakaz informowania nawet swoich rodzin o swojej pracy, a służba nigdy nie przyznała się do udziału w jakiejkolwiek operacji. Przez dziesięciolecia Mosad nadzorował wieloletnie tajne operacje. Podobnie jak wiele innych działań tej organizacji, również te zakończyły się mieszanym sukcesem. Niektórzy obwiniają Mosad o zignorowanie ostrzeżeń dotyczących brutalności i nienawiści maronickiej milicji w Libanie oraz za zachęcanie Izraela do katastrofalnej inwazji na ten kraj w 1982 roku, w której zginęły tysiące cywilów. Mo-

eprasa.pl 0522f7d004

sad odegrał również znaczącą, choć wciąż mało znaną rolę w potajemnym dostarczaniu broni do Iranu ajatollaha Chomeiniego, aby pomóc w walce z Irakiem Saddama Husajna, w ramach afery Iran-Contras za prezydentury Ronalda Reagana. Ale najwięcej mówi się o Mosadzie w ostatnich latach.

Lider polityczny Hamasu Ismail Haniyeh został zabity 31 lipca 2024 roku podczas wizyty w Teheranie związanej z inauguracją prezydencką Pezeszkiana. Przebywał w domu gościnnym w kompleksie chronionym przez IRGC. Zginął w eksplozji ładunku wybuchowego, który został dwa miesiące wcześniej podłożony w sypialni. 17 września 2024 roku w Libanie, głównie w bastionach Hezbollahu, jednocześnie wybuchły tysiące pagerów. Ich użytkownicy i osoby znajdujące się w pobliżu zostali zabici lub ranni. Następnego dnia w podobny sposób wybuchły setki radiotelefonów. Dwa miesiące później premier Benjamin Netanjahu przyznał, że była to operacja izraelska. W wywiadzie dla stacji telewizyjnej CBS dwaj byli agenci Mosadu ujawnili szczegóły operacji. Według nich Mosad ukrył ładunki wybuchowe w bateriach zasilających krótkofalówki — zazwyczaj są one umieszczane w kamizelce, bliżej serca użytkownika. Według agentów, Hezbollah, nie podejrzewając niczego, dziesięć lat temu nabył ponad 16 tys. radiotelefonów „w dobrej cenie" od firmy-przykrywki, a później zakupił również 5 tys. pagerów.

W listopadzie 2020 roku w mieście Absaard, na wschód od Teheranu, ostrzelano konwój, w którym jechał Mohsen Fakhrizade – najwybitniejszy irański naukowiec zajmujący się energią jądrową. Zginął od kul wystrzelonych z zainstalowanego w samochodzie, zdalnie sterowanego karabinu maszynowego, wyposażonego w system sztucznej inteligencji. Iran już wcześniej oskarżał Izrael o zabójstwo czterech innych irańskich naukowców zajmujących się energią jądrową, w latach 2010–2012. W 2010 roku Mahmoud al-Mabhouh, jeden z przywódców wojskowych Hamasu, został zlikwidowany w hotelu w Dubaju. Początkowo jego śmierć wyglądała na naturalną, jednak policja po przeanalizowaniu nagrań z kamer monitoringu ustaliła, że było to zabójstwo. Al-Mabhouh został najpierw porażony prądem elektrycznym, a następnie uduszony. Jeden z przywódców zbrojnego skrzydła Hamasu, Yahya Ayyash, został zaś zabity w 1996 roku za pomocą 50 gramów materiału wybuchowego umieszczonego w telefonie komórkowym Motorola Alpha. Ayash był głównym producentem bomb w Hamasie. Organizował skomplikowane ataki na cele izraelskie. Na początku lat 80. XX wieku Mosad, zgodnie z poleceniem premiera Menachema Begina, potajemnie przetransportował ponad 7 tys. etiopskich Żydów do Izraela przez terytorium Sudanu, wykorzystując jako przykrywkę fikcyjny ośrodek nurkowy. Ponieważ Sudan był wrogiem Izraela i członkiem Ligi Państw Arabskich, grupa agentów Mosadu działała w ścisłej tajemnicy: założyli „ośrodek" na wybrzeżu Morza Czerwonego w Sudanie i wykorzystali go jako bazę. W ciągu dnia udawali personel hotelu, a nocą potajemnie wywozili Żydów, którzy pieszo przekraczali granicę z sąsiedniej Etiopii – drogą powietrzną i morską. Operacja trwała co najmniej pięć lat i zanim została ujawniona, agenci Mosadu zdążyli już zniknąć.

Jednym z najbardziej znanych osiągnięć Mosadu jest schwytanie w 1960 roku nazistowskiego oficera Adolfa Eichmanna, który ukrywał się w Argentynie. Pamiętać należy też o operacji „Gniew Boży" (likwidacja organizatorów zamachu podczas igrzysk olimpijskich w Monachium) czy operacji „Entebbe". Przeprowadzona w Ugandzie w 1976 roku, jest uważana za jedną z najbardziej udanych misji wojskowych Izraela. Operację przeprowadzili wojskowi, a Mosad dostarczył dane wywiadowcze. Dwóch członków Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i dwóch ich niemieckich wspólników porwało samolot lecący z Tel Awiwu do Paryża i przekierowało go do Ugandy. Zakładnicy, pasażerowie i załoga, byli przetrzymywani na lotnisku w Entebbe. Pasażerowie z paszportami innymi niż izraelskie i nieżydowskimi nazwiskami zostali uwolnieni, a jako zakładnicy pozostało 105 osób. Izraelskie siły specjalne przeprowadziły szturm na lotnisko i uwolniły prawie wszystkich zakładników. W trakcie operacji zginęło trzech zakładników, wszyscy porywacze, kilku ugandyjskich żołnierzy, a także dowódca operacji Jonatan Netanjahu – brat obecnego premiera Izraela.

Jednak nawet Mosad zaliczał wpadki i doznawał bolesnych porażek. Na przykład nalot na przywódcę Hamasu Mahmouda az-Zaharę w 2003 roku. Terrorysta przeżył, zginęli jego bliscy. W 1997 roku Mosad próbował otruć szefa biura politycznego Hamasu, Khaleda Mashala, w Jordanii – operacja ta doprowadziła do poważnego kryzysu dyplomatycznego. Próba nie powiodła się, agenci zostali zatrzymani, a Izrael został zmuszony do dostarczenia antidotum, aby uratować życie Mashalowi. Dwa razy Mosad nie ostrzegł przed zewnętrzną agresją. Arabowie zaskoczyli kompletnie Izrael w 1973 roku (wojna Yom Kippur). Niemal dokładnie 50 lat później izraelskie służby doznały jednej z najcięższych porażek w historii: mowa oczywiście o ataku Hamasu na pogranicze w południowym Izraelu 7 października 2023 roku. Paradoksalnie, tamta klęska otworzyła drogę do sukcesu państwa żydowskiego (i Mosadu) w walce z Hezbollahem i Iranem. ■

eprasa.pl 0522f7d004



Małgorzata Matuszak

Czym jest... podróż

Podróż, zdawać by się mogło, jest pojęciem dość prostym, a jednak kryje w sobie wiele znaczeń. Może być używane zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym.

W najbardziej podstawowym ujęciu podróż to opuszczenie miejsca stałego pobytu i przemierzanie przestrzeni w celu dotarcia do innego, wyznaczonego miejsca. Z reguły więc wiąże się z określonym celem, choć istnieje również możliwość podróży bez celu. Ta druga przybierać może formę tułaczki, podczas której podróżnik pozbawiony jest stałego miejsca schronienia, albo być świadomym wyborem – decyzją o podróżowaniu dla samego aktu przemieszczania się, a podróż staje się celem samym w sobie. Słynna fraza „droga jest celem" podkreśla właśnie wartość procesu dochodzenia do celu, nie zaś samego doń dotarcia.

Intencją podróży, postrzeganej jako stan przejściowy, czyli łącznik między dwoma miejscami w przestrzeni, jest zamiar osiągnięcia pewnego miejsca w przestrzeni, w którym jeszcze się nie było czy też w którym już się było, ale się do niego powraca. Takiej podróży przyświeca zawsze cel. Nie zawsze zamierzony cel podróży udaje się jednak nam osiągnąć. Bywa, że nie docieramy tam, gdzie chcieliśmy. I wtedy dojść możemy do wniosku, że to nie cel decyduje o tym, czy podróż była ważna. Czasem największy dar przychodzi z zagubienia. Porażka celu nie musi oznaczać klęski drogi, a przeciwnie – może oczyścić ją z iluzji.

Podróż zawiesza nas między miejscami, pozbawia zakorzenienia, przynależności, a jednocześnie otwiera na nowe przestrzenie, nowe doświadczenia. Nawet podróż odbywana dla samej podróży jest taką formą tymczasowości – zgodą na przebywanie w stanie nieustannego zawieszenia między miejscami, które się przemierza. Ten, kto nigdzie nie ma domu, czyni wprawdzie swoim domem cały świat, lecz jest to dom z konieczności, nie zaś z wyboru. Podróż może być właśnie tym – zgodą na niepewność, na życie między przestrzeniami, bez trwałego osadzenia. Wystawiając podróżnika na wyzucie się poczucia przynależności do jednego miejsca, otwiera go na nowe.

Tymczasowość i zawieszenie nie są jednak tylko brakiem – są także otwarciem. Podróżujący, rezygnując na moment z przynależności, zyskuje szansę zobaczenia świata inaczej, na nowo. Przebywa w stanie „nigdzie", który można nazwać przestrzenią przejścia, podróżowaniem właśnie. To stan wyrwania z kontekstu, z rytuału codzienności, z oswojonych punktów odniesienia. Podróżnik tymczasowo nie należy do konkretnego miejsca w czasie i w przestrzeni – nie przynależy ani do domu, ani do celu. Jest zawieszony zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. W tym sensie podróż staje się rodzajem wykroczenia poza ograniczenia związane z egzystencją ludzką, która jest przypisana do określonego miejsca i czasu.

W kulturze odnajdujemy wiele metafor podróży – jako drogi duchowej, jako dojrzewania, jako egzystencjalnego przekraczania. Podróż ma w sobie potencjał inicjacji – przekraczania granic geograficznych, czasowych, duchowych. Jest stanem „gdzie indziej", który burzy porządki i pozwala na narodziny nowego rozumienia tego, co „zrazu i zwykle", nam znane. Nawet nasz wakacyjny wyjazd, choć ma na celu odpoczynek od pracy, relaks i zabawę, może stać się podróżą. To wewnętrzna postawa, sposób bycia w drodze czyni z wyjazdu podróż. Można wszak być na końcu świata i nie wyjść z własnych granic, i można też przejść kilka ulic od domu, by poczuć, że coś się w nas naprawdę poruszyło. Różnica nie tkwi w dystansie, lecz w głębi.

> W KULTURZE ODNAJDUJEMY WIELE METAFOR PODRÓŻY – JAKO DROGI DUCHOWEJ, JAKO DOJRZEWANIA, JAKO EGZYSTENCJALNEGO PRZEKRACZANIA.

Święty Augustyn pisał: „Życie jest podróżą duszy, która nieustannie poszukuje sensu". W tej perspektywie podróż staje się nie tylko przemieszczaniem się w przestrzeni, lecz przede wszystkim ruchem wewnętrznym. Jest to wyjście poza siebie, by spotkać siebie inaczej. I nawet jeśli prowadzi donikąd, pozostawia ślad – w duszy, w myślach, w tożsamości. Dlatego podróż jest zawsze czymś więcej niż tylko przemieszczaniem się. Jest spotkaniem z tym, co obce i nowe, ale też z tym, co nieoczekiwane we własnym wnętrzu. ■

eprasa.pl 0522f7d004

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiński trop w protestach w Los Angeles

Jednym ze sponsorów organizacji Partia Socjalizmu i Wyzwolenia oraz Forum Ludowe, które stoją za protestami w Los Angeles przeciwko działaniom administracji Donalda Trumpa wymierzonym w nielegalną imigrację, jest Neville Roy Singham, amerykański miliarder, od lat mieszkający w Chinach. Singham urodził się w Chicago w 1954 roku. Jego ojciec pochodził z Birmy i kształcił się na amerykańskich uczelniach, natomiast matka pochodziła z Kuby. W młodości Singham był członkiem Ligi Rewolucyjnej Czarnych Robotników, maoistowskiej organizacji działającej w Detroit. Uczęszczał na Uniwersytet Howarda w Waszyngtonie, a następnie założył w swoim rodzinnym mieście firmę konsultingową dla przedsiębiorstw zajmujących się leasingiem sprzętu. W 1993 roku założył firmę ThoughtWorks, specjalizującą się w konsultingu IT oraz tworzeniu oprogramowania na zamówienie i usługach transformacji cyfrowej. Dzięki innowacyjnym rozwiązaniom firma szybko zdobyła pozycję światowego lidera w swojej branży, co zaowocowało umieszczeniem Singhama na liście „Top 50 Global Thinkers" magazynu „Foreign Policy" w 2009 roku. ThoughtWorks otworzyło swoje biuro w Pekinie w 2005 roku. W latach 2001–2008 Singham pełnił funkcję doradcy w firmie Huawei, która jest powiązana z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Po sprzedaży ThoughtWorks w 2017 roku, Singham na stałe osiedlił się w Chinach. W 2019 roku założył nową firmę konsultingową, współpracując z partnerami związanymi z aparatem propagandowym Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Od 2023 roku jego biuro znajduje się w Szanghaju, gdzie współdzieli przestrzeń z Grupą Maku, której celem jest edukowanie cudzoziemców na temat osiągnięć Chin na arenie międzynarodowej. W lipcu 2023 roku Singham uczestniczył w warsztatach KPCh dotyczących międzynarodowej promocji partii. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę Singham potajemnie finansował działania mające na celu sprzeciwienie się rozszerzeniu NATO. Wielokrotnie wychwalał również Hugo Cháveza, opisując Wenezuelę pod jego rządami jako „fenomenalnie demokratyczne miejsce". Był także jednym ze sponsorów propalestyńskich protestów na amerykańskich kampusach uniwersyteckich w 2024 roku.

Podczas protestów w Los Angeles, sponsorowana przez Singhama komunistyczna Partia Socjalizmu i Wyzwolenia zamieszczała aktualizacje dotyczące zamieszek na platformie społecznościowej X, określając aresztowania nielegalnych imigrantów jako „wojnę toczoną ze społecznościami imigrantów". Oskarżała jednocześnie Służbę Imigracyjną i Celną USA o „porywanie naszych sąsiadów, przyjaciół i rodzin". W te działania dezinformacyjne zaangażowana była także druga organizacja sponsorowana przez Singhama – Forum Ludowe. Grupa ta w przeszłości wychwalała politykę Chin dotyczącą pandemii COVID-19 i zorganizowała wydarzenie w Nowym Jorku, świętujące rządy KPCh jako te, które „przekształciły nie tylko Chiny, lecz także świat".

11 czerwca dyrektor FBI Kash Patel ogłosił, że kierowana przez niego organizacja rozpoczęła badania dotyczące przyczyn zamieszek przeciwko służbom migracyjnym. W szczególności analizowane są powiązania finansowe organizacji odpowiedzialnych za te zamieszki, w tym Partii Socjalizmu i Wyzwolenia oraz Forum Ludowego. Dwa dni później grupa republikanów z Izby Reprezentantów ogłosiła wszczęcie dochodzenia w sprawie działalności Neville'a Roya Singhama. Zamierzają wezwać go na przesłuchanie przed Kongresem, aby zbadać źródła finansowania tego, co

eprasa.pl 0522f7d004

amerykańscy konserwatywni politycy określają mianem „grup komunistycznych", powiązanych zarówno z zamieszkami w Los Angeles, jak i z Komunistyczną Partią Chin.

Wskazując na znaną doktrynę strategicznej dywersji KPCh, republikańscy kongresmeni wyrażają obawy, że organizacje sponsorowane przez Singhama mogą być wykorzystywane do promowania interesów Pekinu. „Pod rządami sekretarza generalnego Xi Jinpinga KPCh jest znana z tzw. strategii siania niezgody, która odnosi się do działań mających na celu zaostrzenie wewnętrznych sporów w krajach uznawanych przez KPCh za wrogie, co odwraca uwagę tych państw od rzeczywistych zagrożeń" – napisali w liście członkowie Republikańskiej Komisji Nadzoru Izby Reprezentantów. „Jeśli rzeczywiście ktoś realizuje tę strategię w imieniu KPCh, ma obowiązek zarejestrowania się w Departamencie Sprawiedliwości USA jako agent działający na rzecz zagranicznych mocodawców oraz musi ujawnić swoje działania i powiązania finansowe" – dodali kongresmeni.

Pekin ustępuje przed Leonem XIV

Władze Chin oficjalnie uznały jednego z podziemnych biskupów. 11 czerwca rzecznik Watykanu, Matteo Bruni, ogłosił, że Stolica Apostolska i Pekin osiągnęły porozumienie dotyczące nominacji Josepha Lin Yunnana na biskupa diecezji Fuzhou w prowincji Fujian. 73-letni duchowny uzyskał święcenia kapłańskie w 1984 roku, po ukończeniu czteroletnich studiów w lokalnym seminarium. W 2017 roku został tajnie konsekrowany na biskupa. Pełnił funkcję proboszcza w kilku parafiach archidiecezji Fuzhou, był także nauczycielem w seminarium w Fuzhou, zastępcą dyrektora diecezjalnej komisji ekonomicznej, pełnił obowiązki administratora diecezjalnego. Przed tajną konsekracją biskupią był administratorem apostolskim w Fuzhou. Uznanie przez Pekin biskupa z Kościoła podziemnego, wiernego Watykanowi, stanowi nie tylko „znaczący krok" dla samej diecezji, lecz także dla relacji między Watykanem a Chinami. Tuż przed rozpoczęciem konklawe, władze komunistyczne w Pekinie wykorzystały okres *sede vacante* – czas między śmiercią jednego papieża a wyborem następnego – do przeforsowania nominacji dwóch nowych biskupów. Papież Leon XIV będzie musiał podjąć decyzję, czy uznać te kontrowersyjne nominacje, ponieważ obaj duchowni wskazani przez Pekin są silnie związani z Komunistyczną Partią Chin.

Stolica Apostolska podpisała w 2018 roku tajne porozumienie z Pekinem dotyczące nominacji biskupów. Umowa ta była już kilkakrotnie przedłużana, ostatnio w 2024 roku, i budzi wiele kontrowersji. W wywiadzie udzielonym w 2020 roku „Gazecie Polskiej" emerytowany ordynariusz Hongkongu, kardynał Joseph Zen, określił jej zawarcie jako zdradę Kościoła w Chinach. „Zniszczono Kościół podziemny, a u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach znajdują się oportuniści" – stwierdził kard. Zen.

Fakt, że na początku pontyfikatu Leona XIV Pekin ustąpił w kwestii nominacji podziemnego biskupa, interpretuje się jako sygnał, iż KPCh ma nadzieję, że nowy papież nie unieważni umowy zawartej przez Franciszka.

Tajwan uderza w Huawei

14 czerwca Ministerstwo Gospodarki Tajwanu dodało łącznie 601 podmiotów do swojej czarnej listy strategicznych firm objętych kontrolą. Ograniczenia w dostępie do tajwańskich chipów dotknęły m.in. chińskie firmy Huawei oraz Semiconductor Manufacturing International Corporation (SMIC). Oznacza to, że tajwańskie przedsiębiorstwa będą mogły wysyłać swoje produkty do SMIC lub Huawei jedynie po uzyskaniu specjalnej licencji rządowej. Decyzja Tajwanu jest odpowiedzią na rosnące napięcia technologiczne i geopolityczne między USA, Chinami a Tajwanem, szczególnie po ujawnieniu w 2024 roku, że Huawei obchodził sankcje, zlecając TŚM produkcję 2 mln chipów AI Ascend 910 za pośrednictwem chińskiej firmy Sophio Technologies. Tajpej zacieśnia współpracę z Waszyngtonem, który w 2018 roku wprowadził sankcje na Huawei i SMIC, oskarżając te firmy o powiązania z chińskim wojskiem oraz o stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. Ograniczenia nałożone przez Tajwan, będący półprzewodnikowym gigantem, będą miały poważne konsekwencje dla Chin. Utrudnią one dostęp do zaawansowanych układów AI i 5G, które są kluczowe dla smartfonów, superkomputerów oraz infrastruktury telekomunikacyjnej. SMIC już teraz zmaga się z problemami technicznymi oraz ograniczonym budżetem na badania i rozwój.

Podczas gdy wcześniejsze rządy Tajwanu zachowywały pewien stopień dwuznaczności w celu ochrony interesów handlowych z Chinami, obecna administracja prezydenta Lai Ching-te wykazuje większą gotowość do dostosowania się do polityki technologicznej Stanów Zjednoczonych. Wyraźniejsze opowiedzenie się po stronie USA i ich sojuszników otwiera Tajpej na wzmocnioną współpracę w zakresie produkcji chipów, badań oraz transferu technologii wykorzystywanych w sektorze obronnym. Ta decyzja wzmacnia również narrację Tajwanu o produkcji tzw. chipów demokracji. To termin ukuty przez prezydenta Laia, który wezwał do utworzenia sojuszu na rzecz „chipów demokracji", co ma na celu odróżnienie Tajwanu od autorytarnych ekosystemów technologicznych. ■

eprasa.pl 0522f7d004

opracował Antoni Rybczyński

Bałkany. Tam Rosja zderza się z Zachodem

Zachodnia część Bałkanów stanowi wciąż czarną dziurę na mapie zintegrowanej w ramach UE i NATO Europy. Rosja próbuje to wykorzystać, przede wszystkim używając Serbów do destabilizacji regionu. Dla Zachodu to poważne wyzwanie.

W 1888 roku, na pokolenie przed wybuchem I wojny światowej, niemiecki mąż stanu Otto von Bismarck przewidział, że wielka wojna europejska wybuchnie z powodu „cholernie głupiej sprawy na Bałkanach". Napięcia w Europie Południowo-Wschodniej mają niepokojącą tendencję do angażowania zewnętrznych mocarstw, co czasami prowadzi do tragicznych konsekwencji. Region ten przeżywa kolejną falę sporów, które grożą wciągnięciem NATO, jeśli napięcia będą nadal rosły. Sojusz Atlantycki musiał dwukrotnie interweniować militarnie w latach 90. XX wieku, aby rozwiązać wojny bałkańskie wynikające z rozpadu Jugosławii. Rosja, osłabiona i podzielona w następstwie bolesnego upadku komunizmu, nie zdołała interweniować przeciwko NATO. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia – pisze były analityk amerykańskiego wywiadu (John Schindler, „Putin pokazuje NATO swoje niebezpieczne bałkańskie karty", Washington Examiner, 24 kwietnia 2025).

Gdy uwaga Europy skupiona jest na Ukrainie, napięcia na Bałkanach rosną, a przywódcy regionu obawiają się, że Władimir Putin wykorzysta ten moment, aby dalej eksploatować linie podziałów w byłej Jugosławii. Putin chce utrzymywać region Bałkanów w stanie destabilizacji, wykorzystując skupienie Europy na Ukrainie – powiedział w wywiadzie dla Politico brytyjski minister spraw zagranicznych David Lammy po tym, jak na początku kwietnia spotkał się w ubiegłym tygodniu z przywódcami Serbii i Kosowa. „Putin chce utrzymać region w stanie destabilizacji, prowadzenia przeciwko niemu wojny cybernetycznej i hybrydowej" – podkreślił Lammy. Bałkany Zachodnie są określane jako „drugi punkt zapalny" przez wysokich rangą przedstawicieli brytyjskiego rządu, a w związku z eskalacją napięć Wielka Brytania naciska na wszystkie sześć państw regionu, aby przystąpiły do UE w celu powstrzymania wpływów Rosji. Wszystkie sześć państw Bałkanów Zachodnich starają się o członkostwo w UE, co jest długotrwałym procesem, w którym geopolityka może być równie ważna jak realizacja zadań związanych z dostosowaniem. Państwa te stoją przed poważnymi wyzwaniami, zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi. Na przykład Bośnia i Hercegowina znalazła się w kryzysie, ponieważ bośniacki serbski przywódca Milorad Dodik uniknął aresztowania za swoją separatystyczną politykę. Tymczasem Serbia oskarża Kosowo o represjonowanie mniejszości serbskiej, a Kosowo obwinia Serbię za przemoc na swoim terytorium (Sam Blewett, „Putin chce z Bałkanów Zachodnich zrobić kolejne pole gry – ostrzega Wlk. Brytania", Politico, 9 kwietnia 2025).

Rosyjski przyczółek na Bałkanach

Rosja ma kilka celów związanych z ingerencją na Bałkanach Zachodnich. Po pierwsze, jeśli Rosja zdoła wywołać chaos na południowo-wschodnich krańcach Europy, prawdopodobnie będzie mogła pomóc w odwróceniu lub zakończeniu takiego konfliktu. Daje to Rosji przewagę nad Zachodem: jeśli współpraca Rosji będzie niezbędna do mediacji w konflikcie na Bałka-

eprasa.pl 0522f7d004

nach, Putin będzie mógł zażądać od NATO ustępstw, być może w sprawie Ukrainy, w zamian za złagodzenie napięć na Bałkanach. Groźba konfliktu na Bałkanach dodatkowo zaostrza napięcia w i tak już napiętych stosunkach między członkami NATO. Sojusznicy są już podzieleni w kwestii reakcji na wojnę w Ukrainie i poziomu wsparcia, jakie należy udzielić Kijowowi. Kolejny konflikt, tym bardziej w samym sercu Europy, jeszcze bardziej utrudniłby współpracę w ramach NATO, zwłaszcza gdyby dotyczył Kosowa, którego nie uznaje kilka państw członkowskich NATO. Rosja postrzega również Bałkany Zachodnie jako sposób na skomplikowanie narracji wokół rosyjskiej inwazji na Ukrainę: Rosja wskazuje na wsparcie Zachodu, które doprowadziło do niepodległości Kosowa, jako pretekst do okupacji terytoriów Ukrainy. Jeśli NATO miało prawo chronić Kosowo przed Serbią, to Rosja ma prawo chronić Rosjan na Krymie i w tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republice Ludowej. Ta dyplomatyczna „polityka podwójnych standardów" może wydawać się absurdalna, biorąc pod uwagę, że Rosja nigdy nie uznała niepodległości Kosowa, ale nie o to chodzi. Narracja ta pomaga Kremlowi zamazać obraz nielegalnej inwazji na Ukrainę. Niestabilność na Bałkanach Zachodnich stwarza Rosji scenariusz, w którym wszyscy wygrywają. Jeśli *status quo* będzie się utrzymywać, NATO i Unia Europejska nie będą w stanie powstrzymać chaosu i niestabilności w tym regionie i będą postrzegane jako bezsilne i pozbawione zasad. Jeśli zostaną zmuszone do podjęcia rozmów z Rosją, Putin wykorzysta region do uzyskania ustępstw w innych kwestiach. Z drugiej strony, gdyby wybuchła gorąca wojna i NATO podjęło wyzwanie, skutecznie interweniując przeciwko Serbii lub jej sojusznikom, nadal stanowiłoby to poważne odwrócenie uwagi od obrony Ukrainy i korzystnie wpłynęłoby na pozycję militarną Rosji w tym regionie. (Peter LaBelle, Ivana Stradner, „Czy działania polityczne Rosji na Bałkanach będą paliwem dla kolejnej wojny?", Foreign Policy Research Institute, 17 czerwca 2025).

Zaangażowanie Rosji na Bałkanach Zachodnich nie jest jednak wspierane przez tradycyjne siły zbrojne. Nie ma armii okupacyjnej, nie ma roszczeń terytorialnych. Zamiast tego Rosja wykorzystuje przestrzeń informacyjną jako środek manipulacji. Kluczową rolę odgrywają służby specjalne. Rozkwitają w szarej strefie między dyplomacją, korupcją, nacjonalizmem i logistyką. Od ambasad w Sarajewie i Belgradzie po kluby weteranów w Banja Luce i rafinerie ropy naftowej w Brodzie, Kreml stworzył prężną sieć, która zapewnia dostęp do informacji wywiadowczych w politycznej i gospodarczej strukturze Bałkanów Zachodnich. Nie jest to architektura siły, ale dopasowania: system dostosowany do wykorzystywania słabego nadzoru, fragmentacji instytucjonalnej i spójności elit. Rosyjskie służby wywiadowcze na Bałkanach nie działają poprzez pojedyncze operacje, lecz poprzez stałą obecność opartą na umowach prawnych, programach kulturalnych, fasadach humanitarnych i nacjonalistycznych pośrednikach, które razem umożliwiają długotrwałą subwersję. („Hybrydowa architektura rosyjskiego wywiadu na Bałkanach Zachodnich", 3Gimbals, 18 czerwca 2025).

Z tej architektury ambasad, misji wielostronnych, programów kulturalnych i platform humanitarnych wyłania się spójna strategia. Rosja buduje drugą warstwę infrastruktury na Bałkanach Zachodnich w celu wywierania wpływu. Platformy te pozwalają Moskwie utrzymać dostęp do wywiadu, budować wpływy polityczne i przygotować grunt pod bardziej destrukcyjne operacje pod pozorem legalności. W przeciwieństwie do jawnej obecności Korpusu Afrykańskiego lub komórek sabotażowych GRU, sieć ta przetrwała dzięki niejednoznaczności. Nie opiera się wyłącznie na obecności żołnierzy na miejscu czy milicjach działających w jej imieniu. Wykorzystuje instytuty językowe, obserwatorów wyborów, korytarze dyplomatyczne i centra pomocy powodziowej. Modelowi temu jest trudno przeciwdziałać, ponieważ opiera się na niejasnościach. Centrum szkoleniowe nie jest bazą wojskową. Klub weteranów nie jest milicją. Konwój kulturalny nie jest łańcuchem dostaw. Jednak razem tworzą one sprzyjające środowisko operacyjne, w którym agenci mogą prowadzić obserwację, przemieszczać się i przygotowywać. Trwałości działań rosyjskiego wywiadu na Bałkanach Zachodnich nie można wyjaśnić wyłącznie obecnością ambasad i agentów. Zależy ona od szarych stref regionu, gdzie rządzenie jest rozdrobnione, korupcja ma charakter systemowy, a lojalność jest elastyczna. Od firm inżynieryjnych i magazynów paliw po sankcjonowanych polityków i nacjonalistycznych pośredników – Moskwa zbudowała sieć nie siłą, ale dzięki dopasowaniu. Jej obecność przetrwała, ponieważ jest osadzona w strukturach, które już definiują polityczną gospodarkę regionu. („Hybrydowa architektura rosyjskiego wywiadu na Bałkanach Zachodnich", 3Gimbals, 18 czerwca 2025).

▶ Serbowie kartą w ręku Moskwy

Szczególnie bliska stała się współpraca wywiadowcza między Moskwą a Belgradem. Pod rządami Vučicia rozkwitły stosunki między serbską agencją wywiadowczą, znaną jako BIA, a jej rosyjskimi odpowiednikami. Rosyjski wywiad wojskowy, znany jako GRU, ma silną pozycję w Serbii, wykorzystując swoje bazy do szpiegowania sił NATO w sąsiednim Kosowie. W 2023 roku szef BIA, Aleksandar Vulin, został objęty sankcjami przez Departament Skarbu USA za swoje wątpliwe powiązania z Moskwą. Następnie Vulin został awansowa-

eprasa.pl 0522f7d004

ny na stanowisko wicepremiera. Między Moskwą a Belgradem rośnie ideologiczna harmonia kierowana przez wywiad. Pierwsza z nich ma koncepcję „rosyjskiego świata", mającą na celu zjednoczenie Rosjan poza granicami Federacji Rosyjskiej, co jest postrzegane jako zagrożenie przez sąsiadów Rosji. Belgrad opracował niedawno identyczną koncepcję „serbskiego świata", obejmującą Serbów mieszkających poza Serbią. (J. Schindler, „Putin pokazuje NATO swoje niebezpieczne bałkańskie karty", „Washington Examiner", 24 kwietnia 2025). W przeciwieństwie do innych krajów bałkańskich, poparcie Serbów dla przystąpienia do UE nie wydaje się przytłaczające, a powszechne poparcie dla Rosji pozostaje niezmienne. Proces ten może być jeszcze trudniejszy, jeśli kraj będzie musiał uznać Kosowo jako warunek przystąpienia. (S. Blewett, „Putin chce z Bałkanów Zachodnich zrobić kolejne pole gry – ostrzega Wlk. Brytania", Politico, 9 kwietnia 2025). Jedną z kluczowych dźwigni władzy Rosji w regionie jest kwestia statusu Kosowa, dzięki której Moskwa wywiera znaczący wpływ na Serbię. Rosja nie uznaje niepodległości Kosowa i wykorzystuje swoją pozycję w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, aby zablokować międzynarodowe uznanie tego kraju. W Kosowie Rosja nie ma znaczącego bezpośredniego wpływu na społeczeństwo, ale ma silne wpływy polityczne dzięki wsparciu Serbii i ekstremistycznych grup serbskich w Kosowie. Rosja wykorzystuje napięcia między Belgradem a Prisztiną jako narzędzie nacisku na Zachód i odwrócenia uwagi od Ukrainy. Wspiera ekstremistyczne i prawicowe narracje serbskie w północnym Kosowie i może być również zaangażowana w ewentualne działania wywiadowcze. Od początku inwazji Rosji na Ukrainę nasiliła się propaganda, która ma podobny przebieg: że NATO, UE lub zbiorowy Zachód prowokują konflikt w Kosowie; że albańska większość popiera „pogrom" ludności serbskiej; że ataki na Serbów zawsze pozostają bezkarne; że ostatecznym celem jest rozmieszczenie wojsk NATO na całych Bałkanach, co w istocie oznacza „okupację" terytorium Serbii! (Dragan Sormaz, „Rosja na Bałkanach Zachodnich", Argumentum, 9 czerwca 2025).

Uderzającym aspektem obecnych zawirowań na Bałkanach jest to, jak bardzo przypominają one napięcia, które doprowadziły do wybuchu I wojny światowej. Obsada postaci pozostaje praktycznie niezmieniona. W centrum sporu znajdują się Serbowie, dążący do jedności narodowej wokół niepodległej Serbii. Jednak znaczna część Serbów mieszka w sąsiednich krajach, zwłaszcza w Bośni i Hercegowinie. (J. Schindler, „Putin pokazuje NATO swoje niebezpieczne bałkańskie karty", „Washington Examiner", 24 kwietnia 2025). Kraj ten składa się z dwóch autonomicznych podmiotów – Federacji Bośni i Hercegowiny oraz Republiki Serbskiej – a także z okręgu Brczko, który ma własny samorząd lokalny. Utworzono również prezydenturę, której funkcję sprawują na zmianę. Cały system nadzoruje wysoki przedstawiciel mianowany przez międzynarodowy organ pokojowy, który ma szerokie uprawnienia w zakresie egzekwowania warunków pokoju, w tym prawo weta wobec ustawodawstwa i odwoływania urzędników państwowych. W 2024 roku w raporcie amerykańskiego Biura Dyrektora Wywiadu Narodowego ostrzeżono o zwiększonym ryzyku przemocy na tle etnicznym na Bałkanach Zachodnich. W 2023 roku lider bośniackich Serbów Milorad Dodik uchwalił szereg ustaw, które wyłączały Republikę Serbską z federalnego sądownictwa, systemu podatkowego i sił zbrojnych Bośni. W 2024 roku poszedł jeszcze dalej, proponując referendum w sprawie niepodległości serbskiej części Bośni i Hercegowiny. Działania Dodika mające na celu osłabienie państwa bośniackiego, doprowadziły do konfliktu z wysokim przedstawicielem, który uznał te ustawy za niezgodne z konstytucją. Chociaż Dodik został obecnie skazany za naruszenie konstytucji i pozbawiony praw politycznych na sześć lat, nie zamierza się poddać. Republika Serbska zaproponowała niedawno ustawę o wycofaniu się z sądu, który uznał Dodika za winnego. Dodik nadal cieszy się silnym poparciem Vučicia, który nazwał wyrok „haniebnym" i „bezprawnym", oraz prezydenta Władimira Putina, który nawiązał owocne stosunki z Republiką Serbską. Od czasu inwazji na Ukrainę Putin spotkał się z Dodikiem kilkakrotnie. Tymczasem rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow nazwał wyrok na Dodika „czysto politycznym posunięciem wymierzonym osobiście w Dodika i wszystkie patriotyczne siły Serbii, co jest niedopuszczalne".

Uderzającym aspektem obecnych zawirowań na Bałkanach jest to, jak bardzo przypominają one napięcia, które doprowadziły do wybuchu I wojny światowej. Obsada postaci pozostaje praktycznie niezmieniona. W centrum sporu znajdują się Serbowie, dążący do jedności narodowej wokół niepodległej Serbii.

eprasa.pl 0522f7d004

(P. LaBelle, I. Stradner, „Czy działania polityczne Rosji na Bałkanach będą paliwem dla kolejnej wojny?", Foreign Policy Research Institute, 17 czerwca 2025).

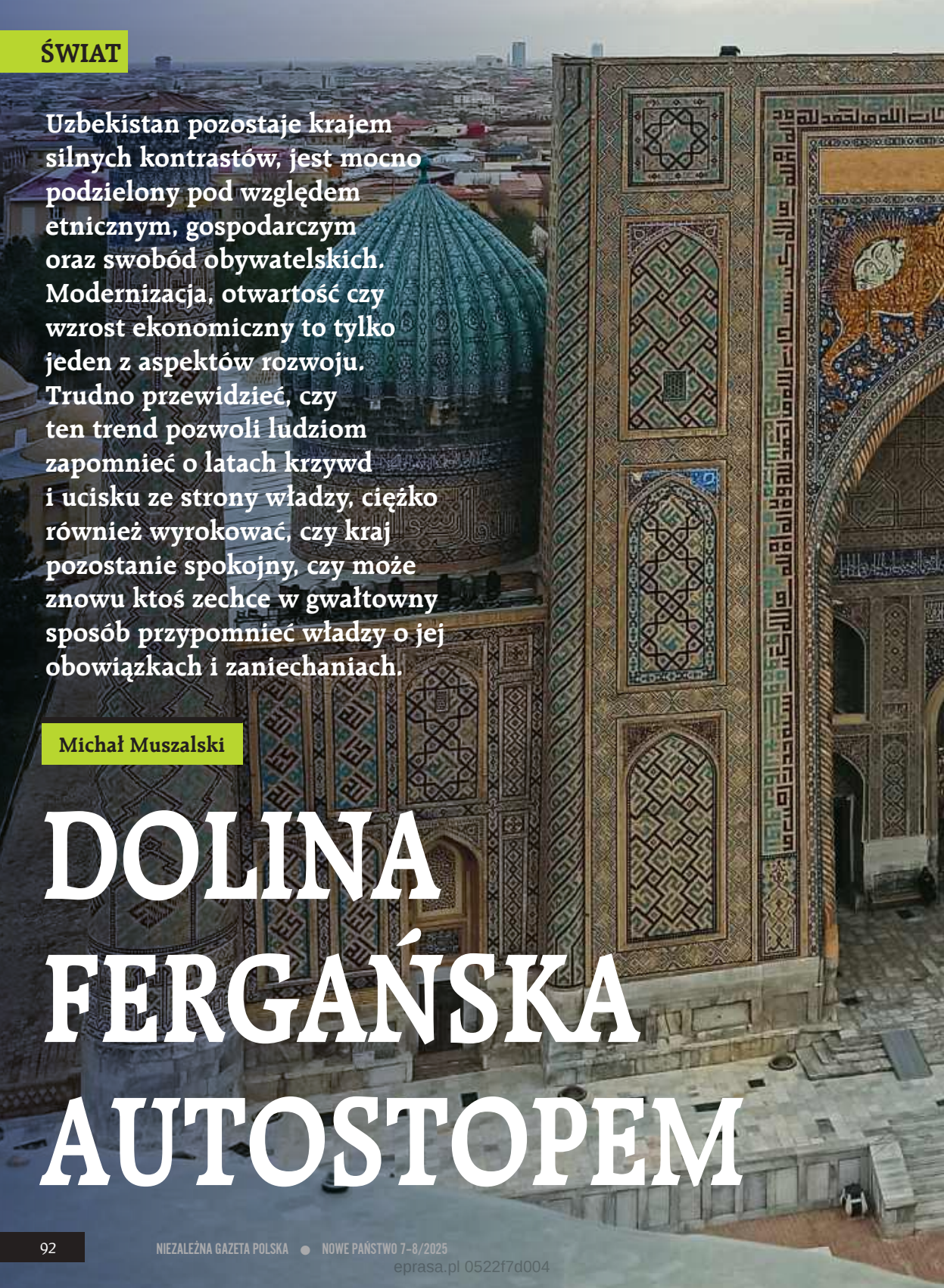
Pole bitwy Zachodu z Rosją

Rosyjskie działania polityczne na Bałkanach nie ograniczają się do Bośni i Hercegowiny, Kosowa i Serbii. Czarnogóra też stanowi słaby punkt NATO, który Moskwa stara się wykorzystać, aby rozszerzyć swoje wpływy na Morze Adriatyckie. Rosyjscy agenci byli zamieszani w próbę zamachu stanu w 2016 roku, a główna proserbska partia polityczna próbowała uchwalić nowe przepisy dotyczące obywatelstwa, które mogą skomplikować drogę tego kraju do Unii Europejskiej. Rosja działa poprzez Rosyjską Cerkiew Prawosławną, manipulując podatną na wpływy Serbską Cerkwią Prawosławną, aby zasiać niezgodę etniczną wśród serbskiej ludności Czarnogóry i promować politykę prorosyjską. Od lat 90. XX wieku dostarcza ona uzasadnienia dla serbskiej przemocy nacjonalistycznej w całej byłej Jugosławii i zachowuje znaczną władzę na Bałkanach Zachodnich. W kwietniu patriarcha Serbii Porfirije, głowa serbskiej Cerkwi prawosławnej, odwiedził Moskwę, gdzie spotkał się zarówno z Putinem, jak i patriarchą Cyrylem z Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Przywódcy pochwalili się wzajemnym zaangażowaniem w tradycyjne wartości, które rzekomo porzucił Zachód. Porfirije wyraził również nadzieję, że „świat serbski" dołączy w przyszłości do „nowego ugrupowania politycznego" z Rosją. Ten „świat serbski" obejmuje Serbów mieszkających poza granicami Serbii, dlatego Porfirije podziękował Putinowi za poparcie roszczeń Serbii wobec Kosowa. Bliskie powiązania między tożsamością religijną i etniczną na Bałkanach Zachodnich oznaczają, że kwestie te szybko się ze sobą mieszają i przyczyniają się do niestabilności politycznej regionu. Krótko po spotkaniu patriarchów w Moskwie bośniacki przywódca serbski Dodik wywołał ponowne oburzenie, sugerując, że bośniaccy muzułmanie powinni „powrócić do wiary prawosławnej" jako rozwiązanie politycznych podziałów w kraju. (P. LaBelle, I. Stradner, „Czy działania polityczne Rosji na Bałkanach będą paliwem dla kolejnej wojny?", Foreign Policy Research Institute, 17 czerwca 2025).

Wpływy rosyjskie są widoczne również w Macedonii Północnej, ale nadal ograniczone dzięki członkostwu tego kraju w NATO (od 2020 roku) i jego orientacji na integrację z UE. Moskwa sprzeciwiała się porozumieniu z Prespy z Grecją i członkostwu Macedonii Północnej w NATO. Rosja próbowała wywierać wpływ na Skopje poprzez prorosyjskie partie polityczne i skrajnie prawicowe ugrupowania, zwłaszcza podczas kryzysu związanego ze zmianą nazwy kraju. Dziennikarze śledczy opublikowali szczegółowe artykuły na temat próby zamachu stanu w Macedonii 27 kwietnia 2019 roku, kiedy to Zoran Zaev został niemal zamordowany, za co macedońskie służby bezpieczeństwa obwiniły rosyjskie i serbskie służby wywiadowcze. W tym celu przeprowadzono silną kampanię propagandową, wykorzystując rosyjskie narracje w lokalnych mediach, zwłaszcza w internecie i mediach społecznościowych. Pomimo pewnych sukcesów i powrotu do władzy prorosyjskiej partii VMRO-DPMNE, obecnie kraj ten znacznie zwiększył swój opór wobec wpływów rosyjskich, głównie dzięki integracji ze strukturami bezpieczeństwa NATO. Ponadto obecny rząd w Skopje doskonale zdaje sobie sprawę, że to sam Kreml wzmacnia bułgarską narrację na temat pozycji mniejszości bułgarskiej w Macedonii Północnej. (D. Sormaz, „Rosja na Bałkanach Zachodnich", Argumentum, 9 czerwca 2025).

Eksperci ds. polityki zagranicznej i politycy obawiają się, że Kreml będzie próbował wykorzystać głęboko zakorzenione napięcia etniczne i religijne, aby podsycić dalsze niepokoje na Bałkanach, umacniając własne interesy Rosji i stwarzając jeszcze więcej problemów na tyłach UE. „W tej chwili muszą iść naprzód, bo inaczej nadal będą placem zabaw Rosji" – powiedział jeden z brytyjskich urzędników, który chciał zachować anonimowość, żeby móc mówić o sprawach, których nie może komentować publicznie. Według niego, państwa bałkańskie mają teraz „dość małe okno", w którym muszą „przestać siedzieć na płotku", zanim Bruksela zostanie całkowicie pochłonięta przez przystąpienie Ukrainy do UE. (S. Blewett, „Putin chce z Bałkanów Zachodnich zrobić kolejne pole gry – ostrzega Wlk. Brytania", Politico, 9 kwietnia 2025). NATO wzmocniło swoje siły w Kosowie, a Unia Europejska zwiększa liczebność misji pokojowej w Bośni i Hercegowinie. Zachód musi jednak przenieść walkę do przestrzeni informacyjnej. Zamiast ograniczać się do działań obronnych przeciwko rosyjskim operacjom wpływowym, zespoły NATO ds. wojny hybrydowej powinny skupić się na serbskich nacjonalistach, wbijając klin między nich a ich rosyjskich patronów. Powinny podkreślać, że Rosja nie będzie pomocna jako sojusznik w przypadku wybuchu wojny. Putin jest zbyt zajęty własną wojną na Ukrainie, aby udzielić Serbii realnej pomocy w konflikcie z NATO. Porównanie z Armenią jest pouczające. Armenia, sojusznik Rosji na mocy traktatu, miała jeszcze większe powody, aby oczekiwać pomocy od Putina, a jednak została zasadniczo porzucona w dwóch ostatnich katastrofalnych wojnach z Azerbejdżanem (P. LaBelle, I. Stradner, „Czy działania polityczne Rosji na Bałkanach będą paliwem dla kolejnej wojny?", Foreign Policy Research Institute, 17 czerwca 2025). ■

eprasa.pl 0522f7d004



Uzbekistan pozostaje krajem silnych kontrastów, jest mocno podzielony pod względem etnicznym, gospodarczym oraz swobód obywatelskich. Modernizacja, otwartość czy wzrost ekonomiczny to tylko jeden z aspektów rozwoju. Trudno przewidzieć, czy ten trend pozwoli ludziom zapomnieć o latach krzywd i ucisku ze strony władzy, ciężko również wyrokować, czy kraj pozostanie spokojny, czy może znowu ktoś zechce w gwałtowny sposób przypomnieć władzy o jej obowiązkach i zaniechaniach.

Michał Muszalski

DOLINA FERGAŃSKA AUTOSTOPEM

eprasa.pl 0522f7d004



Registan plac, Samarkanda, Uzbekistan 2024 r.

eprasa.pl 2217004

Z Taszkentu, stolicy Uzbekistanu, jest zaledwie pięć godzin drogi do Fergany. Kierowcy zatrzymywali się chętnie, a ja szybko nauczyłem się, że muszę od razu wspomnieć, że nie będę mógł im nic zapłacić. Po paru przesiadkach złapałem „na kciuka" ostatniego kierowcę tego dnia; zaproponowaną przez niego cenę 25 dolarów szybko udało mi się stargować do zera. Pojechaliśmy dalej w sześć osób. W naszym vanie z przodu były trzy miejsca siedzące, a z tyłu rozwinięty dywan i brudne opony, które służyły za siedziska.

Alkohol, marihuana i herbata w miskach

Wylądowałem na dywanie. Z młodym chłopakiem, moim sąsiadem z opony obok, rozmawialiśmy po angielsku. Begzod znał język, bo chciał wyjechać na studia prawnicze do Stanów i tłumaczył z werwą naszą rozmowę zaciekawionym mną pasażerów. Gdy po paru godzinach pożegnaliśmy się i przesiadłem się do przodu, musiałem improwizować w języku rosyjskim, a znałem wtedy jedynie parę podstawowych zwrotów. Na szczęście kierowca pamiętał jeszcze ze szkoły kilka słów po angielsku.

– Where you sleep? [Gdzie nocujesz? – przyp. red.] – zapytał, układając ręce na kształt poduszki.

– W palatka (w namiocie).

– No, I go to friend, You – powiedział wskazując na mnie – go with I [Nie, jadę do przyjaciela, pojedziesz ze mną – przyp. red.].

Panowie – kierowca i jego brat – jechali w gościnę do kolegi w Kokand, miasta, które było po drodze do Fergany. Nie trzeba mnie było długo namawiać, byłem zmęczony, a intencje braci nie wydawały mi się podejrzane. Obaj wyjaśnili, że wraz z kolegą, do którego jadą, będą pili wódkę i palili marihuanę. Zdziwiłem się nieco, Uzbekistan to w końcu muzułmański kraj. Pamiętałem jednak o jego czerwonej przeszłości, co wyjaśniało kwestię wódki; marihuana pozostawała zagadką.

W Kokand przesiedliśmy się do luksusowego jak na uzbeckie standardy samochodu i pojechaliśmy do restauracji. W budynku nie działało światło, ściany były brudne, a wnętrze składało się z kilku sal jadalnych. Gospodarz zaprowadził nas do tej najbardziej okazałej; na podłodze leżały dywany, niski stół nakryty był wysłużoną ceratą. Przed wejściem zdjęliśmy buty, a potem usiedliśmy na dywanie. Było tu też parę poduch, by można było się wygodniej oprzeć o ścianę, a na prośbę gospodarza, który bardzo chciał wywrzeć na mnie jak najlepsze wrażenie i zapewnić najwyższy komfort, obsługa restauracji przyniosła jeszcze kilka. Na stole szybko pojawiły się herbata oraz „lepioszki" – płaskie, niewyrośnięte pieczywo, które gospodarz porozrywał rękoma na mniejsze kawałki. Herbata została podana w porcelanowym dzbanku, a po każdym jego opróżnieniu obsługa dbała o jak najszybsze jego uzupełnienie.

W Uzbekistanie, jak w całej Azji Centralnej, herbatę i inne napoje pije się z miseczek. Podano nam ryby zapiekane z przyprawami i owocami – spożywaliśmy je rękoma. Podana została wódka, a wcześniej – marihuana. Ta jednak okazała się czymś kompletnie różnym od tego, czego się spodziewałem; były to suche chwasty (zapewne konopie) żarzące się na stalowej szufelce; nie miało to nic wspólnego ze znaną pod tą nazwą używką. Szufelka okrążyła parę razy pomieszczenie, a kiedy gospodarz uznał, że jest już wystarczająco okadzone, oddał ją obsłudze. Wódkę również spożywano z odpowiednio mniejszych miseczek. Siedziałem pod ścianą naprzeciwko wejścia, obok mnie siedział zaprzyjaźniony dentysta. Kolega kierowcy okazał się rolnikiem, a z kierowcą udało nam się znaleźć wspólny temat – boks. Pierwszą noc spędziłem w gościnie w domu kolegi kierowcy.

Rano chciałem jechać dalej do Fergany. Jednak gospodarz stanowczo odradził bezpośrednią podróż. „Nie jedź, bo jest niebezpiecznie!", usłyszałem. Z jakiego powodu? Nie wyjaśnił. Mogę się tylko domyślać, że chodziło o znajdujące się na tych obszarach tadżyckie enklawy, gdzie policjanci mogą sprawdzać dokumenty i zadawać niewygodne pytania. Gospodarz nalegał, żebym skierował się wpierw do Andijanu, skąd jest już blisko do Fergany. Była to sensowna alternatywa. Nie zabawiłem tu dłużej, skorzystałem z zaoferowanej mi gościny w mieście znajdującym się w tej samej aglomeracji – Marg'ilon.

Dolina Fergańska – pudełko pełne prochu

Dolina Fergańska jest miejscem do dziś uznawanym za niebezpieczne i podejrzane nawet przez samych Uzbeków. Jako kraina geograficzna rozciąga się na terytorium podzielonym pomiędzy Uzbekistan, Kirgistan i Tadżykistan, a w każdym z tych krajów wygląda trochę inaczej. Jednak w każdym z nich jest jednym z najuboższych miejsc, a przy tym jednym z najgęściej zaludnionych. W Uzbekistanie Dolinę Fergańską zamieszkuje około 16 mln ludzi, co stanowi ponad jedną trzecią społeczeństwa.

– Ile zarabia pracownik w fabryce? – spytałem młodego chłopaka, przewodnika po fabryce dywanów w Marg'ilon.

– Około 100 dolarów.

– 100 dolarów? Pracując cztery tygodnie po osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu? – zapytałem z niedowierzaniem.

– No tak… 100 dolarów to mało, za to nie da się przeżyć. Wiele osób pracuje na dwie zmiany, jeździ

eprasa.pl 0522f7d004



Taszkent, Hotel Uzbekistan

dodatkowo na taksówce lub chwyta się innych dodatkowych zajęć. Za 200 dolców można już się utrzymać.

Problemy ekonomiczne nie są jedynymi, z jakimi zmaga się region. Od 1991 aż do 2016 roku regularnie dochodziło do konfliktów pomiędzy rządem a radykalnymi ugrupowaniami wojowników islamu. Same te wydarzenia nie były jakimś wielkim „novum", władze ZSRS z pozytywnym skutkiem prowadziły propagandę oswobodzenia ludzi z jarzma religijności, usilnie zwalczając wszystkie jej publiczne przejawy. Jednak po upadku Związku Sowieckiego religijne i polityczne konflikty miały miejsce po raz pierwszy od ponad 100 lat w niepodległym od zagranicznej jurysdykcji Uzbekistanie. Dolina Fergańska w historii tych konfliktów zajęła specjalne miejsce; to właśnie tam powstało wiele radykalnych ugrupowań, które obrały te tereny jako pole do swojej antyrządowej ekspansji politycznej.

▶ Islamski Ruch Uzbekistanu

Nie każdy chciał się pogodzić ze zbliżającym się rozpadem Związku Sowieckiego. Na pewno nie pierwszy sekretarz stanu i sprawujący władzę w kraju przez kolejnych 25 lat przyszły prezydent Islom Karimov. Parę miesięcy przed odzyskaniem niepodległości w 1991 roku poprowadził kampanię propagandową na rzecz utrzymania Związku Sowieckiego, a podczas jednego z jej programów emitowanych w telewizji powiedział: „Jeżeli pozostaniemy w Związku Radzieckim, nasze rzeki będą płynąć mlekiem, jeżeli zaś opuścimy – spłyną one krwią". Słowa te stały się mottem jego późniejszej polityki, jak można stwierdzić z perspektywy czasu.

Już w 1991 roku w Namangan, jednym z większych miast Uzbekistanu, w Dolinie Fergańskiej, przedstawiciele islamskiej radykalnej grupy Adollat (Sprawiedliwość), ścięli głowę szefa policji i przejęli w swoje ręce ratusz. Ich planem było utworzenie uzbeckiego kalifatu, wpierw lokalnie, a potem w całym kraju. Karimow już następnego ranka pojawił się na miejscu rewolty. Według prorządowych źródeł miał być nieuzbrojony i bez ochrony oraz charyzmatycznie i stanowczo rozmawiać z rebeliantami, a także wygłosić „pełne perswazji, jednoczące przemówienie" do wrogo nastawionego tłumu.

Jednak prawda o tym zdarzeniu wygląda inaczej. Karimow nie wygłosił żadnego przemówienia pełnego treści i perswazji, jego słowa były nieustanie zagłuszane przez skandowane przez tłum hasło „Allah Akbar!". W 1991 roku Karimow nie byłby w stanie charyzmatycznego i patriotycznego przemówienia wygłosić – nie znał jeszcze języka uzbeckiego. Kandydat na prezydenta próbował przemawiać, ale – pomijając niedające mu dojść do głosu okrzyki – Tohir Yo'ldosh, przyszły lider IMU (Islamic Movement of Uzbekistan) oraz później aktywny członek Al-Kaidy, wyrwał mu z ręki mikrofon i na oczach zgromadzonych pouczył o metodach sprawowania władzy. Akt ten spotkał się z wielkim entuzjazmem zgromadzonego tłumu.

Wizyta Karimowa w Namangan, oficjalnie przedstawiana jako akt heroizmu, w rzeczywistości stała się krajowym tematem tabu i jednym z większych publicznych upokorzeń przyszłego władcy. (Nagranie z tego wydarzenia jest na YouTube i cieszy się niemałą oglądalnością. Jednak w Uzbekistanie jest ono uznane

eprasa.pl 0522f7d004



Stacja metra w Taszkencie



Dworzec autobusowy

za materiał ekstremistyczny, a samo jego istnienie – za atak na porządek konstytucyjny).

Przed wydarzeniami z Namangan Yo'ldosh, w przeciągu zaledwie paru lat Karimow zainicjował założenie co najmniej dwóch radykalnych ugrupowań: Towarzystwa Sprawiedliwości oraz paramilitarnej grupy Towba (Pokuta); aktywnie angażował się również w rozwój innych organizacji. W okresie przejściowym, po upadku Związku Sowieckiego, korzystając z chwilowego zamieszania i braku oficjalnej władzy, ogłosił się emirem. Jako że brał czynny udział w kształtowaniu równoległych struktur władzy, gdzie pełnił rolę sędziego szariatu, był niepożądanym elementem dla tych bardziej uprawomocnionych władz z Taszkentu. W 1993 roku uciekł do Afganistanu, gdzie pięć lat później wraz z Yumą Namanganim* założył islamski ruch oporu (IMU). To również tam Yo'ldosh wszedł w bliższe relacje z afgańskim Talibanem. Swoje życie postanowił później złączyć z Al-Kaidą. Ostatnie lata życia spędził w Waziristanie – regionie położonym w północnym Pakistanie. Jednak zanim się tam przedostał, brał czynny udział w walce na rzecz utworzenia środkowoazjatyckiego kalifatu i tak poprowadził na przykład nieudaną inwazję, podczas której IMU udało się przedostać przez Tadżykistan aż do Batken w Kirgistanie pod granicą z Uzbekistanem. Tam jego paramilitarne odziały zostały odparte i zmuszone do powrotu do Afganistanu.

* Yuma Namangani tak samo jak Tohir Yo'ldosh był żołnierzem w armii sowieckiej. Obaj brali udział w sowieckiej inwazji na Afganistan, skąd do Uzbekistanu powrócili „zarażeni" ideami radykalnego islamu.

Porażki nie najlepiej obrazują skalę działań IMU, byli oni wspierani finansowo przez uzbecką diasporę i Al-Kaidę, mieli również potężne wpływy z handlu narkotykami. Łączny budżet organizacji przez trzy lata ich działalności (1999–2001) szacuje się na około 55 mln dolarów. Arsenał IMU liczył nie tylko fanatyków religijnych z kałasznikowami, lecz także fanatyków religijnych z czołgami.

W 2000 roku Yo'ldosh został wyrokiem sądu najwyższego w Uzbekistanie skazany na karę śmierci za przypisane mu w rozprawie zamachy bombowe w Taszkencie. Jednak nie pozbawiono go życia; znajdował się wtedy na emigracji w Afganistanie, skąd kierował działaniami IMU. Zmarł w szpitalu w Waziristnie dopiero w 2009 roku, po tym, jak został ciężko ranny w wyniku ataku amerykańskiego drona.

▶ Ludobójstwo w Andijanie

Próby manifestacji sprzeciwu wobec rządu nigdy nie kończyły się dobrze dla tych, którzy brali w nich udział. Działające w Uzbekistanie organizacje terrorystyczne wcale nie wzbudzały przesadnej sympatii wśród zwykłych ludzi, a ich działania i członkostwo były raczej niszowe. Poza strajkami studenckimi w Taszkencie z roku 1992 nie odnotowano istotnych wydarzeń angażujących ogół społeczeństwa. Było tak aż do roku 2005 i do wydarzeń z Andijanu.

Społeczeństwo uzbeckie jest ukształtowane na sposób klanowy. Klan to najczęściej rodzina i najbliżsi. To w obrębie klanu człowiek się rozwija i on jest pierwszym jego środowiskiem współpracy, życia społecznego i wsparcia. W niedoinwestowanej przez kraj Dolinie Fergańskiej jeden z takich klanów zabrał się

eprasa.pl 0522f7d004



W niektórych miejscach paliwo to luksus



Karakalpakstan, droga do granicy z Kazachstanem

za ogólne pojęty rozwój społeczny. W tak zaniedbanym miejscu inwestycje modernizujące i poprawiające życie obywateli na każdym poziomie spotykały się z ogromną wdzięcznością i sympatią. Powstawały m.in. szkoły, szpitale czy tak potrzebne piekarnie. Wieść o rosnących zyskach i popularności pospolitego ruszenia lokalnych biznesmenów wkrótce dotarła do Taszkentu – w wyolbrzymiony sposób. Przedsiębiorcy zagospodarowali przestrzeń, która łączyła się z wykorzystaną przez nich perspektywą zysku – oligarchowie nie zamierzali się na to godzić.

W 2004 roku 23 spośród tych biznesmenów zostało osadzonych w więzieniu. Po paru miesiącach odsiadki bez wyroku, zostali pomówieni o współpracę z organizacją AKRAMIA (nazwa pochodzi od imienia Akrama Yuldasheva**, wówczas znajdującego się w więzieniu w Taszkencie).

Kiedy mężczyźni siedzieli w więzieniu, pod jego murami zaczęli zbierać się ludzie – nie była to zorganizowana akcja, uzbeckiemu społeczeństwu niezbyt znane były pojęcia takie jak strajk, protest czy manifestacja. Ludzie gromadzili się jednak spontanicznie pod więzieniem codziennie przez parę miesięcy; według relacji dziennikarzy liczebność tłumu wzrastała wraz z wydłużającym się pobytem wciąż nieskazanych więźniów. Jednak, jak to jest regułą w krajach rządzonych na wzór systemów totalitarnych, zgromadzenia publiczne pożądane nie były.

W nocy z 12 na 13 maja 2005 roku, do dziś nieznani sprawcy mieli odbić część osadzonych. Włamali się do więzienia siłą, a ich tożsamości nie rozpoznali – jak się uważa – nawet sami oswobodzeni. 13 maja nierozpoznani mężczyźni w zdezorientowanym tłumie oddali strzały z broni palnej. Ten jawny znak rewolty nie czekał długo na odpowiedź. Wojsko, ściągnięte już wcześniej do Andijan, zaczęło strzelać do tłumu. Szacuje się, że w ciągu jednego dnia mogło zginąć nawet 1500 osób. Jednak to tylko spekulacje. Kiedy sytuacja się uspokoiła, wojsko wywiozło do zbiorowych mogił za miastem większość poległych, uniemożliwiając dokładne przeliczenie strat. Według oficjalnych danych zginęło około 300 osób.

▶ Jak się żyje w Uzbekistanie?

Karimow, po objęciu rządów w już niepodległym państwie, miał trudne zadanie. Kraj, który leżał w ścisłej strefie wpływu najpierw carskiej Rosji, a potem ZSRS, znajdował się w opłakanym stanie. Prawie połowa populacji żyła poniżej minimum socjalnego, połowa nie miała dostępu do pitnej wody, znaczna część do bieżącej, większość nie miała gazu, nie wspominając nawet o kanalizacji. Jednak pomimo cudownych lat prezydentury Karimowa, bo tak jego rządy przedstawia oficjalna propaganda, z wieloma z tych problemów Uzbekistan zmaga się do dziś. Większość dróg zbudowano jeszcze za czasów ZSRS, a ich stan wciąż pozostawia wiele do życzenia. Najlepszym, albo też najgorszym, tego przykładem jest główna droga wiodąca przez Karakalpakstan ku zachodniej granicy

** Zbieżność nazwisk najprawdopodobniej przypadkowa. Wartym uwagi faktem jest, że Akram również był żołnierzem armii sowieckiej, biorącym udział w działaniach na terenie Afganistanu. Akram Yuldashev swoją karierę działacza opozycji zaczął od publikacji książki „Droga do wiary", w której przedstawił radykalną ścieżkę rozwoju duchowego. Tak samo jak Tohir był sądzony po zamachach bombowych w Taszkencie z 1999 roku. Został skazany na 17 lat pozbawienia wolności.

eprasa.pl 0522f7d004

z Kazachstanem. Jak odrysowana od linijki, prowadzi przez środek pustyni, o nawierzchni przypominają jedynie jej pozostałości. Pomimo tego jest jedną z głównych dróg uczęszczanych przez przymuszonych wizją lepszego życia migrantów zarobkowych pędzących zwykle do Moskwy i wykołysanych przez wertepy kierowców tirów, jadących z ładunkami do Rosji, Azji zachodniej lub Europy.

Kiedy zaczynałem łapać autostop na tamtej trasie, nie spodziewałem się, co mnie czeka. Do pokonania miałem zaledwie 330 kilometrów i nie dowierzałem w podawany przez Google Maps czas siedmiu godzin potrzebnych, by dostać się na zachodnią granicę z Kazachstanem. Podróż zacząłem około godz. 15, z nadzieją, że uda się dojechać do celu przed zmrokiem. W pokonaniu trasy pomogło mi dwóch kierowców tirów; jeden jechał z załadowaną przyczepą, drugi z pustą, obaj nie przekraczali 30 kilometrów na godzinę. Zdarzało się, że wertepy na drodze były tak uciążliwe, że musieli zjeżdżać na step. Na granicę dotarłem po parunastu godzinach.

Podczas podróży po Azji Centralnej to właśnie w Dolinie Fergańskiej najczęściej zdarzało się, że byłem zapraszany w gości. W domostwach gospodarzy jedyne ujęcie wody znajdowało się poza budynkiem, tak samo jak toaleta (wychodek), domy były nieogrzewane. Kraj dalej zmaga się z brakami w dostawach i problemami w dostarczaniu prądu i gazu, benzyna w niektórych częściach kraju jest praktycznie niedostępna. Kiedy jechałem główną drogą z Taszkentu do Kokand, zatrzymaliśmy się przy lokalnej stacji benzynowej. Nie było dystrybutora ani żadnego, choćby blaszanego budynku, przy drodze stało parę wielkich beczek z wielkim napisem LUKOIL, na beczkach były baniaki z benzyną, całego przybytku pilnowało dwóch mężczyzn.

Niepodległość?

Kiedy w Dolinie Fergańskiej pytałem ludzi o przebieg tamtych wydarzeń, często sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, o czym mówię. Żaden z nich nie widział dostępnego na YouTube przemówienia Karimowa z Namangan, a kiedy pytałem o jichad, wojnę domową i represje, reagowali, jakbym pomylił regiony świata. Zdobycie tej wiedzy umożliwiły mi głównie reportaże zagranicznych dziennikarzy, którzy w poszukiwaniu prawdy dotarli także do ludzi żyjących na emigracji. Wielu z nich w związku z „działalnością na szkodę władz Uzbekistanu" otrzymało zakaz wjazdu do kraju. Zdarzało się, że osoby, które zgodziły się udzielić im wywiadu, ponosiły poważne konsekwencje.

Karimow zmarł w 2016 roku, władzę przejął sprawujący do dziś ten urząd Mirziyoyev, a oblicze kraju zmieniło się nie do poznania. Zmiana jest dostrzegalna już z perspektywy turysty. Z Taszkentu zostały wybudowane drogi prowadzące do najpiękniejszych architektonicznie pamiątek kraju, które składają się na jedno z najstarszych dziedzictw kulturowych świata. Obiekty, które swą historią i pięknem przyciągają turystów, są dziś zadbane, teren wokół nich zmodernizowany. Do oficjalnego obiegu wymiany walut zostały wprowadzone dolary, euro i funty, które teraz można wymienić w każdym banku. Jeszcze parę lat temu wymiana walut w Uzbekistanie była nielegalna, a turyści byli zmuszeni płacić zawyżone ceny w dolarach lub nielegalnym sposobem wymienić je na uzbeckie somy. Nie tak straszny jak kiedyś jest również brak meldunku, do którego – podczas pobytu dłuższego niż trzy dni – obcokrajowiec jest zobowiązany. Nie tak dawno brak świstka wystawionego przez hotel mógł sprawić wiele problemów na granicy czy lotnisku podczas opuszczania kraju. Podczas moich trzech wizyt w Uzbekistanie o meldunki na granicy zostałem poproszony tylko raz – powiedziałem, że nie mam, i nie robiono z tego problemu.

Uzbecy również wyraźnie odczuli zmiany. Kraj otworzył się na inwestycje zagranicznego kapitału, który skupił się głównie na rozwoju infrastruktury i wydobyciu złóż naturalnych. Łatwiejsze stały się migracje zarobkowe. Wielu Uzbeków, z którymi rozmawiałem, miało kogoś z rodziny pracującego w Polsce, sami już kiedyś w Polsce pracowali albo bardzo chciałoby do niej pojechać. Jednak migracja dla wielu nadal jest niedostępna. Chłopak, który oprowadzał mnie po fabryce dywanów w Marg'ilon, zdziwił się, kiedy mu powiedziałem, że 1000 dolarów stanowi w Polsce znaczną kwotę. Wybierał się na studia do Wrocławia, a koszty jego wizy wyniosły nieco ponad 3000 dolarów.

Po zmianach kadry rządu w 2016 roku Uzbekistan stał się jednym z najszybciej rozwijających się krajów świata. Merziyoyev, zanim został prezydentem, przez 13 lat piastował w kraju stanowisko premiera. Jego kariera polityczna zaczęła już w 1996 roku od posady gubernatora Dżyzaku, a potem Samarkandy (rodzinnego miasta Karimova). Prezydent wygrał ostatnie wybory w 2023 roku z 87-procentowym poparciem przy prawie 80-procentowej frekwencji. Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie odniosła się do wyborów krytycznie, zgłaszając wiele nadużyć. Nie unika wątpliwości, że nowy prezydent, choć przyczynia się do modernizacji i otwartości państwa, to wywodzi się z postsowieckich elit i nie w głowie mu rozliczanie intryg swojego poprzednika. W kraju dziennikarze cały czas zmagają się z cenzurą, a większość kontrowersyjnych tematów wciąż uchodzi za temat tabu… ■

Źródła:
www.rferl.org; www.hrw.org; www.osw.waw.pl

eprasa.pl 0522f7d004

Tomasz Sakiewicz

Granica

Jeżeli ktokolwiek lekceważył sprawę przerzutu nielegalnych migrantów do Polski, to już dalej tego robić nie może. Przez kilka lat trwała na granicy wschodniej operacja „Śluza", która jeszcze na początku 2021 roku została zorganizowana przez rosyjsko-białoruskie służby specjalne. Tysiące migrantów przywiezionych z Azji i Afryki próbowano przerzucić przez granicę z Białorusią, żeby zdestabilizować polskie państwo. Akcja swoje apogeum miała tuż przed atakiem Rosji na Ukrainę. Kierunek białoruski był dla Putina kluczowy, gdyż była to najkrótsza droga do ataku na Kijów. Akcja generalnie się nie udała, gdyż polskie państwo podjęło zdecydowano kroki, włącznie z budową potężnej zapory na granicy. Nie wyszło też obalenie rządu Mateusza Morawieckiego, do czego miało dojść właśnie w drugiej połowie 2021 roku. Za to ówczesna opozycja, z Donaldem Tuskiem na czele, zaatakowała za obronę granicy ówczesny rząd i polskich funkcjonariuszy. Nikt nie poniósł odpowiedzialności za te haniebne czyny, a Tusk w 2023 roku, dzięki wparciu Niemiec, został premierem.

W dobie wojny Rosji z Ukrainą otwarcie granicy na wschodzie byłoby już dzisiaj niemożliwe. Za to natychmiast „otworzono" granicę na zachodzie. Oczywiście ona nie była zamknięta, bo należy do strefy Schengen, problem w tym, że Niemcy bez pytania zaczęli wwozić nielegalnych migrantów na teren Polski. Polski rząd z Donaldem Tuskiem nie tylko się temu nie przeciwstawił, lecz także zaczął aktywnie wspierać działania Niemców. Ilu „przybyszów" wjechało na teren Polski? Według niemieckich służb około 10 tys. To są nielegalni migranci zarejestrowani przez Niemców i tutaj przywiezieni. Czy to wszyscy? Oczywiście że nie. Wielu z nich na własną rękę przejeżdża przez granicę albo w grupach kierowanych przez przemytników, których Niemcy nie rejestrują. Ile ich może być? Sądzę, że jest to wielokrotność tego, co przepychają same służby niemieckie. Pierwsze realne statystyki mogły zostać zrobione wraz z pojawieniem się społecznego Ruchu Obrony Granic. Wprawdzie ruch nie był w stanie skontrolować całej granicy, ale już nawet wyrywkowa kontrola pokazała, że problem jest gigantyczny. Przez półtora roku rządów Donalda Tuska do Polski wjechało kilkadziesiąt tysięcy nielegalnych migrantów. Są już wszędzie. Przejawy wzrostu brutalnej przestępczości zaczynamy widzieć. To jednak nie koniec. To raczej absolutnie początek. Czeka nas powstawanie gett muzułmańskich, pojawienie się terroryzmu i gigantyczna fala przestępczości. To kwestia kilku, kilkunastu miesięcy.

Przez półtora roku rządów Donalda Tuska do Polski wjechało kilkadziesiąt tysięcy nielegalnych migrantów. Są już wszędzie. Jak na razie Tusk zamiast walczyć z nielegalną migracją, podjął walkę z Ruchem Obrony Granic.

Teraz jest ostatni moment, by to zatrzymać, ale w tym celu trzeba powstrzymać rządy Donalda Tuska. Dzisiaj popieranie tego premiera to także powiedzenie „tak" bezprecedensowej akcji na granicy. Jak na razie Tusk zamiast walczyć z nielegalną migracją, podjął walkę z Ruchem Obrony Granic. Zobaczymy, jak daleko jest w stanie się posunąć. Obawiam się, że daleko. ■

eprasa.pl 0522f7d004

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl 0522f7d004